

Autor - Charles L. Harness
Tytuł - **Szkarłatny świat**
Tłumaczenie - Danuta Korziuk
Opracowanie - [Mariusz Szydlik](#)

OD AUTORA

Mam tylko kilka uwag.

Po pierwsze: kiedy ostateczny szkic Szkarłatnego Świata był na ukończeniu, mój stary przyjaciel William Barney (laureat poetyckiej nagrody przyznawanej w stanie Teksas) przysłał mi swój ostatni tom wierszy zatytułowany Lekki Pocałunek Pokrzywy. Pokrzywa napisana jest białym wierszem i poświęcona została przede wszystkim analizie formalnych sposobów budowania wiersza, temu, jak słowa i zdania składają się w poezję, sprostać wysokim wymaganiom twórców. Kiedy tak delectowałem się Pokrzywą, nagle zdałem sobie sprawę, że w pierwszym rozdziale pominąłem poetów. Trzeba to było naprawić. Lecz w którym szeregu mieliby iść? Chyba nie na czele pochodu, w egzaltowanym towarzystwie morderców i złodziei? Gdzie zatem? Laureat sam dostarczył wskazówek:

...Kucharze i poeci rzadko spotykają się z wdzięcznością ze strony tych, których żywią. Nie wytykaj nosa z kuchni, siedź na poddaszu, mówią ludzie. Wystarczający to dla ciebie honor, że pozwolono ci zajmować się tym cennym materiałem, który podajesz na stół.

Czy wobec tego poezja, tak jak cnota, jest nagrodą samą w sobie?

Prrr! Powoli, powiada teksaski liryk. Mamy prawo do czegoś więcej. Musimy przecież wiedzieć, mieć świadomość, że ktoś - człowiek, Bóg, Marsjanin - c o ś, jest gdzieś tam i słucha; musimy

dostrzec błysk, usłyszeć zgrzyt gdzieś tam,
poza krańcami, i wiedzieć, że obcy, słowami
nienazwany intelekt został poruszony.

Lecz przyznaje on (niestety):

Czuję się jak brat tego biednego diabła,
który wystaje na rogu ulicy,
z przejęciem wygłasza kazanie z małego tomiku, który
trzyma w ręce;
druga ręka potrzebna mu jest do gestykulacji;
na diabła, nikt go nie słucha!

Jak zatem powinniśmy zaszeregować poetów? Popatrzmy jeszcze na ostateczną wskazówkę udzieloną przez Laureata:

W Teksasie jest niemal tylu poetów,
ile jest tu grzechotników.
Lecz nie są tak popularni jak one.

I oto mamy. I tak jest na Ziemi, i tak jest w Szkarłatnym Świecie.

Po drugie: czy Szkarłatny Świat jest powieścią autobiograficzna? Tylko moi dalecy kwakerscy przodkowie wiedzą to na pewno. Prawdą jest, że moją pierwszą pracę (był to rok 1933, a ja miałem siedemnaście lat) podjąłem w składzie papieru, który to skład mieścił się w dzielnicy czerwonych latarni. Później byłem urzędnikiem miejskiej komendy policji. Prawdą jest, że mój ukochany starszy brat umarł na skutek rozwoju niemożliwych do zoperowania guzów mózgu. Ale co do reszty, to jest tak, jak powiedziała to Evelyn Waugh w Brideshead Revisited: Ja to nie ja... oni to nie oni. Oczywiście. Mary Dyer, kwakerska męczennica to postać prawdziwa, rzeczywiście została powieszona za swą zbyt często wyrażaną wiarę w szóste przykazanie i za inne niewłaściwe poglądy. Lecz dobrzy ludzie z Bostonu nie byli w stanie zniszczyć jej całkowicie. Dzisiaj jej pomnik stoi przy Dyer Hall w Harlham College, w Richmond (Indiana), a zapewne jeszcze i w innych miejscach. Możliwe, że któregoś dnia jakiś gwiazdny statek rzeczywiście zaniesie jej imię do jakiegoś Szkarłatnego Świata, a mieszkający tam ludzie znajdą odpowiedź, której ona szukała.

Nielogiczne? Zwykle naciąganie? Więc co?

Autor Pokrzywy:

To prawda, że podziwiam ściśle rozumowanie,
które starannie artykułuje postęp.
Lecz kocham co innego:
nieskrępowane błędzenie wyobraźni.

C. L. H.

Rozdział pierwszy

PROCESJA

Zaraz po skromnym śniadaniu matka wyszła za mną na podest i spojrzała na mnie z troską.

- Wiesz, że dziś jest Wielka Procesja?

- Tak, mam.

- I że zamierzają spalić tę strzygę, tę straszną Jehanne-Mar?

- Tak, wiem.

- Ona nadal upiera się, że zdąży za swego życia rozpoznać jeszcze Objawiciela. Tak przynajmniej mówią.

(Biedna, nieszkodliwa wiedźma - pomyślałem. - Zabiją ją, bo jest szalona. A moja własna, pozbawiona rozsądku matka daje się nabrać na tę farsę).

- Pic na amoniak - powiedziałem. - Nie rzuciła na nikogo uroku.

- Ale robi to - spoglądała na mnie z wyraźnym zatroskaniem. - Skoro umiera, to będzie przepowiadać. Wskaże na kogoś. A ponieważ jest strzygą, jej proroctwo będzie przekleństwem. - Schwyciła mnie za ramiona. - Pol! Nie wolno ci być przy spalaniu! Obiecuj mi!

- Mam - starałem się przemówić jej do rozumu. - Muszę minąć Procesję po drodze do pracy. Inaczej nie dojdę do fabryki - uniosłem rękę. - Słuchaj - wielkie dzwony świątyni zaczęły wydzwaniać połowę godziny. - Nie chcesz chyba żebyś się spóźnił. To mój pierwszy dzień w pracy.

- Nie, oczywiście, że nie - zgodziła się pospiesznie. Lecz wciąż mnie trzymała. Uwolniłem się z nadopiekuńczego uścisku i zbiegłem głośno po dwa stopnie na raz.

- Nie patrz! Nie patrz! Obiecuj! - wołała jeszcze za mną.

Och, mammo! Jak mogę obiecać? Przez dwadzieścia lat, które żyję, nie było ani jednej egzekucji w Damaskis. I teraz, dzisiaj... Przyspieszyłem kroku. Lecz im bliżej byłem centrum miasta, tym trudniej było mi iść. Wszyscy wylegli na ulice, by wziąć udział w Procesji i zabijaniu lub tylko jednej z tych uroczystości. Na Vys Street gromadził się już wielki pochód. Droga do fabryki papieru była oczywiście zamknięta, obstawiona przez milicjantów z pałkami. Przecisnąłem się do przodu, musiałem przecież widzieć. Pchałem się sam, pchano się na mnie. Wielki dzień dla kieszonkowców. Na szczęście (czy nieszczęście?) nie miałem przy sobie ani solati. Nie miałem nawet sakiewki, jeśli o to już chodzi. Motłoch był niespokojny i wszystko mogło się zdarzyć. Trzydzieści lat temu (czytałem o tym), kiedy to został podpisany Wielki Układ, odbyła się Wielka Procesja z pochodniami (nie było takiej nigdy przedtem, nie miało już być nigdy więcej). Tuzin do czwartej lamp, świece, latarnie, pochodnie. Miasto było przez całą noc rozświetlone łagodnym, różowym blaskiem, równie niebezpiecznym, jak uroczym. Było d-tuzin pożarów i beczkowsy jeździły po ulicach do samego świtu. I cały ten czas dzwoniły dzwony! Nasze dzwony mają imiona. Rektor. Pułkownik. Prałat. Thusty Burmistrz. Słodka Dama. Pośrednik. Karzeł. I wiele innych. A największy z nich, Objawiciel, został odlany z potężnej bryły metalu, która spadła z nieba. I nigdy nie dzwonił. Pewnego razu Gil i ja wdrapaliśmy się na wieżę świątyni, by zobaczyć czemu. I ujrzelśmy. Dzwon wisiał przerdzewiały na swej belce. I nic w tym zresztą dziwnego. Nikt nie oczekuje, by się odezwał przed przybyciem Objawiciela, a to będzie połączone (tak brzmi przepowiednia) z kolejną Procesją z pochodniami. Lecz nic takiego, oczywiście, nigdy się nie zdarzy. Mity zawsze odnoszą się do odległej przeszłości, a proroctwa do przyszłości tak dalekiej, jakby nigdy nie miała nadejść. Mamy zresztą takie sardoniczne powiedzenie: Kiedy Objawiciel zadzwoni - co znaczy tyle, co nigdy.

Lecz powróćmy do terażniejszości!

Rozdzielając szturchańce, rozpychając się łokciami i depcząc po palcach, przepychałem się przez skotłowany tłum. Przy Budynku Cechów wspiąłem się na rynną i, stojąc na gzymsie, mogłem ogarnąć wzrokiem cały plac. W samą porę. Procesja bowiem ruszała. Spojrzałem w lewo, szukając pośród tłumu tego, który poprowadzi paradę. Kto to będzie? Z pewnością ani kapłan, ani uczoney, albowiem jeden nie pozwoliłby na to drugiemu. Nie, ta kwestia została rozstrzygnięta na drodze osobliwego kompromisu, zgodnie z tym, co ustalono w Wielkim Układzie. Rzeczywiście, rozwiązanie problemu było tak proste i tak niesamowicie trywialne, że obie strony rościły sobie do niego prawo. Cytuję z Układu (najlepiej, jak pamiętam):

Na czele Procesji powinna iść osoba o odpowiedniej sławie, osoba zaproponowana przez głównego uczonego i zaaprobowana przez najwyższego biskupa (aprobata nie powinna być nigdy bezzasadnie wycofywana). W ramionach przodownik nieść winien poduszkę, na której pewnego dnia spocznie Najświętsza Strzała, która zamorduje (i tym samym przywróci do życia) Objawiciela.

Co za stek bzdur!

Poznałem w końcu tego, który szedł na przodzie. Pułkownik Dite, naczelnik naszej milicji. Obwieszony medalami mundur błyszczał w czerwonym, słonecznym świetle, ale twarz była bez wyrazu, nawet zimna. Na ugiętych ramionach trzymał kasztanową poduszkę. Wyglądał na znudzonego. Ciekaw byłem, co mógł myśleć o tym wszystkim, czy temu dostojnemu pułkownikowi przysłoby do głowy, że ktoś kiedyś może zażądać od niego, by niósł prawdziwą Najświętszą Strzałę? Zapewne nie. Wydawało się, że nikt - milicja, duchowieństwo ani uczeni - nie wie nic o Strzale. Ani kto ją wypuści, ani kiedy, ani dlaczego. Nie wiedzą nawet, jaki rodzaj łuku zostanie użyty. Najlepszy byłby długi łuk, lecz takich nie

ma wiele w okolicy. Używa się ich na dzikie zorki. Milicja nosi kusze, które same ładują się czworokątnymi strzałami. Pozostaje wycelować i pociągnąć za spust. Z bliska przebija na wylot ludzkie ciało. Śmiertelna broń.

I tak obok mnie przeszedł pułkownik Dite, a za nim hałaśliwa reszta celebrantów.

Kolejność cechów, maszerujących za niosącym poduszkę, jest ściśle określona przez Układ. Porządek ten jest, rzecz jasna, odbiciem pozycji społecznej poszczególnych cechów oraz ich ambicji wpływania na to społeczeństwo.

Najpierw Cech Morderców.

Jeden mężczyzna w żałobnej czerni, zamaskowany. To tylko godność honorowa. To zapewne on ma być zabójcą owego nieszczęśnika, który strzeli do Objawiciela. Tak, ta nie napisana jeszcze sztuka ma przynajmniej trzech aktorów.

Następnie Cech Złodziei (wliczając w to włamywaczy, pospolitych rabusiów, kieszonkowców, defraudantów i rozbójników). O to samo miejsce walczyli kiedyś ostro, adwokaci, lecz mimo jedynych w swoim rodzaju i niemal nie wymagających wysiłku metod uwalniania obywateli od ciężaru majątków, ostatecznie przekonano ich, by utworzyli własny cech.

Dalej szli:

Medycy,

Cyrulicy i

Lekarze.

Zmuszeni zostali do ustąpienia pierwszego miejsca Mordercom, w dużej mierze na skutek pewnej dwuznaczności, niezręczności nawet, w sposobie osiągania ostatecznego celu.

Wykluczono ich też z Cechu Złodziei, pomimo że przecież ofiara medyków sama płaci im wynagrodzenie, co więcej, musi to zrobić pod groźbą kary administracyjnej - przywilej, którego oba poprzednie cechy bardzo zazdroszczą medykom.

Potem:

Hazardziści,

Zawodowe płaczki,

Lichwiarze,

Astrolodzy,

Fałszerze i Oszuści,

Kaci i Poeci.

(Zgodnie z protokołem Układu miała miejsce poważna dyskusja, czy poeci mają prawo poprzedzać katów, czy nie. Problem rozstrzygnięto rzucając monetę).

I dalej:

Mistycy (trzy stopnie: zwyczajny, wyższy i wielki, zależnie od opłat uiszczanych w Świątyni).

Terminatorzy cechowi opiewali już zasługi swych mistrzów i rozrzucali ulotki i cenniki.

Powiew wiatru przyniósł mi jeden. Schwytałem go i przeczytałem:

PRZYSIĘGI I KLĄTWY

Bracia BENG

Court Street

Przekleństwa na wszelkie okazje. Komponujemy na oczekaniu. Umiarkowane ceny - specjalność: bankructwa i niepożądane zaślubiny.

Zdobywcy Nagrody TRIADY.

Dalej szła administracja miasta:

Poborcy Podatków (Cech Złodziei odmówił im miejsca w swoich szeregach),

Milicja,

Urzednicy,
Listonosze.
Nastepnie rzemieślnicy:

Tkacze,
Stolarze,
Kamieniarze,
Kopiści.

Potem się zgubiłem.
Zauważyłem jednak:

Farmerów,
Piwowarów,
Rzeźników,
Piekarzy,
Sklepikarzy,

Papierników (otóż to! Dzisiaj to także i mój cech! I tajemnica na dodatek. Kto zapłacił mój tuzin solati za przyjęcie do cechu? Nie ja, nie matka, nie sama fabryka. Na pewno nie świątynia. Kto był moim nieznanym protektorem? Żadnych śladów).

Wracając jednak do Procesji. Dalej szli:

Baloniarze.

Na koniec zaś, zaraz przed wozem szli ci, którzy udowadniali swą obecnością postępowość i miłosierdzie marszałków Procesji; skoro włączyli oni w jej skład nawet takie męty społeczne, jak: Nauczyciele.

Jest to widowisko o dziwnym uroku. Wielkie, czerwone, poranne słońce przebijało się przez d-tuzin stadiów oparów amoniaku i kąpało wszystko w odcieniach purpury, szkarłatu, krwawej czerwieni, w której tu i ówdzie przebłyskiwał pastelowy róż. Nawet krzyki, wrzaski i klaskanie, nawet tupot tłumu na kocich łbach zdawał się zabarwiony na czerwono.

Szkarłat, szkarłat, szkarłat.

(Oto dlaczego nazywamy się Szkarłatnym Światem - wyjaśniał kiedyś, wiele lat temu mój świętej pamięci brat Gil. - Lecz czemu wszystko musi być czerwone? Czym właściwie jest kolor? Czy istnieją inne kolory? Obce kolory, których nasze oczy nie widzą. I czy tych kolorów nie ma, czy tylko nasze oczy nie potrafią ich ujrzeć, będąc wrażliwe tylko na odcienie czerwieni. Przyjmijmy, że słońce byłoby koloru X lub Y. Lub X plus Y, plus Z. Jakie kolory widzielibyśmy wtedy? - tak, Gil zawsze zadawał pytania, na które nie można było znaleźć odpowiedzi).

Wyrwałem się z zadumy.

Co to? Nagle wszystko się odmienia. Jak z mgły materializuje się przede mną wóz elektropalenia.

Pojazd ciągną dwa ospałe wołce, które na tę okazję pomalowano upiorną czernią. Powożący wyprzęga je teraz i odciąga na bok.

Na drabiniastym wozie stoi Dziekan Gard i jego ofiara, Jehanne-Mar. Biedna, skulona kreatura, związana i zakneblowana. Wygląda całkiem nieszkodliwie.

Jej głowa obraca się, zupełnie jakby czegoś szukała. Złapałem spojrzenie jasnych, błyszczących oczu.

Pośrodku wozu stoi krzesło, za nim bateria. Zręczni pomocnicy rozwiązują czarownicę. Już zatrzasnęli ją na żarłocznym krześle, podwinęli rękawy i spódnice i zapięli ostre, metalowe pasy na jej drżącym, chudym ciele. Wolne zostawili tylko prawe ramię: Tego wymaga Układ, trzeba dać jej szansę uczynienia znaku S, dla Siris, dobrego Boga.

Miała umrzeć, utrzymywała bowiem, że za swego życia zidentyfikuje Objawiciela. Według Układu przyjmowano, że twierdzenie to jest pierwszorzędną herezją, doraźnie karana Sakramentem Elektrospalenia. Nikogo jednak, jak dotąd, nie wskazała i wyglądało na to, że

jej fantazje zginą wraz z nią.

Mimo znacznej odległości widziałem, jak poruszają się wargi świętego męża. Zgodnie z rytuałem zachęcał ją, by się pokajała, chociaż, oczywiście, tak czy owak zamierzał ją uśmiercić. Następnie (znów podług rytuału), wyciągnął jej knebel.

Nagła cisza zapanowała na placu. Jehanne-Mar powoli uniosła wolne ramię.

Chwiało się i drżało. Czy zamierzała wykreślić S na znak skruchy? Nie. W ostatnim przyptywie sił zacisnęła dłoń w pięść. Potem uwolniła wskazujący palec, a najbliższym stojącym zapało dech z przerażenia. I ujrzałem, dlaczego. Miała tylko pięć palców. Szatan siriS odgryzł jej jeden, by naznaczyć swą własność.

Co teraz?

Błyszczące oczy i wyprostowane ramię błędziły powoli po dumie. Ludzie odwracali twarze. Nikt nie mógł znieść tego straszliwego, skazującego palca.

Ręka Garda zawisła nad przełącznikiem.

I zaraz potem rozegrało się kilka rzeczy naraz.

- Oddaję cię twemu panu, siriS! - krzyknął Gard, opuszczając dłoń.

-Ty! - wrzasnęła Jehanne-Mar wskazując prosto przez plac. (Na mnie?).

Jej późniejsze wrzaski zostały zagłuszone przez tłum. Jeszcze wczoraj te kreatury były cichymi, prawomyślnymi obywatelami i jutro będą nimi znowu. Ale dzisiaj śmierć i woń palącego się ciała przywiodły ich do szaleństwa. Najgłośniejsze były gospodynie domowe. Uczeni powiadają, że ciało ludzkie kumuluje w swych komórkach tlen, zupełnie jak komórki drewna. Ciepło elektryczności wyzwala ten tlen, który reaguje z bogatymi w wodór parami naszej atmosfery, co daje jeszcze więcej ciepła. I tak ogień żywi ogień, a Jehanne-Mar dostarcza opału dla swej własnej kremacji. Tanie i wydajne, żadnych kosztów, ojcowie miasta opłacają tylko dzierżawę stosu elektrycznego i urnę na prochy.

I tak wkrótce było po wszystkim. I już terminatorzy piekarscy torowali sobie drogę przez tłum.

- Bierzcie gorące ciastka Jehanne-Mar! Ciastka Jehanne-Mar!

Zlazłem po rynnie i pospieszyłem wzdłuż alei. Było w tym wszystkim coś zatrważającego.

Wrzawa ucichła, gdy skręciłem w Vys Street. Mogłem uporządkować trochę myśli.

"Ty". Co ona przez to chciała powiedzieć? Już dość było złego, że musiała umrzeć. Co gorsza, to musiało być przeprowadzone publicznie. Widowiskowe preludium do sprzedaży ciastek nazwanych od jej imienia. Lecz dlaczego musiała wskazać akurat na mnie? Jeśli musiała. No i jeśli tak było. Niczego tu nie byłem pewien. Czy było to jej prorocstwo i klątwa zarazem? Niektórzy naprawdę dziwnie umierają.

I - czy naprawdę była strzygą?

Trudno wyjaśnić, czym jest strzyga. Tej demonicznej kreatury nie zdefiniowano w żadnym słowniku. Przypuszczalnie jest sługą siriS, lecz czy to prawdziwy człowiek, czy może córka szatana, tego nie wie nikt. Kościół mówi, że to ona sama określa się przez to, co mówi i robi. Wypowiada plugawe herezje. By dać upust swej złej woli, może powodować defekty u nie narodzonych jeszcze płodów, może sprowadzać choroby na ludzi i zwierzęta, może rozsiewać epidemie i przyciągać plagi. Kiedy mamrocze - rozmawia z cząstką siriS wewnątrz jej umysłu. Może przybrać kształt dzikiego zwierza i zabić podróżnego, który samotnie zapuścił się w noc. Gdy jest bardziej wyrafinowana - siłą wzroku i koncentracją może niewinne dzieci przywieść do obłądu. Jej mistrz, siriS, nie przeszkodzi jej. Każda strzyga ma swój męski odpowiednik: czarownika i maga.

- Gdzie oni są? - spytałem raz Gila.

- W naszych umysłach.

- Ale czasami łapie się ich i pali.

- Więc nie daj się złapać.

To było zbyt zagmatwane. Potrząsnąłem energicznie głową, by rozjaśnić umysł. Żadnych

więcej strzyg, żadnej Jehanne-Mar, żadnych myśli o jej wskazującym palcu!
Jestem na Vys Street i zmierzam do fabryki papieru - mojej pierwszej płatnej pracy.

Rozdział drugi

JOSI

Vys Street.

Nazwa była znajoma. Obok świątyni był kurant Vys, a w kolegium dzwonnica Vysa. Być może Vysowie byli jedną z dawnych rodzin założycielskich. Jeśli tak, to chyba zeszedli już ze sceny.

Vys Street.

Żwirowa droga pokryta warstwą czystej gliny. Magazyny. Bocznica kolejki ciągniętej przez wołce. Chodnik kończący się o dwa kroki od placu. Żadnych sklepów. Chyląca się ku ruinie dzielnica mieszkaniowa. Jakieś stajnie wołców, warsztaty naprawiające powozy, karłowata, szara trawa porastająca coś, co kiedyś było podwórzami. Krzywe gonty domów pokrytych łuszczącą się farbą. I zapachy. Jak wymyślna synteza podejrzanych pachnidel. Przede wszystkim jednak woń brudu ulicy. Męcząca dzielnica. Bolesne znużenie emanowało ze ścian domów i mieszało się z węglowodanami ze sklepów i ze stajni. Wszystko zaś osnute było dymem shrootów i zwiertzałego aele. Węszyłem z niepokojem, atmosfera była zwodnicza. Ale nic, przez najbliższą, a może i dalszą przyszłość będę wdychał te aromaty pięć razy na sekstyl i pozostawało to zaakceptować. Odetchnąłem głęboko, by powietrze Vys Street przeniknęło do moich płuc i zaakceptowało mnie.

Jakiś nikły, dziwny dźwięk wdarł się nagle w moją zadumę: gwizd. Raczej łagodny, nawet wabiący.

Odruchowo podniosłem wzrok; wiedziałem, że to nie do mnie, nikogo tu nie znałem, nigdy przedtem nie byłem na Vys Street, nawet spotkanie w sprawie pracy miało miejsce nie tutaj, tylko, mówiąc ściśle, w rezydencji właściciela, Squire Gearinga.

O mało się nie potknąłem. W obramowaniu okna, małego, pokrytego łuszczącą się różową farbą domku, stała dziewczyna. Przez firankę nie mogłem dostrzec jej twarzy, lecz nie miało to żadnego znaczenia. Istotna część dziewczyny, a mianowicie cała jedna noga, była widoczna, wygięta i obnażona. Jej sukienka (czy koszula nocna) podwinęła się i odsłaniała ją aż po udo. Musiała stać na drugiej nodze. Rzuciłem szybkie spojrzenie na środek zakurzonej ulicy i z łomoczącymi sercami ruszyłem dalej.

Po drugim gwizdnięciu (tym razem z przeciwnej strony ulicy) zdałem sobie sprawę, że idę po prostu przez dzielnicę burdela. Tak, moja droga do pracy prowadziła przez "różowe miasteczko". Tędy przez najbliższe dni, lata, przechodzić będę do Fabryki Papieru Magna i tędy będę przynosił moje sekstylne wypłaty. Kiedy szedłem dalej, moje myśli znów poszybowały do Gila.

- Co o tym myślisz? Założę się, że t e g o nie uczyli cię w kolegium. I te cztery nutki, które gwizdała. Są znajome, coś jak świątynne dzwony. Co to było?

Nie wiedziałem, a Gil nie żył już od roku. Nie oczekiwałem zresztą żadnej odpowiedzi. Często prowadziłem z moim zmarłym bratem takie rozmowy, w myślach. Wiedziałem, że to dziwaczne, ale pewien byłem, że nieszkodliwe. Przynajmniej o tyle, o ile nie poruszałem wargami i nie robiłem wrażenia, jakbym mamrotał coś do siebie.

- Dziewczyny - powiedziałem do Gila. - Gołe kobiety. Czterdzieści solati o ósmej rano! Była to rozweselająca myśl, lecz wiedziałem, że nic z tego. Niemniej strach przed niepowodzeniem w pierwszej pracy nieco zelżał. Matce, rzecz jasna, nic powiedzieć nie mogłem. Kazałaby mi zaraz rzucić pracę, a potem mogłoby upłynąć, wiele sekstyli, nim zdołałbym znaleźć inne zajęcie. To było nie do pomyślenia, musieliśmy mieć pieniądze teraz. Musiałem podjąć tę pracę - nie miałem już nic, co zgodziłbym się sprzedać. W tych

sekstylach, gdy Gil leżał umierający, sprzedałem wszystkie moje zwoje, a były tam i Poematy Deki, i Trzydziestu trubadurów (w większości podarunki od Gila). Poszły po jednym solati każdy; nawet Nauka dozwolona (trzy zwoje) z cudownymi iluminacjami Theoscianta Sojona. Zostało mi kilka nowo wydrukowanych, paginowanych książek, głównie kroniki podróźnicze. Ręczna maszyna drukarska była nowością, więc za te ostatnie zażądałbym pięciu solati. Lecz wyszło tak, że nie musiałem tego sprzedawać. Wystarczyło, że przeprowadziłem wywiad w sprawie pracy w Magnie. Squire Gearing poszukiwał młodego człowieka, który mógłby pracować w magazynie, a ponadto obsługiwać maszynę drukarską. Panie były wykluczone. Nagle stało się jasne, że to wielki interes, chociaż nie wszyscy jeszcze to zrozumieli. Nie, nie miałem zamiaru zaczynać poszukiwań od nowa. Matka już i tak była zaniepokojona tym, że Magna i Vys Street były położone w pobliżu Świątyni i Biblioteki Publicznej. Już widziałem fabrykę - parę domów dalej, na lewo od skrzyżowania - murowane budynki z wyblakłym szyldem, różowe litery na czarnym tle. Wisiał nad rampą towarową głównego budynku, który wyglądał na stary i mocno już wyeksploatowany. Mijałem właśnie duży, różowy dom na rogu, ten z wysoką pozbawioną okien wieżą, kiedy we frontowych drzwiach pojawiła się kobieta ubrana w jasnoróżowy szlafrok przewiązany sznurkowym paskiem, który z przodu zwieszał się w pętlach. Pod szlafrokiem miała przezrystą nocną koszulę. Czarne włosy opadały w nieporządnym kędziorach na jej policzki, snop słonecznego światła ze wschodu rozpląmiał jej głowę i ramiona, roziskrzył włosy. Nasze spojrzenia spotkały się na moment, lecz na skutek blasku rodzącego się dnia nie mogłem dostrzec koloru jej oczu. Może szare? Czarne włosy, szare oczy... Wyglądała jak tajemnicza dama z obrazu Terna Madonna Obłoków.

O ósmej rano, jeszcze w nocnym stroju i bez makijażu była naprawdę piękna. I pozostała piękna nawet wtedy, gdy, podszedłszy bliżej, ujrzałem, że jej twarz wydaje się naznaczona tragicznym piętnem. Gdy obserwowałem ją tak kątem oka, otarła policzek wierzchem dłoni. Zastanawiające, jej oczy były dziwnie opuchnięte. Czy były mokre? Co robiła właściwie, ścierała dłonią z policzków jakiś płyn? Co niby? I skąd tam się wziął? A może to wierzch jej dłoni? Przez chwilę zapatrzyłem się na jej rękę. Właśnie wtedy mnie zauważyła, gładko i szybko wepchnęła obie ręce w przeciwne rękawy szlafroka. Potem założyła ramiona na piersiach i po raz pierwszy spojrzała prosto na mnie. Nie cofała wzroku, tylko wyraz jej twarzy się zmieniał. Smutek zdawał się ulatniać. Patrzyła na mnie pilnie z czymś w rodzaju rosnącego zdumienia. Zamarliśmy na chwilę oboje, aż obejrzała mnie od stóp do głów. Szaleństwo! Musiała być podobnego zdania, gdyż równocześnie przełamaliśmy nasz bezruch. Ja ruszyłem dalej, a ona pochyliła się, by wziąć poranną gazetę i koszyk z wiktuałami (choć nadal starała się zasłaniać ręce). Udawała, że mnie ignoruje, lecz wiedziałem, że patrzy wciąż na moje plecy oddalające się w kierunku fabryki papieru. Czy wszyscy kompletnie dziś poszaleli? O co chodzi? Kim ona jest? Nie miałem odwagi obejrzeć się. Czy to jedna z tutejszych dziewczyn? Wydawała się inna. Ile ma lat? Między dwudziestką a trzydziestką? A co to za różnica...

I ta wieża-wbudowana jakby w jej różowy dom. Czy może odwrotnie. Pobudziła jakieś odległe wspomnienie. Wieża... wieża... coś szczególnego. Mieliśmy, oczywiście, jeszcze inne wieże w mieście. Mieliśmy Wieżę Zorka wzniesioną z dyspens udzielanych bogatym parafianom na jedzenie zorka w święta. Mieliśmy Wieżę Świętych, ufundowaną przez tych, którzy za życia nabyli sobie prawo do świętości. I tak dalej. Wszystkie te budowle miały schody, drzwi, portyki, okna. Lecz nie ta wieża. Jej mury były ślepe; ani portalu, ani okna czy witrażu, żadnego widocznego wejścia.

Już mam. Kiedy Gil i ja byliśmy chłopcami, obluzowaliśmy kratę w wejściu do suterenu Biblioteki Publicznej. Wkradliśmy się do środka między przymocowane łańcuchami książki i zwoje. Mając tylko wąż tlenową lampkę, próbowaliśmy czytać wszystkie zakazane lektury. Znaleźliśmy parę pozycji o perypetiach związanych z Wieżą. Coś o zstąpieniu z nieba i o

dziewczynie złapanej na włóczęgostwie. Przedziwne rzeczy. Nie mogłem sobie przypomnieć nic więcej, lecz wiedziałem, że któregoś dnia do tego wrócę, z większym sensem. Lecz teraz - do fabryki papieru!

Spuściłem głowę i przeszedłem przez skrzyżowanie.

Squire Gearing był niskim, nerwowym i tłustym mężczyzną. Ciężkim krokiem wyszedł w swej tunicy na rampę w chwili, gdy przybyłem. Najpierw nieznacznie zmarszczył brwi, jak gdyby żałując tych kilku chwil potrzebnych na powitanie nowego pracownika, po czym niedbale wyszczerzył do mnie zęby, akurat dość, by mnie pozdrowić nie tracąc czasu.

Obejrzał mnie i potrzęsnał głową.

- Powinienem był ci wspomnieć, że trzeba tu będzie przebrać się w jakieś ciuchy. Przynieś jutro coś starego.

- Tak, proszę pana - to łatwe, mam tylko stare ubrania.

Przerwało nam skrzywienie kół przejeżdżającego furgonu. Był to ambulans. Obaj patrzyliśmy, jak zatrzymuje się w poprzek podjazdu do rampy, tuż obok zniszczonej, jednoizbowej chałupy. Dwóch ludzi wysiadło z wozu, przeszło do tyłu i wysunęło nosze. Zdaje się, że nie bardzo się spieszyli. Jednemu zajęło trochę czasu zapalenia shroota. W końcu zniknęli wewnątrz rudery.

- Pewnie jakiś hobo - mruknął Gearing. - Czasem bywa tak. Gdy zdecydują, że są za słabi, by wskoczyć do jadącego pociągu, to rezygnują. Idą tam i umierają. Milicja znajduje przynajmniej jednego raz w miesiącu. Był o tym artykuł w gazecie. Musiałeś go czytać. Przypomniałem sobie. I naraz chałupa nabrała złowieszczonego wyglądu. Wyłamane okna wyglądały jak oczodoły czaszki, a trzaskające frontowe drzwi przypominać zaczęły wyszczerzone zęby.

Dwaj mężczyźni wynieśli obciążone nosze, wpakowali je do wozu, zacięli batem żałośnie chudego wołca i wóz zniknął za rogami.

Wiedziałem, że nie powinienem zabierać mojemu nowemu szefowi czasu czymś, co nie ma nic wspólnego z moją pracą, lecz ostatecznie to on sam poruszył ten temat, a ja byłem ciekawy.

- Czemu tego nie zburzą? - spytałem. - Mam na myśli tę chałupę.

- Josi postawiła ją kilka lat temu. Jest jej właścicielką i nie pozwoli jej rozebrać. Josi... księżna... wielka pani... Jest posiadaczką prawie wszystkiego, co tu widzisz dokoła. Wszystkich tych domów. Wszystkiego z wyjątkiem mojej fabryki.

- Josi? Przystojna kobieta, czarne włosy w lokach? Mieszka w tym domu z dużą wieżą, na rogu?

- Tak. - Spojrzał na mnie zdumiony. - Znasz ją?

- Nie - powiedziałem szybko. - Była na ganku. Zabierała gazetę, gdy przechodziłem tamtędy.

- Chodźmy - wzruszył ramionami.

Wszedłem za nim na wewnętrzny dziedziniec, gdzie jeden po drugim pokazał mi wszystkie budynki.

- Furgony przywożą odpadki, z których wyszukujemy najlepsze skrawki materiału i papieru. Składujemy je w tym magazynie. - Skinął, bym szedł za nim. - W tej szopie wrzucamy je do młynów. Wszystko rozdrabniamy na jednolitą masę. Chłopcy czerpią ją i rozlewają w arkusze. O, tam - wskazał. - Trzeba pilnować grubości warstwy zależnie od tego, czy ma to być papier do pisania czy do druku, do pakowania czy na pudełka, i tak dalej.

Przeszliśmy do innego budynku.

- To jest hala gorąca. Przechodzą przez nią arkusze, żeby wyschnąć.

Dwaj rozebrani do kusych spodenek robotnicy zwijali schodzącą z suszarek taśmę w bele. Po ich ciałach spływał pot (o zapachu węglowodoru aminowego). Uwięzieni w swym piekle nawet nie podnieśli wzroku.

- Nie zatrzymujmy się - Gearing prowadził mnie dalej. - Skład. Tutaj dostarczamy

zamówiony towar - powiedział Squire z dumą. - Mamy około d-tuzin różnych pozycji i klientów w promieniu kilku tuzinów mil.

Wróciliśmy z powrotem do biura.

- Zaraz powinni zjawić się pośrednicy - gderał. - Za późno przynajmniej o pół godziny. Oczywiście, wszyscy byli na paleniu. Ciekawe, jakie podadzą usprawiedliwienia. Chore babcie, wołce z kolką. Na rozszczepione kopyto siriS...

Wśród wyposażenia małego biura znajdował się i stół Gearinga, i kantorek rachmistrza, i stół, który miał odtąd być mój. Była jeszcze maszyna do składania.

Tymczasem do rampy zaczęły podjeżdżać dwukółki. Gearing przedstawiał mi przyjeżdżających, gdy wchodzili do biura. Nie było ich wielu, lecz mimo to byłem pewien, że nieraz pomylę ich nazwiska.

- A to jest Ban Bonnar. Ban prowadzi naszą platformę ciężarową. Ban, zechciałbyś pokazać ją Polowi? A potem przyprowadź go z powrotem. Chciałbym, żeby wydrukował kilka cenników.

Bonnar miał dwadzieścia jeden lat, był chudy, lecz niespodziewanie silny.

- Dotychczas cały wóz ładowałem sam - powiedział. - Ale interes się rozkręca i teraz pewnie będziesz mi pomagał.

- Oczywiście, domyślam się tego.

Stanęliśmy przed platformą z wielkim, pociągowym wołcem. Zwierzę zlustrowało nas.

Cofnąłem się za Bonnara.

- Na imię ma Pips - powiedział woźnica pośepnie. - Inaczej zwana też Slut.

- Ooo!

- Ona mnie nienawidzi. A ja nienawidzę jej - rozejrzał się dokoła. - Gearing lubi oszczędzać. Kupił ją na aukcji. Potem dowiedzieliśmy się, że odgryzła rękę poprzedniemu woźnicy. Więc lepiej uważaj, Pol.

- Na pewno.

I tak zacząłem.

Byłem zatrudniony jako pisarz-magazynier.

Mój pierwszy dzień przebiegał typowo. Podyktowano mi. Przepisałem. Na maszynie drukarskiej wydrukowałem cenniki, biuletyny, zamówienia, monity.

Nigdy potem nie zabierało mi to w ciągu dnia więcej niż jedną czy dwie godziny. Przez resztę czasu robiłem użytek z mięśni. Ładowałem na ręczne wózki paczki papierowych toreb, bele papieru, pudła z marszczonego kartonu. I uczyniłem odkrycie - papier był cięższy od wszystkiego, co można było znaleźć w fabryce. Bela papieru pakowego mogła ważyć nawet ponad dwa d-tuziny baron. W magazynie pomagałem Banowi załadować to, co zamówili pośrednicy. Razem wywelekaliśmy bele papieru i paczki papierowych toreb na tylną rampę, gdzie czekały na platformę. To była ciężka praca i pociliśmy się obficie.

Matka czekała na podeście schodów naszego małego mieszkania nad stajnią. Obok niej stał Burnie, merdając szaleńczo ogonem. Matka zauważyła wielkie plamy potu wokół pach mojej koszuli i spojrzała na mnie z niepokojem.

- Jak było?

- Doskonale. To nie jest trudne.

Odpreżyła się trochę.

- Spodobałeś im się?

- A jakże. Miłe miejsce - wypchnąłem nogą yeda na podest i wszedłem za matką do mieszkania. Pociągnąłem nosem.

- To potrawka - powiedziała dumnie. - Z paroma plasterkami zorka.

(Gdzie ona dostała zorka? Prawdopodobnie pożyczyła od naszej gospodyni).

- Och, pachnie cudownie. Ale najpierw pozwól, że wezmę kąpiel. Niech trochę odetchnę.

Kiedy leżałem w ciepłej wadzie, zdałem sobie sprawę, że mięśnie mam jak z drewna i każdy iskrzy boleśnie. Jęknąłem, czy tak będzie co wieczór? Nie, nie będzie. Zrozumiałem szybko, że tak być nie może, albo bowiem umrę, albo przywyknę i stanę się twardy jak niebiański metal.

Po kolacji, gdy leżałem w łóżku i robiłem przegląd dnia, zauważyłem, że nie myślę już o storturowanych mięśniach. Bardziej interesujące wątki przepędziły ból. Raz jeszcze przeżywałem wczesny poranek i tę chwilę, gdy Jehanne-Mar wskazała na mnie i krzyknęła "Ty!", i tę, kiedy Josi z wieży spojrzała na mnie, a ja ujrzałem, jak jej twarz zmieniła wyraz z tragicznego na zdumiony:

Odeszłaś, spalona, Jehanne-Mar. Nie zostało nic prócz popiołów, które zostaną wsypane do ceramicznej urny i pochowane gdzieś na rozstajach dróg.

Ale Josi, ach, Josi! Jesteś nad wyraz żywa. W myślach rozbieram cię z różowego szlafroka i nocnej koszuli. I widzę, że jesteś bardzo jasna. I teraz wiem, dlaczego tak zapatrzyłem się na twoje dłonie, gdy ocierałaś ten płyn z oczu. Tylko pięć palców? Niemożliwe. Zbyt szybko po biednej Jehanne-Mar. Mój umysł płata mi figle. Ach, Josi.

Uśmiechnąłem się i zapadłem w sen.

W ciągu paru dni z łatwością nabyłem rutyny.

Każdego ranka Ban i ja przebieraliśmy się w robocze fartuchy i tuniki bez rękawów, normalnie przechowywane na wieszakach za biurem Gearinga. Pociłem się obficie, gdy słońce było wysoko, a robota ciężka. Krępowało mnie to i po pracy zazwyczaj przepłukiwałem koszulę w basenie i suszyłem. Każdego wieczoru przebieraliśmy się z powrotem w nasze "dobre" rzeczy.

Squire Gearing był zawsze na swoim miejscu, gdy wchodziłem i wiem, że ostatni wychodził wieczorem. Planował, spiskował, prowadził kampanie. Sprzedaż papieru była sprawą śmiertelnie poważną. Wieczorem przeglądał wszystkie kwity sprzedaży, próbował znaleźć sposób zwiększenia zamówień. Przeglądał rozliczenia; wiedział dokładnie, kiedy klient może potrzebować nowej beli papieru pakowego czy nowej paczki papierowych toreb. Było pewne, że w odpowiedniej chwili wyśle tam pośrednika i uprzedzi zamiar wizyty klienta u konkurencji. Cały wieczór obmyślał strategię na dzień następny. Rano wzywał mnie i dyktował noty dla poszczególnych pośredników. W cinque, popołudniami, po skończeniu hałaśliwych spotkań handlowych, zostawał jeszcze, by zebrać myśli.

Czasem przychodził nawet w sesste. Był wzorem dla całej reszty, tym bardziej że nigdy nie stawiał się nikomu za wzór.

- Dbaj o swoją pracę - upominał pośredników - a ona zadba o ciebie.

Gearing był żonaty, ale nie z panią Gearing, lecz ze swoją fabryką papieru.

Rozdział trzeci

WSPOMNIENIA O KOBIEtach

Czwarta noc. Sekstyl prawie się kończył, pozostało pół dnia pracy.

I w końcu przestałem odczuwać ból.

Leżałem na łóżku myśląc o tym, co w fabryce opowiadano o Josi.

- Nazywa siebie panią Vys, ale oni nie są małżeństwem. A on jest impotentem.

- Nie można się zorientować, jaki jest jej rozkład dnia.

- W rzeczywistości to ona jest dziewicą.

- Przestanie nią być, gdy Objawiciel zadzwoni.

- Oszczędza się dla wielkiego Archonta... Najwyższego Uczzonego... Dziekana Garda... naczelników Cechów... .

- Nie, dla żadnego z nich... ona czeka na męską dziewicę.

(I tu ja się nadaję).

Jęknąłem i przekreśliłem się, żeby spojrzeć na czasomierz. Dopiero trzecia, trzeba by jeszcze pospać. Cinque, dzień wypłaty. Czy wystarczy tego na randkę z dziewczyną?

Dziewczyny.

Odtworzyłem w pamięci listę dziewczyn, które znałem w szkole. Dawno poszły już każda swoją drogą. Musiałyby pewnie dobrze się nagłowić, żeby przypomnieć sobie teraz moje imię. No, może oprócz Jeil Gard (tak, naprawdę, córka Dziekana. Ona i ja uczyliśmy się razem na pamięć wymaganych zwrotek z Madonny Obłoków Terna. Prawie cała klasa wybrała pierwszą zwrotkę, bo była najbardziej znana i najłatwiejsza (choć całkiem niezrozumiała):

Gdy strzała uderza,
Objawiciel umiera,
Lecz powstaje,
i żywy w ramionach ją niesie
do damy na wieży.

Święta legenda jest oczywiście dobrze znana. Objawiciel zostaje zabity, wraca do życia, ratuje swą ukochaną i wysyła ją ku gwiazdom w nadzwyczajnym (pozbawianym żagla!) statku, sam tymczasem rozprawiając się z szajką zabójców. I już. Jeil i ja przeszliśmy od razu do środka utworu i wyszukaliśmy to, co wydawało nam się najlepsze:

Jej włosy czarne byk i skrzyła w nich czerwień,
a gdy oczy podniosła, oczy miała szare,
zarzuciła na niego swą miłosny sieć...

Uczyliśmy się siedząc na jej huśtawce ogrodowej, wygodnej i szerokiej jak kanapa, w przyćmionym świetle tlenowego kaganka. Jednego wieczoru, gdy zakończyliśmy już nasze deklamacje, odłożyliśmy książki i po prostu siedzieliśmy w ciszy. Było ciemno, jedynie kaganek dawał trochę blasku, w domach po przeciwnej stronie ulicy zapalały się światła. Od czasu do czasu dyszeliśmy głosy; przeważnie rodziców nawołujących dzieci: Chodź tutaj! Czas spać!

Ręka Jeil leżała luźno na kolanie. Położyłem na niej swoją dłoń i nasze palce splotły się. Ogólnie wiedziałem, co chciałbym dalej zrobić, lecz wiedziałem też, że będę musiał wypracowywać szczegóły w miarę postępu akcji. Podniosłem się i nasunąłem kapturek na lampę. Usiadłem potem w ciemności tuż obok niej, ująłem w dłonie jej twarz i pocałowałem w usta. Nie było to wprawne. Pierwszy raz pocałowałem dziewczynę i być może opuściłem kilka subtelnych fragmentów. Nie szkodzi, czułem się cudownie. Jej długie, czerwone włosy były splecione w dwa płaskie warkocze, opadające po obu bokach głowy. Przesunąłem dłonią po jednym i zastanawiałem się przy tym, jak wyglądałaby naga, z rozpuszczonymi włosami, leżąca u mojego boku.

Jeil westchnęła. Położyła mi rękę na szyi i delikatnie przyciągnęła do siebie. Przesunąłem wargami po policzkach, po szyi. Jej skóra była zdumiewająco miękka. Zacząłem ją pieścić. Moja dłoń powoli przesunęła się w górę i w dół po okrytym szarą materią boku, dłużej zatrzymując się na biodrze. Potem przeniosłem dłoń na jej brzuch, powoli podążając w górę, ku piersiom. Wydawały się duże, nawet jak na dziewczynę jej wzrostu. Opuściła rękę, by nakryć moją dłoń i nasze palce splotły się raz jeszcze. Poczułem pod palcami powstającą niewielką, twardą wypukłość.

To była sutka jej piersi. Ciekawe. Nie wiedziałem, że to tak się dzieje. Znowu się

pocałowaliśmy, nasze wargi rozchyliły się trochę i mój język wniknął do jej ust. Poruszał się tam i z powrotem, miotając się, sondując. Wsunąłem rękę pod jej suknię. Była to długa szata z kryzami i falbanami i musiałem zdrowo się napracować, nim pokonałem opór materiału. Przesunąłem dłoń po nagim ciele, po nodze i po biodrze, docierając do bielizny. Wsunąłem dłoń pod spód i tak zastygłem. Ledwo oddychała. Nasze usta rozdzieliły się, a moja dłoń ruszyła powoli w dół, jakby badając teren. Jeil rozsunęła lekko nogi, a ja położyłem się między nimi, na niej. Jej prawa noga była nieco ugięta i napierała na oparcie huśtawki, lewa znajdowała się poza siedziskiem, opierając się zapewne o podłogę werandy. Nie zwracałem wówczas na to większej uwagi. Zaczęła cicho jęczeć. Nasze usta spotkały się znów i szczepiły. Rękami otoczyła moje plecy, przyciągając mnie jak najbliżej. Oddychała ciężko, coraz ciężiej, aż w końcu oderwawszy usta wydała serię chrapliwych, gardłowych dźwięków. Jej ciało zdrząło pode mną konwulsyjnie i o mało nie spadłem. Wreszcie rozluźniła się. Poza wzburzonym oddechem była spokojna. Było zbyt ciemno, bym mógł zobaczyć jej oczy. Z trudem podniosłem się i usiadłem. Byłem zdumiony, że nie osiągnąłem tego samego wraz z nią.

- A jak z tobą? - szepnęła.

Gmerała przy klamrze mego paska, więc jej pomogłem. I właśnie wtedy ulicą nadjechała z łoskotem dwukółka. Z rosnącym złym przeczuciem słuchaliśmy, jak skręciła na podjazd. Żrebica wołca dobrze знаła drogę i mimo ciemności trafiła do domu. Na złe skrzydła Siri, to rzeczywiście był Dziekan. Musiał skończyć swój wieczorny wykład w kolegium.

Powóz cofnął się ku stajni i wiedzieliśmy, że jej ojciec będzie tu lada chwila.

Usiedliśmy. Doprowadziłem spodnie do porządku, ona poprawiła szatę i wsunęła na stopy pantofle. Zebrałem książki, pocałowaliśmy się na dobranoc i odszedłem.

Następnym razem...

Ale następnego razu nie było.

Wkrótce potem umarł ojciec. Po nim Gil. Wszystko się rozsypało. Jeil i ja przestaliśmy uczyć się razem, chociaż oboje ukończyliśmy szkołę. Ja zacząłem szukać pracy, ona poszła do kolegium. I teraz wszystko wyglądało inaczej. Różne rzeczy mi się przytrafiły (i jej też, jeśli o to chodzi). Chadzała na randki z chłopakami z kolegium. I dobrze, z pewnością nie czuła nic do mnie, pewnie nigdy nie pomyślała o czarnowłosej Madonnie. Byliśmy teraz zupełnie różnymi ludźmi. Mnie spotkało o wiele więcej niż ją czy którąkolwiek ze znanych mi dziewczyn. Nie zetknęły się ze śmiercią, nie bywały wyrzucane z domu, nie szukały przez rok pracy. I wątpię, czy którakolwiek poszła kiedyś spać głodna.

Dziewczyna, o której myślę teraz, będzie miała szczególny wygląd. Na nią będę czekać. Jej twarz skrywa nieokreślony ból i smutek. Wiele przeżyła, jednak jej życie toczy się dalej. Ukrywa swoje rozczarowania, może czeka na kogoś takiego jak ja, chociaż Siris wie, co będę jej miał do zaoferowania. Może będziemy raczej jak sumujące się przeciwieństwa, które jednak nie zniosą się wzajemnie? I jedno uczyni drugie gorszym. Może. I prawdopodobnie wówczas otworzą się jej oczy na tę rzeczywistość i opuści mnie. Jeśli, przede wszystkim, w ogóle się znajdziemy. Widziałem taką twarz już dwukrotnie. Pierwszy raz na portrecie pielęgniarki stojącej pośrodku młodocianych żołnierzy Najwyższego Uczonego - ilustracji z "Nowin z Damaskis", które znalazłem w Bibliotece Publicznej. To była kobieta moich snów, prawdopodobnie dwudziestoletnia, chociaż w otoczeniu chłopców wyglądała starzej.

Uśmiechała się krzywo, całkiem bez humoru, mówiąc jakby: Widziałam straszne rzeczy i straszny los czeka te dzieciaki, ale damy sobie radę. Będziemy mieli szczęście.

Myślę, że z nią, chociaż odeszła już dawno i przeniosła się do historii, mógłbym rozmawiać. I jej twarz nosi Josi.

Myślę o Josi i wiem, że niejedno jej się przytrafiło. Nie to co mnie, oczywiście, lecz patrząc na jej twarz wiedziałem dokładnie, że moglibyśmy się porozumieć. Poza tym, to bardzo piękna kobieta. Starsza ode mnie, lecz to nie ma znaczenia. W każdym razie nie dla mnie.

(Nie dbam o to, ile masz palców, Josi. Kiedy znów cię zobaczę, policzę je na drugiej ręce).

Rozdział czwarty 144 SOLATI

Cinque, dzień bardzo szczególny, dzień wypłaty.

D-tuzin solati.

O siódmej rano stałem na naszym małym podeście i spoglądałem na karminowe niebo na wschodzie. Nadchodził upalny dzień, lecz jakoś nie dbałem o ten upał. Dzień miał być wspaniały i chociaż należało poczynić odpowiednie przygotowania, miałem jeszcze masę czasu.

Pospiesznie zbiegłem po chybottliwych schodach do ogrodu. Burnie podążył za mną. Było po nim jeszcze widać, chociaż słabo, cechy odziedziczone po przodkach, niuchaczach. Kiedyś kapłani używali niuchaczy do wykrywania heretyków, oczywiście przed Układem. Kiedy niuchacz znajdował heretyka, podobno wydawał z siebie serię pisków i poszczekiwań brzmiących zupełnie jak: Burn! Burn!¹ Rasa podupadła w złych czasach po Układzie i prawie wyginęła. Ocalały tylko przypadkowe mieszańce, jak Burnie.

Jakimś cudem ten nieokreślonej do końca rasy szczeniak, który roił się od insektów, przyszedł pewnego dnia za Gilem z kolegium do domu, wyrzaskując swoje burn! burn! przy każdym kroku. Gil był zachwycony. Wyczyścił go i wymógł na domownikach zgodę, by został. Odtąd codziennie na powitanie Gila zwierzak ogłaszał jego heretycki status. Robił to tylko dla niego, a Gil go kochał. Matka była zgorszona, ojciec zafascynowany, ja zaś zazdrosny.

Obecnie Burnie sypiał na podeście schodów, tuż pod kuchennymi drzwiami, przynajmniej przy ładnej pogodzie. W zimie zabieraliśmy go do środka.

Pani Schmol pozwoliła nam użyć kawałka ziemi obok stajni, pod schodami jako ogródka. Skopałem go wiosną, nie dając żadnego nawozu, żadnego gnoju wołców. Nie było na to pieniędzy. Jednak jakimś cudem wyszło całkiem nieźle. Mieliśmy czarną fasolę, pigwicę, gaglię i przede wszystkim tomatki.

- Plim! Kap! Plum! - krople wady spadały na błotnisty grunt. Dobry, melodyjny środek leczniczy. Spojrzałem w górę; wada wyciekała z naszej lodówki i pochodziła z topniejącego lodu. Sączyła się przez wypust w aluminiowym dnie lodówki i wyciekała lejkiem podłączonym do rury odpływowej. Ta rurka przebijała ścianę i powolnymi kroplami zraszała nasz ogródek. Działo to całkiem dobrze, chyba że od czasu do czasu zatkał się odpływ. Tym co go zatykało, były glony. Wtedy musiałem pożyczyc od pani Schmol składaną drabinę, wspinać się, by stanąć twarzą w twarz z opornym odpływem i przedmuchiwać go, ile miałem sił w płucu. Papranina.

Widziałem w gazetach reklamy elektrycznych lodówek. Przepiękne urządzenia chłodzone cyrkulacją wady, z pompą na baterie. Wada paruje, tym samym chłodząc, a para skrapla się i wada wraca do obiegu. Pomysłowe. Żadnego lodu, żadnego kapania, w ogóle nic. Bogaci ludzie mieli takie lodówki. Nie sądziłem nawet, bym kiedyś mógł mieć taką. Nie przejmowałem się tym jednak.

W secondo i cinque matka umieszczała w oknie od ulicy kartę lodową. Jest to czworokątny kawał tektury z dużymi, czarnymi cyframi na każdym z czterech boków: 24, 48, 72 i 96.

Zwykle

wystawiała stronę z napisem 24 baron, z wyjątkiem szczególnych okazji. Przyjeżdżał lodziarz, zatrzymywał ciągnięty przez wołca furgon, spoglądał na kartę, podnosił dwudziestoczyterobaronową bryłę lodu, zarzucał ją wprawnie do służącego mu za worek kaptura na plecach i wnosił do domu.

Znów bacznie przyjrzałem się winorośli. Hola! Wielka, tłusta wesz. Któregoś bliskiego dnia

będziesz mieć piękne skrzydła, jeśli będziesz trzymać się z dala od naszego ogrodu. Uspokój się głupia, mała wiercipięto, migiem cię przesiedlimy. Tu jest oszustnica, w sam raz zielsko dla ciebie. Złap się, o tu. Teraz obejrzymy tamte tomatki. Aha, dwa, może trzy są już dobre, czerwone i dojrzałe. Zrywam dwa, po jednym dla mnie i dla matki. Spiesznie wbiegam z nimi po schodach, matka czeka już w drzwiach. Wręczam jej, co przyniosłem.

- Muszę lecieć!

Uśmiecha się tylko.

- Nie, Burnie, ty zostań tutaj. Zostań!

Poranek ziewa, przeciąga się i wlecze. Wreszcie bije południowy dzwon. Liczę uderzenia! Raz... dwa... trzy... Dwunasta! Wszystko jest proste. Podchodzisz do stołu Gearinga, podpisujesz listę płac, on wręcza ci kopertę z wypisanym nazwiskiem, przeliczasz co twoje i wychodzisz.

Dla innych może rzeczywiście było to proste. Nie dla mnie. Moja pierwsza wypłata, pierwszy zarobek. Czy naprawdę dostanę pełny d-tuzin solati?

Gearing wręczył mi niedbałym gestem małą kopertę i wskazał na listę płac. Podpisałem się roztrzęsioną ręką i odwróciłem do wyjścia. Lecz on podniósł wzrok i uśmiechnął się szeroko, jak gdyby wiedział, co mi chodzi po głowie.

- Powinieneś to przeliczyć - powiedział łagodnie.

Zrobiłem to. Dwadzieścia cztery połówki.

- Tak, proszę pana!

Włożyłem banknoty do kieszeni tuniki i pieczołowicie zapiąłem ją na guzik.

Dzień pracy dobiegł końca. Wyszedłem na rampę. Czekali tam Ban Bonner i Marti Malo, jeden z pośredników.

- Dostałeś pieniądze?

- Tak.

- Mamy zamiar wskoczyć do "Wieży" na aele - powiedział Ban. - Masz ochotę pójść z nami?

- Muszę do domu - odparłem. - Ale odprowadzę was po drodze.

A zatem do domu.

Wbiegłem na kuchenny podest po dwa stopnie naraz. Potem przyhamowałem i przybrałem wyszukanie obojętny wyraz twarzy. Wszedłem do środka i zamknąłem drzwi. Matka siedziała przy obudowanym stole jadalnym, udając, że czyta gazetę od pani Schmol. Prawdopodobnie czekała na mnie już od godziny.

- Cześć!

Spojrzała na moją twarz.

- Cześć! - odpowiedziała. Uśmiechnęła się szeroko, poznając, że mam pieniądze.

Wyciągnąłem banknoty z kieszeni i rozłożyłem przed nią na stole. Potem usiadłem naprzeciwko i oboje w ciszy wpatrywaliśmy się w leżące wachlarzem papiery.

- Podziękujemy Siris - powiedziała po prostu.

Wątpiłem, czy Siris ma tu coś do rzeczy, lecz nie chciałem się spierać. SiriS - przez dwa duże S, natychmiast rozdzielił się na Siris dobrego i siriS złego. Taka jest jego natura. Powinno się dziękować Siris za wszystko, co dobre, a za resztę winić siriS.

Matka ujęła moją dłoń i zamknęliśmy oczy. Szeptła coś. Potem puściła mnie i oboje znów wpatrywaliśmy się w pieniądze. Liczyliśmy je palcami, przeliczaliśmy je wzrokiem. Ciekawy byłem, jakby wyglądały, gdyby były w banknotach po jednym solati lub w wielkich, aluminiowych monetach.

- Musimy to uczcić - powiedziała matka. - Co proponujesz?

Pomyślałem przez chwilę. Byliśmy winni gospodyni czynsz za osiem sekstyli. Damy jej siedemdziesiąt dwa solati. A matka zechce zapewne ofiarować coś Świątyni, czyli kolejne

dwanaście. Do siriS! Ile zostanie? Sześćdziesiąt. Oczywiście, w następny cinque będzie o wiele lepiej, i w każdy dalszy... Niech siriS goni sobie za własnym ogonem.

- Baron ciemnego cukru, bochenek razowego chleba. Może trochę masła? Jak myślisz?

- Z pewnością możemy sobie na to pozwolić. - To idę - wstałem. Podała mi dwie połówki.

- I kup kość dla Burniego. Taką z mięsem. I trochę słodczy. U piekarza możesz dostać za drobne pełną torbę pokruszonych ciast. Te są pewnie po procesji, lecz nie różnią się smakiem od całych.

- Wiem.

- Mam trochę liści gaglii i tłuszczu, ale przynieś jeszcze pestek. Będziemy mieli sałatkę z tomatków.

Wziąłem dwa banknoty i pospiesznie wyszedłem.

Było coś rozpustnego w tych orgiastycznych wręcz wizjach jedzenia. Zapowiadały nam się w domu istne święta. Ludzie głodowali w całej prowincji, ale my będziemy jeść. Pomyślałem o rocznicy podpisania Układu w zeszłym roku, zaraz po tym, jak umarł Gil. Mieliśmy suchy chleb i byliśmy z tego powodu szczęśliwi. No, ale to już minęło.

JEDZENIE!

Zacząłem pogwizdywać melodię, którą usłyszałem w dzielnicy burdeli.

Tego wieczoru poszedłem spać z pełnym żołądkiem. W czasie snu uparcie powtarzałem: To rzeczywistość.

Jestem w "Wieży". Wszystko i wszyscy poruszają się w zwolnionym tempie. Kolory są dziwne, szarawe. Z wyjątkiem dywanu na schodach - ten płonie szkarłatem. Nie powinienem wchodzić po tych schodach. Zostanę zabity. Dziekan Gard stoi na dole i ostrzega:

- Wiesz, co się stanie, jeśli tam wejdiesz.

- Do siriS z tobą - mówię i odsuwam go na bok.

Spoglądam w górę, na podest. Stoi tam Josi i spogląda na nas. Pomijając cieliste rękawiczki jest naga. Teraz spostrzegam, że też jestem nagi.

Uśmiecham się do niej i zaczynam wspinać się na stopnie. Ona czeka, biorę jej rękę i prowadzę w stronę pokoju. W półświatle sieni widzę, że jest bardzo piękna i bardzo dziwna. Coś metalowego szybuje nad moim uchem i uderza w ścianę za nami. Jakiś ciężki przedmiot, może nóż? Jestem spocony. Chwytam Josi i przyciskam ją do siebie, czuję jej piersi, nasze usta stykają się, ja...

Obudziłem się. Oddychałem ciężko i ścisnąłem w objęciach poduszkę. To nie było realne, Josi zniknęła. Lecz, o Siris, to było dobre. Długo leżę spokojnie i rozmyślam. Znikąd żadnego dźwięku, Josi, Madonno Obłoków, ty jesteś moją kobietą.

I pewien tego, znów usnąłem.

Rozdział piąty

GLÓWNA SALA

Zwykle w południe Ban i ja chodziliśmy do "Wieży" na małe co nieco.

Oczywiście, musiałem coś jeść i "Wieża" była logicznym rozwiązaniem. Lecz nie był to główny powód moich południowych wizyt. Chciałem zobaczyć Josi. Chciałem zobaczyć jej twarz i ciało, chciałem patrzeć na nią, kiedy chodzi, kiedy kołysze biodrami. A tak przy okazji, chciałem też przyjrzeć się jej dłoniom. Pragnąłem do reszty wyjaśnić moje wątpliwości. Czy naprawdę tego chciałem?

Wchodząc do głównej sali zawsze szukałem jej wzrokiem. Musiałem ogarnąć wszystko, dostrzec każdego. Zastanawiające, że ona na ogół tam była i już na mnie patrzyła zza pleców siedzącego za kontuarem właściciela lub od lirykordu, ewentualnie z góry, z podestu schodów. Zdawało mi się zawsze, że jej oczy odszukiwały mnie, zanim moje znalazły ją. A

potem nasze spojrzenia spotykały się, po czym ona wycofywała się i wracała do tego, co robiła przedtem. Sporo przy tym chodziła, rozmawiała, śmiała się. Obserwowałem jej czerwone wargi, oczy i sposób, w jaki jej piersi i biodro kołysały się i falowały - jak gdyby płynęła przez sen.

Ale nigdy nie zobaczyłem jej obnażonych rąk. Zawsze nosiła rękawiczki, delikatne, różowe szmatki. Podnosiła dłonie w górę, gestykulowała, strzelała palcami, machała rękami jakby chciała powiedzieć: Chcesz je policzyć? No to licz!

Zrobiłem to. Sześć. Sześć u każdej dłoni.

Ulżyło mi. I może czułem się nieco rozczarowany, sześć nie było tak podniecające jak pięć! Zwróciłem uwagę na inne postacie z "Wieży".

Kontuar z żywnością i shrootami był obsługiwany przez starego dżentelmena zwanego Squire Vys (i najwyraźniej wszyscy go tak nazywali z wyjątkiem Josi, która mówiła do niego po prostu Vys). Zawsze siedział nad partyjką jaq, na ogół słuchając pozytywki. Czasami naprzeciw niego siadywał starzec z niechlujnymi wąsami.

Squire Vys podnosił się i uśmiechał, kiedy wchodziliśmy.

- To, co zwykle?

Odwzajemnialiśmy uśmiech, po czym dawał Banowi kanapkę z rybą, plastry zorka dla mnie i zork - gaglię dla Squire Gearinga. Ban brał również dwa piwa na wynos, dla siebie i dla Gearinga.

Czasem po sali snuła się jakaś dziewczyna, lecz w pełnym świetle dnia lokal był zwykle dość pusty. Wkrótce wszyscy wiedzieli, że pracuję w Magnie i odtąd pozdrawiali mnie z serdecznym uznaniem.

Myślałem o dziewczynach. Zastanawiałem się, jakby to z nimi było. Lecz naprawdę to nie one mnie interesowały. Zarezerwowałem to dla Josi.

Spytałem Bana o Squire Vysa.

- Mówią, że to od niego nazwano tę ulicę - wyjaśnił. - Pomógł wynegocjować Układ i był bogatym człowiekiem, ale stracił wszystko w ciężkich czasach. Potem przeniósł się tutaj z Josi.

- A ten drugi zabytek, który grywa z nim w jaq?

- Ten oklapły wąsacz?

- No.

- To kapitan Kertor. Emerytowany kapitan milicji. Cech oddaje mu część dochodów z tutejszych zamtułów, a w zamian kapitan ochrania działalność Josi. To wszędzie dobrze działa.

Obserwowałem Squire Vysa i kapitana Kertora, gdy siedzieli przy stoliku do jaq. Byli milicjant małymi łykami popijał piwo, pomiędzy łykami wykonując ruch. Miał szczególną namiętność do kawalerów i zwykle preferował ich w grze. Jak opowiadano, znał dobrze wołce i ufał im. W minus piątym poprowadził wielką szarżę, która skłoniła Świętych do zgody na rozejm w minus czwartym. Pogwałcił wszystkie zasady jaq. Korre, Meiner i Blackhouse, wszyscy myśleli, że biskupi są silniejsi od kawalerów. Lecz Kertor wiedział swoje i ze swobodą naruszał reguły gry, gdy okazja temu sprzyjała. Gdy jego główny kapłan był w szachu, po prostu roszował. A na okazane przeze mnie przerażenie, powiedział wesoło:

- Synku, ty roszuj swoje, a ja będę roszował moje. Jasne?

Kapitan zadawał pytania. Zachował milicyjny pociąg do zbierania informacji o ludziach i mniej lub bardziej znaczących faktach. Lubił wiedzieć wszystko o wszystkich. Wkrótce wiedział, że obsługuję maszynę drukarską i dostaję za to d-t-solati na sekstyl.

Co parę dni Ban lub ja odnosiliśmy Josi to, co zamówiła. Kupowała papierowe torby do żywności na wynos, specjalny papier do kanapek, papierowe kubki i talerze, papierowe serwetki i papierowe pojemniki na gulasz Boogiego.

Boogi był kucharzem i majstrem do wszystkiego. Jego dzień zaczynał się wcześniej, w kuchni

Vysa, przygotowaniem słynnego gulaszu. Wiele razy, gdy przychodziłem po poranny napar Gearinga, patrzyłem zafascynowany, jak Boogi odmierzał parę palców wady, wlewał ją do aluminiowego kotła, dodawał soli mineralnych i przypraw korzennych, chochlę tomatków i ziaren zbóż, a potem z wielkiej lodówki na baterie brał kilka opakowań z cienko pokrojonymi kawałkami mięsa. Następnie zdejmował z haka wielki nóż z niebiańskiego metalu, opierał go o drewniany kłoc i zaczynał ostrzyć zamaszystymi ruchami na specjalnym kamieniu szlifierskim. Kiedy pracował, nucił niesamowitą, monotonną melodię. Była to Pieśń miecza. Zimno mi się robiło, kiedy tego słuchałem. Potem kończył ostrzenie, oczyszczał nóż pod kranem, suszył starannie i zaczynał kroić paski mięsa na kawałki. Robił to w sposób dziki i niesamowity. Jego nóż ogłaszał szerokiemu światu: Nikt nie skrzywdzi M'selle Josi. W tej siriStyczej ceremonii posługiwał się rytualnymi wyrażeniami tak bogatymi, jak w jakimś nabożeństwie.

Jednakże gulasz Boogiego był rzeczywiście pyszny. Zdobył dobrze zasłużoną sławę jako specjalność zakładu i przyciągał gości ze wszystkich stron. Bez trudu można było go pakować w papierowe pojemniki i wielu od lat brało go na wynos. Za jedno solati stanowił posiłek. Lecz ja nie mogłem się zdobyć, by go tknąć. W miarę jak upływał ranek, "Wieża" ożywiała się. Mieszkało tam pół tuzina dziewczyn, wszystkie w tylnych pokojach za kontuarem Vysa i na piętrze. A może było ich pięć albo siedem. A w czasie Układu z dwanaście. Między łóżkiem a resztą pokoju zawieszały ciężkie fałdziste zasłony i pracowały. Pracowały tak ciężko jak woźnice, których obsługiwały. Dziewczyny były na ogół zdrowe i miały solidne apetyty. Pojawiały się tłumnie na śniadanie ledwo wybiła jedenasta. Boogi nie szczędził im - naleśniki z mięsem na orzechowo i z karmelem, paszteciki z zorka, a one jadły jak wołce i świergotały jak ptaki, podczas gdy Boogi sprzątał ze stołu. O czwartej po południu brały chleb i aele, a potem cokolwiek, co udało im się wymóc na mężczyznach jako poczęstunek. Nigdy nie chodziły głodne.

Sama wieża była olbrzymim cylindrem uformowanym z bardzo twardego metalu.

Twardszego nawet niż niebiański metal. Josi starała się, by wieża zawsze była pomalowana na jasnorożowo, lecz czasem farba łuszczyła się i można było ujrzeć błyszczącą powierzchnię, której nie potrafił zadrasnąć nawet grot strzały (próbowałem). Nie było widać żadnych okien ani drzwi. Nikt nigdy nie był wewnątrz, może oprócz Josi. Kiedy została zbudowana? W jakim celu? Rozbudzała niejasne wspomnienia z czasu, kiedy Gil i ja włamaliśmy się do Biblioteki Publicznej i przeczytaliśmy to i owo. Któregoś dnia będę musiał tam wrócić.

Wydawało się, jakby to wieża została wzniesiona najpierw, a potem wokół niej wzniesiono duży, różowy dom. Tak też mówiono. Tylko Josi mogła wiedzieć na pewno, ona lub Squire Vys. Skłonny byłem przypuszczać, że prywatne pokoje Josi łączą się jakoś na górze z wnętrzem wieży. Chociaż, jaką by mi to miało robić różnicę...?

Inna osobliwość: chociaż Squire Vys rozdzielał codziennie beczki aele i destylatów, nie widziałem, by sam tknął choć kroplę. Josi też nie.

- Ani Josi, ani Squire nie piją - wyjaśnił Boogi - poza dniem połączenia. Wtedy wydostają inne, importowane trunki.

- Chcesz powiedzieć, że wypijają drinka w rocznicę swego ślubu?

- Nie. Oni nie są małżeństwem. Nazywają to dniem połączenia. Chyba się wtedy spotkali, rozumiesz?

- Pewnie tak.

Lecz nie rozumiałem. Tkwiła w tym jakaś tajemnica. Pojąłem na pewno tyle tylko, że nic mi do tego.

Z początku matka była zaniepokojona czy mam odpowiednie warunki pracy. Czy jest dość światła? A może powinienem poprosić o małą lampkę tlenową i powiesić ją z lewej obok

mojej maszyny? Światło z lewej jest ważne. Siris nie da ci drugiej pary oczu.

Uśmiechałem się. Prawie co sekstyl ktoś przychodził szukać pracy drukarza. Był to najlepszy możliwy argument, by uznać, że to dobra praca. Nie dalej jak wczoraj jakiś siwowłosy mężczyzna powiedział Squire Gearingowi, że wzięłyby moją pracę za siedemdziesiąt dwa solati na sekstyl. Słuchałem tego z niepokojem.

- Umiem drukować szybciej niż ktokolwiek w Damaskis - rzekł mężczyzna cicho i błagalnie.

- W osiemnastym zdobyłem Regionalny Medal Drukarzy.

Stałem na zewnątrz i podsłuchiwałem. Najpierw byłem przerażony, lecz potem spojrzałem na sprawę z punktu widzenia Gearinga i wiedziałem już, co z tego wyniknie. Przede wszystkim Gearing będzie się bał, że dowie się o tym Cech, a wtedy zostałby pozbawiony członkostwa. A to spowodowałoby odpływ klientów i straty daleko większe niż te psie pieniądze, które zaoszczędziłby na pensji.

- Muszę jeść - stwierdził siwowłosy. - Muszę wyżywić trzy osoby.

Lecz Gearing nadal myślał. Jak ten człowiek podolałby wyczerpującej pracy w magazynie?

Jak by wyglądał po paru godzinach rozładowywania platformy?

- Nie - powiedział w końcu spokojnie.

Mężczyzna skłonił się i wyszedł bez słowa.

Stał przez chwilę na rampie i rozglądał się po Vys Street. Obserwowałem go z magazynu i widziałem, że rozważa jakąś decyzję. Stanowczym krokiem zszedł po betonowych stopniach na ulicę, lecz nie ku miastu. Skręcił w lewo i przeszedł na drugą stronę. Jediną rzeczą, która tam się znajdowała, była Chata Śmierci.

O przekleństwo siriS!

Wróciłem na tyły magazynu i zacząłem zamiatać stajnię.

Wyjaśniłem matce, że Magna znajduje się w lepszej dzielnicy, blisko Budynku Cechów i że ulica obsadzona jest drzewami. Murowane budynki fabryki są czyste i nowoczesne, a ja sam mam stół z nowusieńką maszyną drukarską i nową lampą tlenową.

Była to dla niej wielka ulga.

- Wygląda na to, że to miłe miejsce do pracy. Odwiedzę cię tam kiedyś.

- To by nie było mile widziane - wyjaśniłem pospiesznie. - Fabryka nie jest otwarta dla publiczności. Przepisy Cechu. Mogłoby to sprawić mi kłopoty.

Pracowałem dalej. Moja klatka piersiowa rozrosła się, talia zwęziła, a sflaczałe mięśnie stwardniały jak skała.

Rozdział szósty

ELIKSIR GILA

Straszna wojna między żołnierzami Świątyni a armiami uczonych skończyła się trzydzieści lat temu Wielkim Układem, który określił słuszność t-tuzin prawd głoszonych przez kapłanów i t-tuzin praw głoszonych przez uczonych. Układ został wynegocjowany przez równe liczebnie delegacje obu stron, przy czym żadna nie była zadowolona, a zatem jako sprawiedliwy był możliwy do przyjęcia. Lecz jak udało się walczącym stronom dojść do rozmów w pokoju?

Pewnego dnia Najwyższy Dowódca Uczonych wysłał przed okopy przeciwnika kuriera z białą flagą i zaproponował Wielkiemu Archontowi, że spotkają się sami na udeptanej ziemi, rozebrani do krótkich spodenek i uzbrojeni tylko w miecz i bojowy topór. Kto zwycięży, ten wygra wojnę, a armia pokonanego ustąpi i powróci do domów.

Archont był przerażony.

- Na Siris! - wysapał. - Czy upadliśmy aż tak nisko, by wystawiać nasze czcigodne osoby na

pokaz? Musi być jakieś inne, racjonalne rozwiązanie.

Zaproponował więc uczonym rozejm na jeden dzień, a to pociągnęło za sobą zawieszenie broni na sekstyl, co z kolei doprowadziło do negocjacji, które zaowocowały Wielkim Układem. Po czym życie płynęło tak, jak przedtem z tą różnicą, że nikt nie mógł legalnie zabić drugiego człowieka, gdy nie zastosował się do pewnych reguł. Były oczywiście protesty, lecz spotkały się z odpowiednią ripostą.

Na przykład dozwolone były okulary, ale wyraźnie zabroniono oprawy szkieł w tubę dla uzyskania teleskopu do nocnej obserwacji gwiazd. Gil i ja zrobiliśmy to i tak, chociaż przyznaję, że bez szczegółowych, drukowanych wskazówek mielibyśmy kłopot z nastawieniem instrumentu.

Inny problem stanowiło drukarstwo. Maszynę drukarską wynaleziono po Układzie i Świątynia obstawała, że skoro nie było to wyraźnie wyszczególnione w Układzie, zatem wszystkie przybory drukarskie są heretyckie.

Biskup wniósł akt oskarżenia o herezję i sprawa mogła przybrać poważny obrót (a drukarzowi mogło grozić elektro-spalenie), aż tu nagle zarząd Świątyni w Belle-tile zażądał dwudziestu czterech kopii aktu oskarżenia (po jednej dla każdego z dostojników) i niższy kapłan Świątyni nakazał je po prostu wydrukować. Gdy zauważono tę niezręczność, pozostało unieważnić akt oskarżenia.

I tak drukarstwo wkroczyło legalnie w życie.

Teraz słabo pamięta się o Wojnie, jednakże Dzień Układu, to inna historia. Jest to święto na skalę światową, z Wielką Procesją (z egzekucją lub bez, chociaż zawsze z nią jest ciekawiej). W fabryce Dzień Układu jest wolny od pracy i ja zdecydowałem, że zostanę w domu i poczytam to, co zostawił po sobie Gil, a co zabraliśmy z naszego domu przy Koray Avenue. Zaraz po śniadaniu zajrzałem do notesów Gila.

Było ich pięć. Cztery ostatnie miały na okładce stempel kolegium i wszystkie strony były numerowane. Na każdej okładce widniał rok.

Ostatni notes nie został zapisany do końca. Była to mieszanina zapisków i spostrzeżeń z codziennych zajęć szkolnych i dziwnych komentarzy do mijających chwil. Obejmowały ostatni rok szkoły, trzy lata kolegium i rok choroby.

Czy mogę przejść przez most życia i wrócić z powrotem? Jakby w nieśmiertelności. Może potrzebne by było chemiczne wspomaganie? Oto mój pomysł. Połączyć cztery wypróbowane halucynogeny (wszystkie używane od dawna w ceremoniach religijnych starożytnych i nadal używane). Wiemy, jak działają osobno.

Morolina - z roślin pustynnych. Daje kolorowe wizje z tańczącymi światłami i objawienia.

Lys - z nasion noltecu. Rozszerza świadomość, daje poczucie nieskończoności, sugeruje jedność ze wszechświatem.

Psibe - święty grzyb. Nie wiem dokładnie, jak się z nim obchodzić. Zwyczajowo palony w fajce jak shroot. Czy potrafię wydobyć z niego ekstrakt? Zatrzymuje upływ czasu i daje dziwne wizje.

Ziele "J" - daje bezgraniczne poczucie mocy, wykorzystywane do celów pozaliturgicznych.

Potrzebuję takiego związku chemicznego, który połączy wszystkie te narkotyki. Nasiona noltecu dostarczają azotanu. Jeśli trzeba, przeprowadzę hydrolizę do wolnego kwasu. Pozostałe trzy są typowymi alkaloidami z grupą aminową. Jak połączyć to wszystko w jeden związek?

Pierwszy problem to, oczywiście, skąd dostać składowe. Spróbuję u naszego teochemika, Rollo Felsa.

Rozmowa z Felsem. Może dostarczyć co trzeba i zachować tajemnicę.

- Będziesz musiał przeprowadzić hydrolizę lysa, by otrzymać wolny kwas. Wtedy otrzymasz jeden kwas i trzy zasady. Konieczny będzie jeden związek macierzysty, który zareaguje ze

wszystkimi czterema podzwiązkami. Ten początkowy związek musi mieć jedną grupę zasadową i trzy grupy kwasowe. Grupa zasadowa wejdzie w reakcję z samotnym kwasem, a trzy grupy kwasowe utworzą sole z trzema aminami.

- Związek początkowy powinien być rozpuszczalny w wodzie i należeć do grupy naturalnie występujących kwasów roślinnych - powiedziałem. - Związek wszystkich narkotyków powinien być łatwo przyswajalny.

Stawałem się bardzo mądry.

Fels słuchał, gdy wymieniałem całą listę: octowy, oleinowy, taryzynowy, glicerynowy, cytrynowy... To jest to! Zaczę z kwasem cytrynowym!

Fels zgodził się ze mną.

Grupa wodorotlenowa zareaguje z kwasem "lysowym". Trzy grupy karboksylowe zareagują z trzema alkaloidami. Kwas cytrynowy to składnik większości owoców, ma go każdy chemik. Bez kłopotów znalazłem go w słoju w magazynie laboratorium.

Roztwór A:

Stopniowo uzyskać lys z nasion noltecu, potem hydroliza dowolnego kwasu. Potem reakcja z kwasem cytrynowym. Nie byłem w kolegium od paru sekstyli. Matka ciągała mnie po teomedykach, analizach i doraźnych zakłęciach. Brak mi koordynacji ruchów mięśni, ale nikt nie wie, czemu. Chyba rzeczywiście nie wiedzą. A teraz do planu.

Dotarłem już do ostatniego notesu. Większość wcześniejszych zapisków uczyniona była zbitym, lecz eleganckim pismem. Teraz coraz częściej pojawia się wymęczony półdruk.

Roztwór A: Szczegóły początkowej hydrolizy.

Wziąć d-tuzin nasion noltecu. Rozgnieść w moździerzu. Odtłuścić przez ekstrakcję na gorąco eterem naftowym, odfiltrować osad. Rozprowadzić w wodzie, dodać zasadę, by uwolnić alkaloid. Wytrząsać z bardzo czystym rozpuszczalnikiem spirytusowym. Odsączyć w lejku osadowym. Teraz mamy roztwór kwasu lysowego, plus kilka tuzinów krewnych i pociotków. Raczej brązowawe. Zebrało się po drodze trochę smoły i żywicy. Wytrząsnąć z odrobiną odbarwiającego węgla drzewnego. Przelfiltrować. Teraz dodać czop z pochłaniaczem i podłączyć filtrat do próżni. Świs. Wyparowuje rozpuszczalnik spirytusowy. Mam kilka udanych kryształów. To może nawet być to, co spodziewałem się otrzymać. Teraz przetworzyć to na wolny kwas.

Mam to więc w postaci kwasu.

Krok A. Ciąg dalszy.

Dzisiaj kwas cytrynowy reagował z wyżej wymienionym kwasem lysowym w wodzie.

Otrzymałem roztwór czegoś. Czy to rzeczywiście cytrynian lysu? Odstawiłem zlewkę do mojej szafki, przykryłem szklaną płytką z etykietką: Roztwór A.

Udało się. Lecz nie czuję się dobrze. Mam wrażenie, jakby siriS wypluł mnie i rozdeptał. Zróbmy przegląd.

Otrzymałem roztwór A (ostatecznie nie jest pewne, czy to roztwór, bardziej wygląda na zawiesinę koloidalną). Następny mam na oku roztwór B, który będzie mieszaniną trzech alkaloidów aminowych: psiby, J-ziela i moroliny. Jeśli roztwór B istotnie i kompletnie zareaguje z roztworem A, to powinienem otrzymać ostateczny eliksir, który zaprowadzi mnie do śmierci i z powrotem. Do roboty, do roztworu B.

Roztwór B. Szczegóły.

Psibe.

Starożytni rozdrabniali go i wpychali kawałki do tykwy. Zostawiali tak, by się zakonserwowało, na mniej więcej rok. Kawałki obracają się w proszek. Miesza się go z innymi aromatycznymi ziołami, by podkreślić "ostrość". Mieszanina wygląda jak liście chai. Pali się ją w fajce. Fels dał mi zapieczętowaną tykwę, napełnioną do połowy. Myślmy, że główny alkaloid jest złożoną aminą w wysokim ciśnieniu par w niskiej temperaturze, jak liście shroot. Spróbować wstępnej ekstrakcji rozpuszczalnikiem.

J-ziele.

Mała, krzaczasta roślina, czarne liście, duże, różowawe kwiaty w kształcie dzwoneczków. Mieszanina alkaloidów występuje w różnych częściach rośliny - liściach, strąkach nasiennych etc. Fels dał mi kawałek palowego korzenia. Zmaceruję to, zrobię ekstrakt w wadzie. Wzór chemiczny wątpliwy, lecz przypuszczalnie jest to złożona amina.

Morolina.

Z małej, guzowatej, powoli rosnącej pustynnej rośliny. Może wyglądać jak miniaturowa, mięsista celia. Około trzech palców wysokości, pokryta brunatnymi włoskami. Wiosną z tych włosków wyłaniają się różowawe kwiaty. Ma długi, palowy korzeń bogaty w alkaloid. Lecz nie praktykuje się wykopywania, nie zabija się rośliny. Odcina się guz z wierzchołka. Wyszuszony wygląda jak stary, skórzany guzik. Czysty alkaloid to morolina, olejek. Kilka jej soli dobrze się krystalizuje.

Po południu w laboratorium skompletowałem roztwór B. Jest w kolejnej zlewce. Nakryłem szkiełkiem i wstawiłem do mojej szafki obok roztworu A.

Tak oto stoją tam: teochemiczne wynalazki wieku! A+ B! Jaki będzie rezultat? Coś znakomitego, może nawet idealnego.

Powiedziałem Rollo Felsowi o A+ B. Powiedziałem mu też, że muszę opuścić kolegium, bo jestem chory. Tędy testy są w toku. Medycy uważają, że mam zaburzenie równowagi: za dużo w głowie siriS, za mało Siris. Dali mi drukowane modlitwy, cztery razy dziennie przed posiłkiem, plus zaklęcia dla matki, by je nade mną odczytywała. Jest też parę świętych relikwii (wydzierżawione, t-tuzin solati na sekstyl za każdą!) do zawieszenia nad frontowymi drzwiami. Wyglądają jak kości wołca, ale naczelny teochirurg przysięgał matce, że są to kości świętego Euba, którego pełni czci chłopcy po kolei zabili i ugotowali, by uchronić jego święte szczątki przed opuszczeniem ich wioski (co nastąpiło i tak).

Cudowne leki mają gwarantowany skutek pod warunkiem, że stosunek Siris-siriS u pacjenta jest należycie wyregulowany.

Nigdy nie przeprowadzę reakcji A+ B. Z drugiej strony, zamierzałem użyć nowego związku, by pomógł mi odpowiedzieć na pytanie, czy naprawdę jesteśmy nieśmiertelni? Mogłem zaniechać tego wysiłku. Już niedługo będę to wiedział bez A+ B.

Podaję moją własną diagnozę. Mam nowotwór mózgu i to jest to, co mnie zabija.

Pol, może przeczytasz to pewnego dnia. Nauka musi zostać wyzwolona. Niech chemicy będą chemikami, niech doktorom i chirurgom będzie dozwolone uczyć się wszystkiego o ludzkim ciele i leczeniu jego dolegliwości. Niech astronomowie rzeczywiście studiują gwiazdy, bez strachu przed Świątynią. Czy tam gdzieś są inne światy? Czy Jasna Gwiazda jest takim słońcem, jak nasze? Czy świat taki, jak nasz, krąży wkoło Jasnej Gwiazdy? Czy są w tamtym świecie ludzie? Dowiedźcie się! Dowiedźcie!

Tak mało czasu.

Matka wie, że jestem umierający. Stara się być spokojna i wesoła. Wewnątrz jest rozdygotana.

To wszystko, co tam było. Odłożyłem notes. Byłem roztrzęsiony i bolało mnie gardło.

Rozdział siódmy

DZIEKAN GARD

Gil rozczarował matkę tylko pod jednym, istotnym względem: chciała, by został kapłanem. Modliła się do Siris, by naznaczył jej pierwotnego powołaniem. Błagała Wszzechmogącego o znak, jakiś skromny, mały cud. Lecz nic się nie zdarzyło, a kiedy Gil rozpoczął trzeci rok kolegium, pogodziła się z tym, że został chemikiem.

Lecz zamiary niebios są niezbadane i jak się okazało, nie wszystko było stracone. Jej modlitwy nie były zupełnie daremne, lecz tylko mylnie ukierunkowane. A tajemniczy boski plan powoli objawiał się ku jej aprobachie i zadowoleniu.

Zanim poszedłem do pracy w Magnie, złożyłem w kolegium podanie o stypendium. Lecz jedyne osiągalne akurat było stypendium religijne, z kursami wieczorowymi. Wzruszyłem ramionami i podpisałem. Będę miał zaszczyt pobierać nauki od naszego umiłowanego prałata, wielkiego Dziekana Garda - pomyślałem.

Matka była zachwycona. Wyobrażała już sobie mnie pełnego godności, stojącego przed kazalnica lub nad grobowcem. Wyobrażała sobie jak po nabożeństwie stoję u wejścia świątyni i potrząsam dłońmi moich zachwyconych parafian. Wszystko pięknie się układało. Miałem tylko głębokie poczucie winy. Brałem pieniądze pod fałszywym pretekstem i to było oszustwo. Kradłem i pomyślałem, że gdy tylko zarobię więcej w fabryce, wezmę mój los we własne ręce i wywiklam się z tej dwuznacznej więzi. Pierwszy raz w życiu zdałem sobie sprawę z głównego i zasadniczego pożytku płynącego z pieniędzy: pozwalają być uczciwym, a przynajmniej dają prawo wyboru. A jednak w tej chwili pieniądze jako takie były ważniejsze. Naprawdę, nie mogłem się skarżyć - miałem pracę, odzież na grzbiecie i dość było jedzenia. Zdecydowałem, że spróbuję być szczęśliwy w mojej nieuczciwości. Ale kapłan agnostyk? Bo do tego cała sprawa by się sprowadziła, gdybym kontynuował pobieranie stypendium i naukę. A musiałem kontynuować. Nie mogłem powiedzieć matce, że nie wierzę w nieśmiertelność czy w Siris. Nie mogłem powiedzieć nikomu. Być może w ten sam sposób postępowali wielu studentów religii - gdy zaczynały ogarniać ich wątpliwości, zatrzymywali je dla siebie.

A ja nie mogłem wyjawić ich matce. Ani słowa. Liczyłem się z matką.

Te pięć lat, które odebrały jej męża, starszego syna i ładny dom przy Koray Avenue, mogły ją albo pogрузić i zniszczyć całkowicie, albo dać hart godny świętej. Innej możliwości nie było. Kiedy następowały kolejne katastrofy, ona pochylała się tylko i klękała przyjmując ciosy na zgięte w kabłąk plecy. Lecz nigdy się nie poddała. Na swój desperacki, chłopski sposób stawiała opór i w końcu Siris czy przeznaczenie, czy cokolwiek to było, przyhamowało zbite z tropu, nie tyle przyznające się do porażki, ile zaskoczone i ciężko dyszące, legło po zmaganiach.

Wszyscy ją kochali. Wszyscy, z wyjątkiem - być może uzasadnionym - Dziekana Garda, prałata w Damaskis i profesora teologii w kolegium.

Dziekan Gard miał dość rozumu (teraz trochę spekuluję), by widzieć w oczywistej pobożności matki zarówno owoc jego pracy duszpasterskiej, jak i ponure zagrożenie dla tejże pracy. Z jednej strony żyła ona najwyraźniej zgodnie z ogólnie przyjętymi wymogami systemu Siristycznego, włączając w to świątynię i kapłanów, a z drugiej, była (niestety) przekonana, że jest w bezpośrednim kontakcie z niebiosami. Jemu zaś mogła objawiać się ryzykowna myśl: przypuśćmy, że Siris postanowi postępować w ten sposób ze wszystkimi parafianami świątyni w Damaskis? Komu wówczas on, Dziekan Gard, będzie potrzebny? Jak, wobec tego, zarobi na życie? I widząc matkę kapłan uśmiechał się, lecz także drżał.

Byliśmy zaledwie tuzin minut w naszej nowej klasie, w Budynku Kazań, gdy zdecydowałem,

że nie cierpię Dziekana Garda.

- Fakt - mówił prałat - jest rodzajem oświadczenia, którego ścisłość nie podlega dyskusji. Na kursie w Budynku Kazań jesteście oczywiście wystawieni na bardzo wiele faktów. Większość z was pochodzi z pobożnych domów i macie już pewne wyobrażenie o tym, co spotka was tutaj. Ostrzegam was: kapłaństwo nie uważa za swą powinność godzenie nauki z Siris. Tutaj różnica jest trwała, tutaj nauka jest w błędzie. To proste. Przykłady? Objawiciel umrze, ale będzie żył znowu. Madonna przyjdzie do nas z niebios i będzie przebywać pośród nas, a potem znowu zniknie, powróci do swego domu w niebie. Proste fakty. Bo i takie są. To są fakty, ponieważ jako takie są stwierdzone w pismach i tak przekazuje je święta tradycja. Żaden uczony wszechczasów nie może zaprzeczyć, że są to słowa Siris. A z takich faktów w naturalny sposób wypływają inne fakty. W istocie, cały system świata można wyrazić, opierając się na podstawowych faktach. Objawiciel, wielki nauczyciel, rzeczywiście przyjdzie. A czego będzie nauczał?

Szanowny wykładowca zaczyna teraz przechadzać się wielkimi krokami tam i z powrotem przed frontem klasy.

- Nauczy nas - kontynuował - jak pokonać śmierć. On powróci ze śmierci. Jego imię na to właśnie objawienie wskazuje, dlatego zwany jest Objawicielem.

Przestał chodzić, a jego oczy powoli omiotły klasę. Spojrzał prosto na mnie.

- Przejdźmy do innego faktu. Panie Randol, proszę określić wzajemne powiązanie Madonny i Objawiciela.

- No cóż, panie, zgodnie z tradycją ona jest, będzie, to jest... aha, małżonką Objawiciela, jego towarzyszką.

Popatrzył na mnie bez wyrazu i bardzo krótko. W jego twarzy było jednak coś, co mnie zaniepokoiło.

- No, no, panie Randol, to bardzo interesująca odpowiedź - podszedł do tablicy.- Klasa, proszę łaskawie uważać. Niżsi kapłani, których wypuszczamy na nic nie podejrzewających parafian, mogą mieć wiele osobistych wad, jednak dążymy do tego, by nie rozumowali mętnie, by wyrażali się ściśle. Wobec tego, co to znaczy "zgodnie z tradycją"? Dowiedzmy się tego przy bezcennej pomocy Randola. Zaczniemy od wyliczenia wszystkich możliwości, które na pozór są niezgodne z jego odpowiedzią.

Napisał na tablicy:

(a) jest faktem, że Madonna jest towarzyszką Objawiciela.

(b) tradycja twierdzi, że (a), lecz według mnie tradycja się myli.

(c) wspominałem o tradycji tylko dlatego, by pokazać, że odrobiłem zadanie domowe. Patrzyłem na to w osłupieniu... Widzicie go, stary bałwan. Zrobił to już d-tuzin razy. Mam być kozłem ofiarnym w tej grupie. Nauczył się wszystkiego na pamięć. To jego inauguracyjny wykład. Kulawy wołc! Gil, w co ja wdepnąłem! Ostrożnie, spokojnie - czyż mogę znów nie dotrzymać słowa?

- Czy uwzględniłem wszystkie możliwości, Randol? - spytał dziekan.

- Tak, panie.

- Wobec tego musiałeś mieć na myśli jedną z nich?

- Tak, panie. (Ty pierdolony, pierdolony i pierdolący wypierdku wołca).

- Którą?

- Myślę, że wiara nakazuje mi, bym uwierzył w (a), panie.

- Rozumiem - Gard uśmiechnął się i na chwilę pokazał nam plecy, a gdy znów się odwrócił od tablicy, jakby po odbyciu wewnętrznej rozmowy, nadal się uśmiechał, lecz teraz był to lodowaty uśmiech.

- Wierzysz, że ludzkie istoty rozwinęły się z niższych gatunków, tak Randol?

- Tak, panie - powiedziałem zawzięcie. - Jest to wyraźnie dozwolone przez Wielki Układ jako

doktryna nie obowiązująca.

- Do licha z Układem. Chciałbym zwrócić twoją uwagę, Randol, że nie możesz wierzyć jednocześnie w ewolucję i w pisma.

Milczałem.

Święty mąż kontynuował uroczyście:

- Lecz nie jesteśmy tu po to, by rozpatrywać błąd teorii ewolucji. Jesteśmy tu po to, by się nauczyć, jak przygotowywać kazanie. Sama wasza obecność w tej klasie powinna być gwarancją, że znacie i akceptujecie fundamentalne doktryny naszej wiary. Nie możemy tracić bezcennego czasu na ponowne badanie pozbawionych logiki tez naukowych. Jeśli ktoś ma wątpliwości w tej sprawie, to może powinien przenieść się do grupy z programem teonaukowym. Zgadzasz się z tym, Randol?

Zaczerwieniłem się.

- Tak, panie.

A więc takie było zakończenie. Wpadłem w pułapkę.

- A teraz, zmieniając temat, chciałbym wyjaśnić wam, na czym polegać będzie praca semestralna. Będzie to, oczywiście, kazanie. Sami wybieriecie temat, lecz musicie potraktować go oryginalnie. Naprawdę oryginalnie, chociaż powiem wam, że wątpię, by wam się to udało. Możecie jednak próbować. Chciałbym wiedzieć, jak stosujecie słowa Siris w codziennych sytuacjach. Może to być nawet prawdziwa historia, byle nie była zbyt niewiarygodna. By wspomóc wasze myślenie, dam wam wydrukowaną listę tuzina standardowych tematów, które zafrapowały waszych poprzedników i które dla was powinny mieć nie mniej uroku. Przekonałem się z biegiem lat, że daremnie jest prosić was, byście nie korzystali z którejś z tych starych kaczek dziennikarskich, bo i tak to zrobicie na nic nie zważając. Niemniej jednak, mogę wam powiedzieć, że jeśli tak zrobicie i uda mi się przeniknąć wasze niezdarne usiłowania, by to zamaskować, nie otrzymacie A czy nawet B. Jeśli kamuflaż będzie naprawdę mistrzowski, mogę dać C. W przeciwnym razie oblejecie. Przechylił się w tył na krześle, założył ręce na brzuchu i spojrzał na nas badawczo przez okulary w aluminiowej oprawce.

- Chociaż oryginalne, a używam tego słowa dość swobodnie, niemniej jednak wasze kazanie powinno wykazać jakiś poziom erudycji. Udowodnijcie waszym parafianom, że ich pieniądze idą na naprawdę wykształconego człowieka. I dodajcie jeszcze coś autentycznego, ludzkiego, trochę współczucia, trochę humoru, może nawet odrobinę pospolitości, byle nie za wiele. To jest Damaskis, a nie Czarna Dolina (śmiech). Musi też posiadać silną moralnie pointę. Jak z Tuzina Maksym. Lecz jeśli użyjecie jednej z nich, obleję.

Rozejrzał się po klasie powoli i sardonicznie. Spojrzał znów na mnie. Wiedziałem, że to robi.

- Jakieś pytania, Randol?

- Nie, panie.

- Jesteście wolni.

W hallu pomyślałem raz jeszcze o Dziekanie Gardzie, jego kursie i sposobie myślenia.

Zastanawiałem się nad Układem i nad tym, jak wynegocjowana prawda skostniała z latami.

Pewnego dnia to wszystko będzie musiało się zmienić albo Szkarłatny Świat zgnije i umrze.

Niech nauka idzie swoją drogą, a Gard swoją. A kiedy to się wydarzy? Gdy zadzwoni wielki dzwon Objawiciel.

Tego szczególnego wieczoru, a było blisko ósmej i już ciemno, oparłem się w wejściu do wieży dzwonnicy i czekałem. Dzwonnik, młodzieniec, którego znałem tylko z nazwiska, spiesznie wyszedł zza rogu i spojrzał na mnie zaskoczony.

- Jedno krótkie pytanie - uśmiechnąłem się do niego. - Jaki jest tytuł tego kawałka, który grasz co wieczór na dzwonach?

- Tytuł? - zdziwił się jeszcze bardziej. - Tak naprawdę to nie ma tytułu. Nazywamy to

pasażem Vysa. Mówią, że Squire Vys wiele lat temu skomponował to na dzwony. Mamy grać ten utwór na nieszpory. Taki był warunek darowania. Dlaczego chcesz to wiedzieć?

- Ciekawość. Bardzo ci dziękuję - pomachałem mu na pożegnanie, a kiedy odchodziłem, dzwony zaczynały swoje.

Pasaż Vysa. To było to, co świątynne kuranty grały każdego szóstego dnia sekstyła. Tamten inny Vys - przodek założyciel, mecenas świątyni, nauczania i sztuk pięknych, zażądał najprawdopodobniej, by jedynym wynagrodzeniem za dary było grywanie tej subtelnej kantaty.

Nadaj czemuś nazwę, a zaczniesz to rozumieć.

A jednak nie wiedziałem wszystkiego. Nie mogłem stworzyć sobie jasnego obrazu, nie umiałem znaleźć właściwego pytania, które należało zadać. Słyszałem tę muzykę w świątyni i w kolegium. Ale nie tylko. Gdzie jeszcze?

Dziwne.

Dzwony rozbrzmiewały, a ja pomyślałem o Josi. Wśród dzwonów i kurantów wpłynęła po schodach. Czekala na mnie na podeście jedynie w nocnej koszuli i szlafroku. Cicho poprowadziła mnie do swego pokoju.

Sny, mgły, opary...

Rozdział ósmy

WYMIESZANE: JEIL, ŚWIĄTYNIA I BŁYSK OSTRZA

Kiedy Squire Gearing po raz pierwszy usłyszał, że "studiuję kapłaństwo", zdenerwował się, lecz gdy zobaczył, że nie zaczynam wygłaszać kazań w miejscu pracy, że trwają niezmiennie moje wizyty u Josi i że nie ma zauważalnej różnicy w moim zachowaniu, zaczął się uspokajać. W tych warunkach posiadanie pracownika mającego coś wspólnego z kapłaństwem mogło być nawet pomocne. Nadawałem ton fabryce.

Teraz wiercił mi dziurę w brzuchu rozwlekłymi dyskusjami religijnymi. Gearing wierzył w Siris, lecz nie był zbyt pewny co do Objawiciela, Madonny, Najświętszej Strzały i całej reszty mętnej mitologii.

"Ty przynajmniej wierzysz w Siris. W tym mnie dystansujesz" - pomyślałem.

Pewnego dnia w południe pomagałem Banowi rozładowywać wóz przy magazynie targowiska. Była to wielka doroczna dostawa papieru: pełen ładunek bel, worków i pudełek. Ciężka praca w mocno grzejącym słońcu. Wykorzystując status woźnicy seniora Ban pozwolił, by większość wysiłku spadła na moje barki. Nie sprzeciwiałem się, na jego miejscu postąpiłbym tak samo.

Ściągnąłem tunikę, by nie przesiąkła potem i pracowałem z nagim torsem.

Grzbiet lśnił mi w czerwonym, słonecznym blasku. Dobrze było żyć. Moje mięśnie śmiały się, tańczyły, a brzuch napinał się jak niebiański metal, gdy dźwigałem ciężkie pakunki i rzucałem je cierpliwemu Banowi. Weszliśmy w rytm. Daleki byłem od zmęczenia, czułem się coraz lepiej, nuciłem i pracowałem z zamkniętymi ustami. Nawet nie miałem trudności z oddychaniem. Ban zaczynał dyszeć.

W połowie roboty podniosłem wzrok. Na środku chodnika stała dziewczyna i przyglądała mi się uważnie. Poznałem ją, pamiętałem ją i to bardzo dobrze. Jeil Gard. Córka tego wypierdka.

Noc w jej ogrodzie, w ciemności, na frontowej werandzie jej domu. Leżałem na niej, pamiętam nawet jej zapach. O mało nie upuściłem beli papieru. Ban spojrział na mnie z wyrzutem. Wiedziałem, że stała tak już dobrą chwilę, zauważyłem jej postać przedtem kątem oka, jakoś podświadomie, lecz nie od razu zwróciłem na nią uwagę.

Kremowe policzki Jeil okrywał rumieniec. Pełne wargi były na wpół rozchylone i widziałem błysk jej zębów. Miała ostry, orli nos Dziekana. Jej nozdrza zdawały się teraz ruszać

poszukująco i żarłocznie. Mimo jasności południowego słońca jej oczy były szeroko otwarte i błyskały ku mnie czy raczej ku mojemu ciału. I zdawało się, że te oczy skupione są na akcie obnażania mnie z reszty odzieży. Dla niej byłem nagi.

Pozdrowiłem ją wesoło:

- Cześć, Jeil! - teraz nie wypadłem z rytmu, rzucając belę Banowi.

Nie spojrzała mi w oczy. Rzuciła jeszcze jedno, podsumowujące spojrzenie i skinęła głową.

- Cześć, Pol.

Powiedziała to prawie niedosłyszalnie. Obeszła nas dookoła i poszła dalej chodnikiem.

Ban odczekał, aż znajdzie się poza zasięgiem głosu, i gwizdnął.

- Sam dajesz sobie radę, by uszczęśliwić ją i zaspokajać? Gdybyś potrzebował pomocy, synu, powiedz tylko tatusiowi...

- To dziewczyna, którą znałem w szkole - powiedziałem wymijająco. - Córka jednego z moich profesorów.

- Nosila za tobą książki i zawsze wybierała niewłaściwą drogę?

- Masz parszywe myśli, Ban.

Był kolejny poranek sesste. Siedzieliśmy z matką w naszej stałej ławie kościelnej i czekaliśmy, aż chór skończy śpiewać i zacznie się kazanie Dziekana Garda.

Siadywałem na tej drewnianej ławie z matką i bratem (zanim nie umarł) przez dziesięć lat. D-tuzin i więcej razy starałem się że wszystkich sił nie usnąć podczas kazania. Dopiero ostatnio zaczęło mi się to udawać, lecz nawet teraz, gdy miałem święty obowiązek uważać, może nawet robić notatki, nadal nie opuszczało mnie pewne uczucie senności. Wbiłem sobie paznokcie w dłonie. Ból trochę pomógł.

Westchnąłem i słuchałem hymnu.

Święty mąż śpiewał przepięknie. Uwielbiał dyrygować chórem i dołączać do niego swój dźwięczny baryton.

To była specjalna okazja. Doroczne kazanie napominające. Świątynia była zatłoczona.

Dzisiejszym tematem były strzygi. Pomyślałem o zamordowaniu Jehanne-Mar i znów westchnąłem. Niech tam, może przynajmniej nie usnę.

- Jak można wykryć strzygę? - zagrzniał Gard. - Jest kilka sposobów. Strzyga nigdy nie zdoła ukryć się przed świętą ręką Siris. Jeśli kobieta będzie bluźnić lub wygłaszać herezje, to jest strzygą. Zostanie skazana i spalona. Ach, mówicie, że ona milczy? Przypuśćmy, że nie może być skazana za to, co mówi? Co wtedy? No cóż, spójrzcie na jej ciało. Normalna krew ludzka jest czarna. Ale nie jej krew. Jej krew jest czerwona. Wy i ja mamy po jednym płucu. Ona ma dwa. My mamy dwa serca, ona ma tylko jedno. Na jej ciele mogą widnieć blizny, to siriS podrapał ją, by naznaczyć swą własność. Może też mieć nie sześć, tylko pięć palców. I weźcie pod uwagę jej mowę. Może mieć inny akcent i w chwili nieuwagi może wysławiać siriS w obcym języku, znanym tylko jej i jej złemu panu.

Przerwał, złapał się obiema rękami za pulpity i spojrzał na nas złowieszczo, jakby wyszukiwał wśród zgromadzonych potencjalne strzygi i czarowników.

- Lecz głównym przymiotem, najtrudniejszym do umycia, jest to, że ona nigdy się nie starzeje. Pozostaje wiecznie młoda. Była młodą i piękną kobietą, kiedy widzieli ją wasi ojcowie i jest taka nadal i będzie taka jutro i zawsze, dopóki nie zostanie schwytana i spalona! Absolutne wariactwo. Jehanne-Mar była stara i pomarszczona. Och, no dobrze, może są różne odmiany strzyg... stare... młode... Naprawdę, mało mnie to obchodziło.

Było to pięknie ułożone i wygłoszone, dokładne mistrzostwo architektury kazań. Ze smutkiem uświadomiłem sobie mój brak wprawy. Gard, rzecz jasna, wyprzedzał mnie praktyką o całe pokolenie. Lecz jego wyższość polegała na czymś jeszcze. Była w nim mieszanina pewności siebie, talentu i rozważnego, przenikliwego wglądu w psychikę tłumu, który stawał przed nim każdego szóstego dnia. Porównać to - myślałem - można z wielką

przepaścią, która istnieje między mną a ludźmi w ogóle, a w szczególności dobrymi ludźmi w tej świątyni.

Tace z datkami były przepelnione: Tu i tam nawet błysnęło czerwienią. Raz jeszcze dobry Dziekan przekonał ich, że są dobrymi, wartościowymi ludźmi, solą prowincji. Okazali swoje uznanie w jedyny sposób, jaki naprawdę się liczył.

Przy drzwiach świątyni matka powiedziała kapłanowi, że było to najlepsze kazanie, jakie dotychczas wygłosił. Był skromny:

- To wszystko dzieło Siris.

Stałem na uboczu, na dalszym planie, nie kwapiąc się, by wpaść wielkiemu człowiekowi w oko. Lecz on i tak mnie odszukał.

- Do zobaczenia w klasie, Pol.

- Tak, panie.

Teraz, gdy Gard miał nade mną zupełną władzę i posiadał (o czym obaj dobrze wiedzieliśmy) absolutną i arbitralną moc decydowania, czy mogę pobierać nauki, zniechęciłem go serdecznie. Może po prostu byłem zbyt niedojrzały, by pojąć wielkość umysłu i charakteru Garda. Należało raczej poszukać dobrego tematu do kazania. Moja sympatia czy antypatia do Garda nie miała tu nic do rzeczy.

Przez ostatnie dni wywracałem mój umysł do góry nogami, usiłując coś wymyślić.

Dyskutowałem z matką, lecz ona była całkowicie pod wpływem Garda. Pomysły, które mi podsuwała, to był Gard w czystej postaci. I z pewnością on rozpoznałby siebie. Matka sugerowała coś ogólnego, jak potęga modlitwy. Na ciemną dziurę! Nigdy się nie modliłem! Rozpowszechnianie słowa bożego w innych krajach? Co ja wiedziałem o obcych krajach! Nigdy nie byłem poza Damaskis.

Rozważałem ten problem w drodze do pracy i z pracy. A szczególnie wtedy, gdy szedłem do domu z kursu. Szedłem przez ciemny park pełen westchnień drzew. Lecz żaden pomysł nie przyszedł mi do głowy.

Czas dobiegł końca. Sytuacja stawała się rozpaczliwa. O, Siris, jak ja nienawidzę kolegium. Nienawidzę pism. Nienawidzę Objawiciela... Najświętszej Strzały... Madonny... Gwiazdowego Statku... Spaceru ku śmierci i z powrotem.

Czy wierzę, że Objawiciel zapłodnił Madonnę? Czy wierzę, że Siris istnieje?

Ha!

Nic dziwnego, że nie umiem napisać tak prostego, niedużego tekstu, jak dyplomatycznie przebiegłe, niedorzecznie głupie Gardowe kazanie.

Chodzę i myślę. Ale bez względu na to, o czym zaczynam myśleć, ostatecznie wszystko zawraca ku Josi. Wyobraziłem sobie, że to ona, a nie Jeil, stała tam na ulicy, przyglądając się moim spoconym mięśniom.

Ach, Josi, Josi...

Naprawdę zobaczyłem ją następnego dnia.

Wszedłem do głównej sali "Wieży" po posiłek dla mnie oraz chleb i napar dla Gearinga, a ona stała przy kontuarze Squire Vysa.

Coś jednak było nie tak.

Młody, jasnowłosy facet, bardzo przystojny, stoi obok niej i mówi coś niskim, nalegającym głosem. Kładzie rękę na jej ramieniu. Ona patrzy na niego zimno i próbuje się wycofać. On podnosi głos. Dopiero południe, a już jest zupełnie pijany. Otacza ramieniem jej talię, pochyla się nad nią zmuszając ją, by odchyliła się do tyłu. Jej loki zwisają krzywo z tyłu, mięśnie szyi naprężają, próbuje odzyskać równowagę. Usta zaciskają się w gniewnym zaskoczeniu.

Próbuje kopnąć go w krocze, lecz pozycja jest zbyt niewygodna.

W końcu przychodzę do siebie. Startuję...

Jakiś zamazany ruch. Nie ja, nie Josi, nie on. On skowyczy i gwałtownie od niej odskakuje. Coś się stało i to szybko. Przez chwilę stoję osłupiały. Nie wiem właściwie, co się stało. Spostrzegam nagle, że obok Josi i jasnowłosego pojawił się Boogi. Jego śniada twarz jest nieprzenikniona, twarda. Kołysze się na podbiciach stóp. W tył i w przód, w tył i w przód... Z ręki do ręki przekłada nóż do siekania mięsa.

Na prawym policzku obcego z wolna występuje czarna smuga. Rozprzestrzenia się i zaczyna ściekać powolnymi, grubymi kroplami. Mężczyzna przykładą dłoń do policzka, patrzy na mokre palce, potem na Boogiego i na ostrze. Jego zdziwiona twarz zaczyna się rozjaśniać. Jest na bolesnej drodze do wytrzeźwienia. Cofa się, zatacza na kapitana Kertora, który chwytą go i utrzymuje na nogach. Obcy odwraca się i patrzy na Kertora. Myśli, że to wybawca. Omyłka.

- Widziałeś to? - sapie. - On próbował mnie zabić.

- Nie, synku - uspokaja go milicjant. - Wszystko zrozumiałeś opacznie. On próbował uratować ci życie. Ja zamierzałem cię zabić, lecz on dopadł cię pierwszy. - Emerytowany oficer uśmiecha się do ociekającego krwią jasnowłosego. - Nikt nie będzie paskudził z panną Josi. Nikt - obrócił obcego i wskazał drzwi. - Właśnie wychodziłeś, prawda? Chodźmy, odprowadzę cię do wyjścia.

Uwolniony gość zachwiał się i popędził w kierunku frontowych drzwi. Lecz to jeszcze nie był koniec. Coś błyska nad nim i z głuchym łomotem wbija się we framugę drzwi dokładnie nad głową obcego. Czubek noża Boogiego chowa się w drewnie.

Ofiara wrzeszczy, splata palce nad głową i z trzaskiem przebija się przez zamknięte drzwi. I tak kończy się ten drobny incydent.

Kertor wzdycha, podchodzi do drzwi i wyciąga nóż. Spogląda na uśmiechniętego szeroko kucharza.

- Jesteś beznadziejnym pozerem, Boogi. Ciągłe się w tym ćwiczysz i kiedyś posiekasz cały ten cholerny dom. I popatrz na to drewno. Josi odbije to sobie na twojej skórze.

Rzucił ostrze z powrotem kucharzowi, który przytupywał w wesołych obrotach, przyjmując wszystko jako wyrazy uznania.

Spojrzałem na dziurę w miejscu, gdzie nóż uderzył. Po prawej i lewej stronie widniały inne głębokie wcięcia. Widocznie nie pierwszy raz nóż Boogiego żegnał wychodzącego gościa. Boogi panował nad sytuacją.

Ukradkiem spojrzałem w głąb sali. Josi odeszła. Zastanawiałem się, jak by to było, gdyby ten przedmiot zagłębił się w mojej czaszce. Faktycznie, nie poczułbym niczego. Śmierć nastąpiłaby natychmiast. Potarłem tył głowy. Potem zapakowałem jedzenie, wziąłem chleb i napar dla Gearinga i drżąc wyszedłem.

Później usłyszałem opowieść, że Boogi zabił człowieka, który szpetnie nazwał Josi, lecz wymknął się jakoś i nigdy nie rozpoznano w nim zabójcy. Czy mogła to być prawda? Nie miałem zamiaru tego sprawdzać.

Rozdział dziewiąty

DŁUGI SPACER

Był środek nocy.

Leżałem w łóżku z otwartymi oczami i myślałem o przyszłości czy raczej o jej braku.

Żadnego tematu do kazania. Żadnego kazania. Oblany kurs u Garda, stypendium przekreślone, wyrzucenie z kolegium. Matka będzie zdruzgotana.

Chciałem umrzeć, lecz pragnąłem zrobić to w sposób, który nie zraniłby matki. Chciałem, żeby siriS objawił się na krótko w jednym tylko, wyłącznym celu - takiego uporządkowania i poprzestawiania świata, bym nigdy w nim nie zaistniał; odmiennej kontynuacji

czasoprzestrzeni, która potoczyłaby się z furkotem do przodu, lecz już beze mnie. Nierealne.

Były jeszcze inne sposoby. Zawsze pozostawała Chata Śmierci. Dziwna myśl. Najprostszym lecz niemożliwym rozwiązaniem byłoby pójść spać i więcej już się nie obudzić. Lecz nie wiedziałem, jak to zrobić. Czy matka pragnęła tego, kiedy umarli ojciec i Gil? A może nawet teraz? Czy kiedykolwiek prosiła w wieczornych modlitwach: drogi Siris, proszę, nie pozwól mi się obudzić... No dobrze, może to czyniła. Zasłużyła na spokój. A więc czyją było właściwie zasługą, że istniałem w tej ciemnej dziurze? Nie byłem szczególnym przypadkiem. Oboje z matką byliśmy bezradnymi pionkami jakiejś kosmicznej partii jaq. Wolna wola była gównem warta. Posiadaliśmy ją w takim sensie i o tyle, o ile mają ją unoszące się w powietrzu pyłki kurzu. Och, siriS. Odwróciłem się i ukryłem twarz w poduszce. Jutro będzie cinque. Po południu pójde na długi spacer i może coś wymyśle: Pragnąłbym spędzić z Josi tuzin chwil, choćby tylko trzymając się za ręce poprzez stół. Ale jutro nie będę myślał o Josi, lecz o tematach do kazania.

Jakby nie było dość chodzenia do pracy i do kolegium, spacerowałem także w wolne dni końca sekstyla. Nie miałem pieniędzy na cokolwiek innego, a spacerować lubiłem. Wtopienie się w ulicę koło moją samotność i podnosiło mnie na duchu. Nieprzerwany, swobodny krok niósł mnie stadię za stadię i zrywał pęta, które mnie ograniczały.

Przodem truchtał zazwyczaj Burnie.

Tego popołudnia spacer miał być czymś szczególnym. Potrzebowałem tematu do kazania. Wracając z pracy, w myślach organizowałem sobie czas. Nie zatrzymałem się przy Bibliotece Publicznej, lecz poszedłem prosto do domu, gdzie przygotowałem sobie skromne kanapki z resztką czarnego cukru i kawałkiem gotowanego zorka. Matka spędzała ten wieczór z ciotką Su i nie było potrzeby wyjaśniać jej, czemu mam zamiar wrócić późno. Nie zrozumiałaby tego, bo i jak. Byłem jej wdzięczny za brak pytań. Byłem też zmartwiony i musiałem pomyśleć. Z pewnością nie mogłem winić matki za to, że wziąłem stypendium religijne ani za to, że znalazłem się w kłopotliwej sytuacji z powodu zadanego kazania.

A przecież przygnębienie było coraz głębsze. Chwilami, gdy byłem zdolny spojrzeć na sprawę jasno, odczuwałem oszołomienie. To nie było w porządku. Za wiele ode mnie wymagano. Duchowe i moralne zobowiązania nierozłącznie skojarzone z umową i czekającą mnie w końcu Świątynią były dla mnie nie do przyjęcia.

O trzeciej po południu zawołałem Burniego i wyszliśmy. Jak zawsze, yed był zachwycony. Krążył wokół mnie, obwąchiwał drzewa o d-tuzin kroków przede mną, lustrował tyły, galopem przebiegał tam i z powrotem przez chodnik i frontowe podwórze. Uśmiechnąłem się ponuro. Oszczędzaj siły, głupi, będziesz ich potrzebował jeszcze po północy.

Północ? Czy naprawdę zamierzałem spacerować tak długo? Ta myśl nie przeraziła mnie; raczej zaintrygowała. Zmierzyć się ze stadiami, ile właściwie byłem w stanie przejść?

Obrałem kurs na most odległy o tuzin i trzy stadia.

Przecinaliśmy kolejno ulice noszące imiona świętego Auda, Trocka, świętego Bo. Na przemian, raz uczony, raz święty, dokładnie tak, jak zostało to ustalone w Układzie. Jakie nazwy nosiły te ulice, aleje i bulwary przed Wojną? Nikt już nie pamiętał. Ruszyliśmy szybko. Mijane yedy ledwo zdołały obrzucić nas wyzwiskami, gdy już byliśmy przy następnym kwadracie miasta. Wzdłuż brukowanych ulic ciągnęły się chodniki i domy stykające się bocznymi ścianami, bez wolnych parcel, w powietrzu zaś unosił się uporczywy zapach wielobarwnych liści myc. Te drzewa przeżyły. Prawda, było jeszcze kilka krzaczastych querc, karłowatych drzew owocowych i różdek zwieszających się nad brzegami strumieni. Coś rosło nawet gdzieniegdzie na dziedzińcach przed domami. Czeka je jednak trzyletnia susza lub trzy sekstyle na przemian występujących mrozów i chłódów.

Wtedy one zginą, lecz myc pozostaną - nieustraszone i nie wzruszone.

Myc trwają i budzą szacunek. Roztropni obywatele Damaskis poznali się na tym. Większość drzew rosnących wzdłuż nowych ulic to właśnie myc. One ocieniają naszą szkołę i wypełniają parki. Tej jesieni umierające liście wydzielają wyraźny zapach, wyrafinowany i mocny. Przy odpowiednim nastawieniu mógł być jednak przyjemny; nie wszyscy są zdolni do dostrzec. Trzeba być przygotowanym, by odbierać zapach i barwę łącznie, by zestroić zmysły. Wiedziałem, dlaczego liście zmieniają się z czarnych na czerwone - to rozkładające się węglowodany nadawały kapilarom tkanki łącznej barwę szkarłatu.

Myc wzdłuż ulic były teraz przeważnie purpurowe. Przeszły już przez stadium bladej czerwieni i kasztanu. Kopnąłem stertę liści i skręciłem na południe, w kierunku Koray Avenue, w kierunku domu, gdzie kiedyś wszyscy żyliśmy razem, zanim zaraza zabiła ojca, a nowotwór mózgu Gila. Dziekan Gard (który trzymał naszą hipotekę) pozwolił nam zostać aż do śmierci Gila, potem musieliśmy odejść. I to był koniec tego miejsca jak z raj, z ogrodem matki w wewnętrznym atrium i szeregiem myc wytyczających granicę posesji od frontu. Zatrzymałem się w uroczystej ciszy i przyjrzałem się domowi. Trawnik umierał. Kiedyś pełna życia czarna darń poszarzała, potrzebowała vady. Przez cały ten czas nikt tu się jeszcze nie wprowadził.

Oczami wyobraźni przypomniałem sobie mój mały pokój na tyłach i większy pokój Gila od południa. Okna obu wychodziły na wewnętrzny dziedziniec, pośrodku którego tryskała fontanna śpiewająca nam wieczorami do snu.

Gil umarł w swoim pokoju. Kiedy leżał konając, oddech matki zsynchronizował się z jego oddechem, jakby chciała pomóc mu, lecz nie była w stanie powstrzymać jego odejścia.

Jadalnia była naprzeciwko. Na dużym stole grywaliśmy z Gilem w jaq.

Przeszedłem jeszcze parę kroków i stanąłem na przecięciu chodnika z podjazdem. Na narożnym murze można jeszcze było ujrzeć szczyrby. Pluton żołnierzy-kapłanów ustawił tam rzędem pojmany patrol żołnierzy-uczonych i rozstrzelał z kusz. Groty przeszły przez ciała i uderzyły w nasz mur. Było to podczas ostatnich dni Wojny, kiedy dochodziło do wielu ohydnych wydarzeń. Wiedziano, że dziadek był sympatykiem uczonych, więc kiedyś sierżant zapukał do drzwi i przeprosiwszy za zakłócenie spokoju "pożyczył" od dziadka wołca i wóz, by wywieźć zwłoki. Ani wołca, ani wozu dziadek więcej nie oglądał. Mieliśmy szczęście. W następnym kwadracie spalono trzy domy i stajnie wołców. Mój ojciec (wtedy chłopiec) mówił, że tamtej nocy obudziły go ryki zwierząt. Nic nie można było zrobić. Gdyby pobiegło się po pomoc, można by dostać włócznią w brzuch czy strzałę w plecy. Wcześniej podczas tej Wojny (czy też było to później?) wałęsający się bandyci rabowali i zabijali na tej drodze podróźnych, i to na oczach pracujących w pobliskim zagajniku drwali.

Nic dziwnego, że Układ przyjęto z wdzięcznością.

Sypialnia matki i ojca było obok mojej.

Spojrzałem na frontowe drzwi. Okna salonu wychodziły na wewnętrzne podwórze. W tym pokoju stał lirykord matki. Grywała na nim, nie doskonale (nigdy nie brała lekcji), lecz z zapałem i poprawnie. Ci, którzy nas przeprowadzili, zgodzili się przyjąć instrument jako należność. Gderali, lecz nie było wyboru. Zresztą, w małym mieszkaniu, które zajmowaliśmy teraz, nie było miejsca. Nie było też za co oddać go na przechowanie.

Dobrze, że tragarze nie wiedzieli, co działo się z lirykordem ostatniej nocy, a dokładnie nad ranem przed wyprowadzką. Otóż instrument zagrał sam. Podzwaniał, postukiwał. Pamiętam matkę, jak w nocnej koszuli stała i patrzyła w kierunku salonu. I słuchała. To była ulubiona melodia ojca którą czasem wystukiwał czterema palcami: początkowe takty popularnej, słodko-gorzkiej ballady Widziałem Objawiciela, opartej na eposie Terna. Słowa były całkiem bez sensu:

Życie jest tylko kaprysem i chwilą,

Śmierć czymś jeszcze pomniejszym, możecie mi wierzyć,
I choć oba na odpowiedź się siłą,
Nie wiedzą, czego dokonać ma Mary Dyer.

Ojciec kochał tajemnice! Co to wszystko znaczyło? Kim lub czym była Mary Dyer? Tego nie wiedział nikt, może nawet dawno zmarły poeta.

Muzyka umilkła. Matka zgasła lampkę. Nigdy nie wspominaliśmy o tym incydencie. Przeprowadzka z domu o tuzinie pokoi do dwóch izb nad stajnią była trudna dla nas. Tu nie było miejsca i większość rzeczy Gila trzeba było sprzedać.

Lecz z perspektywy czasu nie miało to znaczenia. Jeszcze przed przeprowadzką została stoczona i wygrana inna walka, wobec której sama przeprowadzka niewiele znaczyła.

Ogromnym zwycięstwem matki było, że utrzymała nas razem w dużym domu. Gil nigdy nie miał się dowiedzieć, że rozeszły się wszystkie pieniądze.

Spojrzałem na podjazd. Dostawcy korzystali z niego - prowadził również do kuchennych drzwi. Na tyłach atrium była półotwarta szopa, w której czasem miały miejsce dziwne rzeczy. Zimą Burnie sypiał tam na stercie starych koców, latem Gil produkował lody.

Matka gotowała wtedy słodki, galaretowaty sos tak gęsty, że ledwo dawał się wlewać do aluminiowego pojemnika zamrażacza. Potem Gil pakował puszkę do drewnianego cebra z odmierzonymi porcjami morskiej soli i pokruszonego lodu. A potem siadał i kręcił. Dla mnie, przyglądającego się, było to najdłuższe pół godziny. Gila to nie przerażało. Zabierał ze sobą nowy numer "Teonauki" lub "Pobożnego Chemika", umieszczał w specjalnym rusztowaniu z aluminiowego drutu, czytał, kręcił i od czasu do czasu przewracał strony.

Matka żywiła pewną nieufność do głębokiego zainteresowania Gila nauką. Szczególnie, gdy opowiadał o ewolucji. To była herezja przeciw pismom i nie chciała tego słuchać. Lecz zainteresowania Gila nie ograniczały się do nauki. Był ekspertem od osobliwości takich, jak sporządzanie map, tkactwo i tubylcy. Przeczytał w Bibliotece Publicznej wszystkie książki historyczne tak pisane, jak i drukowane; ze wszystkiego robił notatki i jego zbiór papierów był imponujący. I był artystą - wygrawerował tableau klasy do rocznika kolegium.

Wszystkie te rzeczy odziedziczyłem po nim w spadku. Tak półprofesjonalną dokumentację, jak i sprzęty - deskę kreślarską, kątownicę, ekierki, przybory do kreślenia i butelkę po tuszu. Do kogo Gil był podobny? Do młodego Terna czy świętego Filliana, może do Praxo.

Oczywiście, zanim uczynili cokolwiek, za co potem miano ich zapamiętać.

W szopie Gil miał też swoje laboratorium. Tutaj wyjaśniał mi "naukę".

- Masz na myśli teonaukę - powiedziałem kiedyś.

- Naukę - poprawił. Ukradkiem rozejrzał się dokoła i zniżył głos. - Wiesz, że ojciec i terminatorzy przepisują wiele zakazanych zwojów.

Spojrzałem na niego zakłopotany i zaniepokojony. Lecz on niewzruszenie ciągnął dalej.

- No dobrze. Teraz wiesz. Ojciec pozwolił mi je czytać, jeśli będę miał ochotę. Może za rok czy dwa i ty będziesz miał do nich dostęp. Część książek, nawet tych przechowywanych w Bibliotece Publicznej, uważana jest za śmiertelny sekret. Nawet ich posiadanie przez ludzi jest przestępstwem kryminalnym. Te rzeczy tutaj - kopie kopii, jak się domyślam - pochodzą z oryginalnych manuskryptów wielkich uczonych; a więc z Borosa, który zidentyfikował tożsamość powietrza i vady, Troka, który odkrył tlen i to, że może on reagować z wodorem, Auda, który ułożył teoretyczną tabelę dwudziestu trzech znanych pierwiastków i Bo, który rozdzielił tabelę Auda na siedemnaście pierwiastków wymiernych i sześć niewymiernych. Jak wiesz, ci dwaj ostatni zostali spaleni.

Zmarszczyłem brwi.

- Lecz Aud i Bo to święci. Święty Aud, święty Bo. Jesteś pewien, że zostali spaleni?

- Absolutnie. Znasz tę zasadę. Najpierw spalony, potem uświęcony. Aud został świętym, gdyż poniewczasie ustalono, że odkrył nowy pierwiastek i nazwał go stand od nazwiska

najwyższego biskupa prowincji Bessel. Żeby nie dać się przelicytować, kapłani z Czarnej Doliny poszperali w zapleśniałych notesach Bellika Bo i dowiedzieli się, ku ogólnemu zresztą zdziwieniu (tu Gil spojrzał ku niebu), że ten dobry uczony rzeczywiście odkrył całkiem nowy pierwiastek i nazwał go - berylin. Uczynił tak z pewnością na cześć naszego dobrego przyjaciela, arcybiskupa Beryla, lecz po prostu zapomniał komukolwiek o tym powiedzieć. Gil mógł tak mówić godzinami.

Niebiański metal nie został odkryty jak wszystko. Spadał z nieba w płonących kawałkach i musiał być obrabiany w specjalnych kuźniach. Był bardzo twardy i używano go do wyrobu najlepszych zbroi, grotów, mieczy i noży.

- Boros twierdzi, że nasz mały świat zrodził się ze słońc, które eksplodowały, zanim stały się dość gorące, by wytworzyć żar - powiedział Gil. - I uważa, że prawdopodobnie istnieje wiele innych, nieznanych pierwiastków; niektóre z nich są bardzo osobliwe, ciężkie, aktywne, a inne obojętne.

- Jak on mógł to stwierdzić?

- Jest przedmiot zwany spektroskopem, taki szklany pryzmat. Możesz patrzeć przy niego na płomień i kolory powiedzą ci, jakie pierwiastki się palą. W ten sam sposób możesz patrzeć na słońce. Tam udaje się znaleźć tylko dwadzieścia trzy pierwiastki, żadnego niebiańskiego metalu. A gdy skieruje się spektroskop ku gwiazdom, wiele z nich pokazuje inne pierwiastki. Chcesz wiedzieć, ile Boros znalazł ich w Jasnej Gwieździe?

- T-tuzin?

- Dalej.

- C-tuzin? Pięć?

- Dziewięćdziesiąt dwa pierwiastki. Co najmniej. Gapiłem się tylko na niego, niczego nie pojmując.

- Możesz sobie wyobrazić, jaka cywilizacja mogłaby się rozwinąć?

Potrząsnąłem głową z zaciekawiony.

- Mogliby budować wielkie statki do żeglowania ku gwiazdom. Mogliby przybyć tutaj. Być może już przybyli, może już tu są. Childe Trok uważa to za całkiem logiczne.

Spojrzałem sceptycznie.

- A co w tym takiego wielkiego? My mamy balony wodorowe z parowymi śmigłami.

Spojrzał na mnie i zaczął się śmiać. Zasmucił mnie.

- Dlaczego nie zagramy sobie partyjki jaq? - powiedział, gdy w końcu przestał się śmiać.

Gil grał w jaq tak, jak niektórzy piją. Grał dlatego, że czuł się dobrze lub dlatego, że czuł się źle, dlatego, że był rześki, radosny, jesienny dzień albo że było upalnie, czy też że właśnie przebrnął przez ważny egzamin z notą A+ lub że dostał tylko C. Sam przyznawał, że spędza nad nim zbyt dużo czasu, że jaq jest dla niego największą rozpustą, narkotykiem, nałogiem. Próbował się usprawiedliwiać.

- Jeśli byłbym wysokim kapłanem lub kimś ważnym, byłaby to niemoralna strata czasu. Lecz kim ja jestem? Nikim! A zatem ta zabawa nie ma znaczenia. A liczba permutacji i kombinacji jest absolutnie nieskończona.

Nauczył mnie grać. Prowadził mnie przez gambity aż do gry. Zauważyłem (ku zdumieniu), że wygrywam jedną partię na trzy. Ni mniej, ni więcej. Zdawałem sobie sprawę, że Gil z łatwością mógłby mnie pobić, mógłby wygrać każdą z tysiąca partii, gdybyśmy tyle postanowili zagrać. Rozmyślnie oddawał mi jedną na trzy, w myśl teorii, że muszę też wygrywać, inaczej stracę zainteresowanie. Pomyślałem nawet, czy może nie wypomnieć mu tego podstępnie, lecz dałem spokój. Wypożyczyłem natomiast wszystkie zwoje o jaq i studiowałem je starannie. Biblioteka Publiczna była dobrze zaopatrzona, a ja utrzymywałem wszystko w sekrecie, lecz nadal wygrywałem jedną partię na trzy.

A potem wszystko się skończyło.

Rozdział dziesiąty

DOM

Wspominałem.

Początkiem końca był dzień, kiedy Gil rozlał sobie w laboratorium kwas na rękę. Tracił koordynację ruchów w ramionach, nadgarstkach, palcach... Potem przyszły testy teomedyczne. Musiał porzucić kolegium.

Wkrótce odkrył, że chodzenie sprawia mu trudność. Dali mu laskę, której nie chciał używać. Aż kiedyś upadł w łazience. I coraz bardziej tracił słuch.

- Jak długo? - pytała matka kapłanów i teomedyków.

- To może nadejść nagle - mówili jej. - Może też przeżyć miesiąc, może dotrzeć do przyszłego roku.

I oto leżał tak samo bezradny jak przed dwudziestu laty, gdy opuścił jej rozdarte łono. Był niemy i poza możliwością wyrażania podstawowych potrzeb. Zmieniała mu pościel i podkłady, karmiła łyżeczką. Czytała mu na głos.

Przesunęła swoje łóżko do jego pokoju. Przelewała na niego jakąś część swojej żywotności i wciąż nie umierał.

W chwili poprzedzającej śmierć Gil odzyskał świadomość. Odniosłem dziwne wrażenie, że ja i matka, i ciotka Su, i wszyscy zgromadzeni wkoło łóża bóleści byliśmy tymi, którzy gasną, umierają, nie słyszą, i że to Gil był żywy, promienny i miał jakby wielkie skrzydła. Zdawał się patrzeć ze zdziwieniem na słabe i wątłe postacie, które przyszły, by się z nim pożegnać. Jęknąłem. Musiałem przestać myśleć o Gilu i domu.

Bumie zaczął skomleć. Spojrzałem na yeda. Powroty tutaj zawsze niepokoiły Burniego. W domu był kimś.

W młodości Bumie miał niefortunny zwyczaj ściągania na siebie uwagi. Był ruchliwy, włochaty i ciągle liniał. Jako szczeniak żuł różne przedmioty. Uwielbiał smak starego kleju, szczególnie w postaci stosowanej w okładkach książek.

Uwielbiał kopać i był w tym dobry.

Jeden po drugim wykopywał raz za razem matce kwiaty z klombów. To nie zwierzę - myślałem - to fenomen, katastrofa żywiołowa, zupełnie jak trąba powietrzna czy powódź.

Gil często tłumaczył Burniemu, że źle się bawi i wyjaśniał, że za brak poprawy czeka go kara. Przemocą przewracał szczeniaka na grzbiet i, drapiąc go po brzuchu, mówił:

- Ty grzeszna mała kreaturo, pozwól, że ci to wyjaśnię (dołączałem do nich i słuchałem zafascynowany). Jeszcze jedno wykroczenie, jeszcze jeden fałszywy krok, najdrobniejszy nawet, a dostaniesz za swoje. Najpierw naostrzę rzeźnicki nóż mamy, aż będzie jak brzytwa, potem, gdy ty będziesz tu leżał jak ufna, włochata kula, obedrę cię ze skóry. Triumfalnie podniosę ją, małą, brązową i ociekającą jeszcze twoją krwią. Rzucisz na nią jedno zaskoczone spojrzenie, a potem padniesz martwy. Zbiorę w garść twoje krwawe, drobne ścierwo, zapakuję w stare gazety i cisnę do kubła na śmieci. Nim upłynie sekstyl, będziesz leżał pod grubą na tuzin stóp warstwą. Jak ci się to podoba? Fajnie by było, prawda? Z góry się cieszysz, co? Dobrze, wyświadczę ci tę grzeczność. Wieczorem naostrzę nóż. Reszta zależy od ciebie. Aha, pierwszego cięcia dokonam tu - łaskotał środek brzucha Burniego, który nie posiadał się z radości.

Innym znów razem opisywał szczeniakowi, co zrobi z jego skórka.

- Kupię książkę Kot w sztuce i historii i zaniosę ją do introligatora, a on oprawi ją w twoją skórka.

Albo:

- Potrzebuję małego dywanika przed łóżko, by stawiać stopy na podłodze w zimowy poranek. Doskonale do tego się nadasz.

Albo:

- Co powiedziałbyś o parze ciepłych, brązowych rękawiczek? Twoje przednie łapki byłyby kciukami.

Wszystko to minęło, gdy dorosły Bumie ustatkował się i spoważniał. Lecz dość wspomnień, pora ruszać. Odwróciłem się, zawołałem yeda, przeciąłem ulicę i szybko poszedłem dalej. O smutny domu, tak pusty, a tak pełny!

Źle, że wstąpiłem na tę ulicę, teraz żadna nie będzie już właściwa. Skierowaliśmy się ku cmentarzowi. Znowu szeregi drzew, znów myc. Wielkie, zamykane wieczorami bramy, trawa szara od posuchy. Gdyby nie to, że ojciec miał nagrobek, nigdy nie potrafiłbym odnaleźć grobu Gila. Nie było pieniędzy na płytę.

Po pogrzebie byłem tu tylko raz, pewnego sesste, i to sam.

Niewysoki, podłużny kopiec okryty darnią. W tej ziemi była drobna, lecz nieistotna cząstka Gila - marszcząca się na kościach skóra i czarna tunika. Reszta znajdowała się w pamięci mojej i matki, może jeszcze w głowach kilku jego przyjaciół, w notesach i studiach, które porzucił.

Lecz matka oczywiście wierzyła (i ja też powinienem), że Gil żyje nadal... gdzieś, w jakiejś innej postaci...

Życie po śmierci? Gil próbował zsyntetyzować eliksir, za pomocą którego mógłby dowiedzieć się wszystkiego przed śmiercią. Lecz nie dokończył pracy.

A może by tak w kazaniu poddać analizie moje poglądy na nieśmiertelność? Już widzę reakcję Garda!

Bumie kichnął. Poczułem słaby podmuch, niosący charakterystyczną woń cmentarza. Mimo masowości rzezi wojny, od chorób umarło tyle samo ludzi, ile od miecza. Podczas zarazy masowe groby napełniano aż do przesady i to tak bezceremonialnie, że zbroje zostawały na zwłokach. Do dziś odór śmierci niósł się ku miastu z zachodnim wiatrem. Był wyczuwalny przez sześć warstw gleby. Jeszcze jeden powód radości z zakończenia Wojny i z Układu, i mało kto patrzył na jego warunki.

Ruszyliśmy cmentarną aleją.

Niebo, które o trzeciej było ostropurpurowe, o szóstej stało się ciemnoczerwone.

Między tymi kolorami była olbrzymia różnica jak w kalejdoskopie Gila. Wspaniała, żywy obraz złożony z monochromatycznych warstw. Majestatyczna procesja czerwieni. W powietrzu była domieszka kurzu. Zdałem sobie sprawę, że to co widzę, to rozproszenie światła i selektywna absorpcja.

Wiedziałem, że tego wieczoru nie spotkam nikogo więcej, kto wbijałby spojrzenie w niebo. Z góry niosło się uporczywe brzęczenie. To napędzany parą balon z Dervil kierował się na krótki postój na lotnisku w Damaskis. Pilot musiał się pospieszyć, jeśli zamierzał znaleźć się na ziemi przed zapadnięciem ciemności.

Kolory nieba znów się zmieniły. Wraz ze zbliżającą się nocą na domy i ulicę legła czerwień i czerń. Było coś smutnego i pełnego zadumy w tych ostatnich kolorach dnia, zupełnie jak w opadających liściach. Minęło jeszcze pół godziny i zmierzch zaczął przechodzić w mrok.

Następne parę stadiów zaprowadziło nas przez Berry, dzielnicę mieszkalną, która zaledwie tuzin lat temu wyrosła na miejscu falujących zbóż i wiejskich dróg. Ciasna zabudowa wkrótce się skończyła. Dotarliśmy do końca miasta i światła domów zostały za nami.

Burnie nie robił już wypadów na bok. Zdyszany trzymał się blisko moich nóg, wytrwale kłusując.

Niebiosa zaczęły rozświetlać się gwiazdami. Spojrzałem znów w górę i zastanowiłem się. Uczeni twierdzili, że te błyszczące punkty to słońca takie, jak nasze. A czy krążą wkoło tych słońc inne światy? Czy istnieją tam inne formy życia? Gil zadawał te pytania. Nigdy nie poznamy odpowiedzi, bo wszechświat jest zbyt daleko. Jasna Gwiazda, ten lśniący klejnot wiszący cicho na wschodnim nieboskłonie, jak boja na fosforyzującym morzu, najśliczniejsza ze wszystkich, pozostanie na zawsze niedostępna.

Wkroczyłem w ten wszechświat nocy i gwiazd. Był bezmierny i, nie licząc Burniego, trwałem w nim sam. Płynąłem, szybowałem w myślach, spokojny, oderwany od świata. Opadałem w przestrzeni.

Skręciliśmy w ulicę świętego Filliana ku mostowi.

Rozdział jedenasty

MOST

Od tego miejsca tory biegnące z Dervil ciągnęły się już prosto do miasta. Ostatnie kilka mil ukończono dokładnie na pierwszą rocznicę Układu i pierwszy zaprzęg z trzema wagonami miał dzielnie i z łoskotem wjechać na peron zupełnie nowej stacji w Damaskis w południe tego właśnie dnia i uświetnić wielką galę owej uroczystości.

Jednakże punktualnie w południe członkowie komitetu wpatrzyli się w tory i nie ujrzeli niczego, nawet ręcznej drezyny. Przewodniczący ukląkł niezdarnie i przyłożył ucho do szyny - utwardzonej aluminiowej listwy, przybitej gwoździami do drewnianych podkładów. Nic nie usłyszał, poszedł zatem do budynku stacji i kazał operatorowi semafora optycznego zasięgnąć informacji, czy pociąg opuścił już metropolię. Odpowiedź brzmiała: OOC (odszedł o czasie). O drugiej po południu (dzień był ciepły) komitet, łącznie z przewodniczącym, dołączył do reszty mieszkańców Damaskis, którzy spędzali czas w karczmach. Przewodniczący od czasu do czasu wysyłał chłopaka, by ten osłuchiwał szyny. W porze kolacji dał sobie i z tym spokój i wszyscy, którzy świętowali, poszli spać.

Krótko po północy zaprzęg tuzina wołów wpadł z hurkotem na stację, ciągnąc trzy sponiewierane wagony. Opóźnienie zostało od razu wytłumaczone i natychmiast wybaczone. Maszynistą pociągu był Lenery Rork (kapitan armii uczonych, tyle że dymisjonowany), ojciec mojej matki. Promował go sam Pilter i to w Vosstown. Jego skromną farmę spalił trzy lata wcześniej pułk żołnierzy-kapłanów. Rork uważał Układ za ostateczne i oburzające zwycięstwo kleru i czułby się przeklęty, gdyby pomógł w uczczeniu tego wydarzenia. Wieść o jego błazeńskim wyłganiu się szybko dotarła do każdego zakątka i aż trzy miasta związały swe nazwy z jego imieniem.

Tyle o odziedziczonych po przodkach torach.

Przed nami leżał most - ogromny w świetle gwiazd. Łączył nas z Dervil i miejscowościami na zachód od Damaskis, spinając brzegi skarpy nad Sticks Creek. Dawno temu Gil i ja wiele razy przejeżdżaliśmy tędy dwukółką. Ostrożnie wjeżdżaliśmy po luźnym, ilastym łupku na dno wąwozu i do rzeki i z pluskiem brnęliśmy przez płycizny. Gil wyjaśniał inżynierię mostu - w jaki sposób zostały rozłożone naprężenia i jak ująć to matematycznie. Most był ażurową konstrukcją z utwardzanego berylinem aluminium. Podstawa toru była płaska, lecz górny profil uformowano na kształt strun przeciągniętych od powierzchni nośnej do łuku ogromnej elipsy. Skrajniki spoczywały na potężnych, murowanych przyczółkach. Most był mocny, nieskomplikowany, funkcjonalny. Uważaliśmy, że jest piękny.

Nawet na moście stosowano podsypkę z małych otoczków - dla dobra zwierząt. Te małe, okrągłe kamyki były w rzeczywistości skamielinami stworzeń morskich (tak wyjaśnił Gil), które żyły miliony lat temu. Może miliardy. Stanowiły pierwszą formę życia na tym świecie i od nich pochodzą wszelkie inne. Te kamyki wykopano wprost z dna rzeki, potem posortowano je, oczyszczono i rozsypało między szynami. Sporo ich leżało wkoło. Zawadziłem stopą o jeden, schyliłem się i podniosłem. W tych właśnie kamieniach są kazania. Wewnątrz skamieniałych szczątków dźwięczy morze, morze będące domem naszych przodków.

Wyginęli, a czas godnie ich pogrzebał. Ten wąwóz jest ich grobem. Wyobraź sobie, Dziekanie Gard, że jesteś potomkiem, i to w prostej linii, kamiennej ryby, ryby kopalnej... Czerwone życie wkoło nas, niebo nad nami i kamienie u naszych stóp - to wszystko wygłasza

do nas kazania.

Tak, lecz nie to kazanie.

I czego ja się tu niby spodziewam? Nasłuchuję i rozglądam się, jak gdyby Gil miał tu przybyć i wspiąć się w tę wygwieżdżoną noc na nasyp, potwierdzając swą nieśmiertelność. Lecz było cicho, tylko szepty w głębi mego umysłu. Koniec trasy. Dotarłem tu i nadal nie mam tematu do kazania. Nie udało się, koniec ze stypendium, żadnego kolegium. Biedna matka.

Przeszedłem parę kroków po kamykach i słuchałem.

Zwykłe nocne odgłosy. Cisnąłem kamień przez dźwigary i, z głębi doszedł mnie jasny i wyraźny plusk. Burnie dyszał hałaśliwie u mego boku. Dziwne. Do mostu było piętnaście stadiów. Gil zmierzył to kiedyś na stadiometrze starej dwukółki. A Burnie był przecież dużym, zdrowym yedem. Mnie marsz nie zmęczy, oddychałem normalnie i nie byłem spocony.

Zawołałem Burniego. Teraz przejdę na drugą stronę mostu. Znów nadstawiłem uszu. Nie chciałem, by zaprzęg złapał nas pośrodku konstrukcji. Ruszyłem, lecz znów się zatrzymałem. Coś było nie tak. Było zbyt cicho. Burnie zaskomlił. Świat nagle stał się niemy. Jeszcze przed chwilą ptaki nawoływały nad brzegami rzeki, cykały świerszcze, a teraz nastąpiła cisza.

Wyteżyłem wzrok, wpatrując się w perspektywę mostu, lecz obłoki co chwilę zakrywały gwiazdy i niewiele mogłem zobaczyć. Poczułem, jak dostaję gęziej skórki. Tory były widoczne tylko do połowy mostu, dalej zdawały się niknąć w czarnej mgle. Byłem zdumiony. Bumie znów zaczął skomleć. Zmęczenie yeda minęło. Był znów podniecony - tańczył wokół mnie, poszcze kiwał i uparcie wpatrywał się w głąb mostu. Pobiegł kawałek i zatrzymał się drżący. Poszedłem za nim.

Sierść na barkach zwierzaka zjeżyła się jak kryza. Zaczął głośno szcze kać: Burn! Burn! Burn!

Upiorne oświadczenie odbiło się echem w górze i w dole wąwozu.

Była tylko jedna osoba, którą Burnie witał w ten sposób.

Gil, gdzie jesteś? Czy jesteś... tam, w górze?

To nadal był most, lecz już nie ten sam. W tej subtelnej rozmigotanej chwili połączyły się dwa światy.

Powolnym ruchem podniosłem z torowiska drugi kamień i cisnąłem w ciemność. Nic. Tym razem żadnego plusku. Jak to było możliwe?

Chmury rozsuneły się i znów ujrziałem gwiazdy.

Coś... ktoś... jakaś wysoka postać zdawała się stać tam, po drugiej stronie mostu, na krawędzi zasięgu wzroku. Kontury tego czegoś załamywały się i lśniły w blasku gwiazd.

W piersi mi załomotało, ledwo złapałem oddech. Wpatrzyłem się w ciemność.

- Gil? - szepnąłem.

Postać milczała. Pozwolono mu przybyć w niemej postaci na spotkanie ze mną - pomyślałem i postąpiłem krok, potem drugi. Gdzie zaczynała się pustka?

Przypomniałem sobie w końcu, po co tu przyszedłem.

- Gil! - krzyknąłem tak głośno, że sam się przeraziłem. Rozpacz bywa jednak silniejsza niż strach. - Gil! Moje kazanie!

Minęła jeszcze chwila, nim coś wykluło się z ciszy. Postać zagwizdała! Była to żwawa, znajoma mi melodia i rozpoznałem ją natychmiast. Melodia Josi - cztery wesołe i tajemnicze nuty z zamtuza. Preludium do płatnej miłości.

- To? Moje kazanie? Jak? - krzyknąłem. - Jak?

Lecz to był już koniec. Noc wracała do normy, zasłona chmur przerzedziła się. Widziałem już cały most. Postać zniknęła.

- Gil! Poczekaj! Nie odchodź! Jeszcze nie!

Gdy tak stałem oszołomiony i ogłupiały, Bumie znów zaczął dyszeć, rzeka napełniła się na nowo dźwiękami i wszystko wróciło do poprzedniego stanu. Nocne ptaki, szum vady i gwiazdy. Jasna Gwiazda i jej towarzyszki były jaśniejsze niż kiedykolwiek. Wiał wiatr i znów

opadały liście.

Skończyło się.

Zawołałem Burniego.

Melodia Josi? Czyżby moje kazanie cały czas czekało na mnie w wieży Josi? Na smętnych synów siriS!

Tej nocy znów miałem sen. Byłem w "Wieży", w głównej sali, u stóp schodów. Wokół było pełno ludzi, lecz panowała cisza. Milczące twarze bez wyrazu obserwowały mnie, gdy rozpocząłem powolną wspinaczkę. Słyszałem chrzęst moich butów na wyścielającym schody dywanie. Spojrzałem na podest - była tam, jak zwykle w różowym szlafroku narzuconym na koronkową nocną koszulkę. Gdy patrzyłem, uniosła rąbek, ukazując różowe udo i spojrzała wprost na mnie.

Jednym długim susem przepłynąłem przez resztę schodów. Wziąłem ją w ramiona (zdumiałem się moją sprawnością). Pocałowałem ją, zdarłem z niej szatę i po chwili leżeliśmy już nadzy na podeście.

Obudziłem się, ściskając kurczowo poduszkę.

Leżałem długo, rozmyślając. Najpierw o Josi, potem o Gilu. A szczególnie o Gilu na moście.

Przypominałem sobie krążące w rodzinie opowieści o innych, podobnych spotkaniach.

Historie, które słyszałem od ojca i matki i które prawie już zapomniałem.

Dziadek Rork, kolejarz, wspominał kiedyś o nocnej jeździe z Dervil do Vosstown. Siedział wysoko na koźle i co pewien czas trząsał z bata nad karkami ośmiu pociągowych wołców o mokrych od deszczu grzbietach, a wielkie koła z aluminium klekotały wesoło po szynach, gdy o pół stadia przed sobą ujrzał uniesioną wysoko i kołyszącą się latarnię. Zatrzymał oczywiście zaprzęg, zlął i poczłapał po torach w kierunku machacza. "Coś nie w porządku?" - krzyknął. Nie było odpowiedzi, lecz milczący sygnalista podniósł światło jeszcze wyżej, tak że dziadek ujrzał wreszcie jego. twarz. "Rudo!" - dziadkowi zaparło dech. Był to jego kuzyn, Rudo, zabity wiele lat przedtem podczas Wojny. Postać odstawiła latarnię i zniknęła. Dziadek szukał go jeszcze wkoło, lecz wiedział, że nie znajdzie. Wkrótce odkrył prawdopodobną przyczynę nawiedzenia. Silne deszcze rozmyły odcinek toru przy urwisku. Gdyby Dziadek tam wjechał, zabiłby się. Jako dodatek do ocalonego życia zdobył jeszcze świetną latarnię.

Były jeszcze inne opowieści, niektóre nawet bardziej niesamowite.

Kiedy sto lat temu pradziadek Randol przywędrował w tę okolicę, jego wozy zostały napadnięte przez bandę chłopów. Przywiązali go do drzewa i już zamierzali zastrzelić (z jego własnej kuszy), gdy nagle zmaterializowała się przed nim dziwna, półprzezroczysta dama.

Bandyci czmychnęli z wrzaskiem. Pradziadek był równie przerażony jak napastnicy, dopóki nie rozpoznał w postaci swej dawnej narzeczonej, Zilli, która zmarła na zarazę przed pół tuzinem lat. Narzekał tylko, że zniknęła nie pomógłszy mu odwiązać się od drzewa.

Był jeszcze kuzyn Epps, także nieżyjący, którego widziano podobno w trzech wioskach naraz i to długo po śmierci.

I jeszcze cioteczna babcia Dillie. Matka mówiła, że babka ukazywała się w naszym domu przy Koray Avenue w kolejne rocznice Układu. Aż któregoś roku matka położyła dla niej na stole osobne nakrycie i zjawa zniknęła na zawsze. Tyle tylko, że cioteczna babcia Dillie była całkiem żywa i poszukiwana w czterech okręgach za wyłudzenie wielkich sum od bogatych wdowców.

Lecz najdziwniejszym przypadkiem była nasza kuzynka Bibi. Raz w nocy, kiedy Jasna Gwiazda świeciła wprost nad głową, Bibi zamknęła oczy i ujrzała i usłyszała rzeczy straszne, a dziwne. Przed nią maszerowała nocna procesja - twarze pałające nienawiścią, ludzie podchodzący pod wysoką budowlę, wewnątrz której była kobieta. Oni chcieli ją zabić. Jakiś mężczyzna próbował ich zatrzymać. Bibi widziała tylko jego twarz. Wystrzeliła kusza. Bibi krzyknęła i zakryła oczy. Obraz się skończył. Nie chciała rozmawiać na ten temat. Teraz jest

doroślą kobietą i nadal nie chce o tym mówić, przynajmniej gdy ja jestem w pobliżu. Nie odwiedza nawet mojej matki, jeśli istnieje ryzyko, że mnie spotka. Czy widziała Madonnę? Kim był ten mężczyzna? Objawicielem? Czy może była to tylko jej wyobraźnia? Inne rodziny też prowadziły rozmowy ze zmarłymi i potrafiły wiele zrelacjonować. Jednakże, gdybym miał wybierać ród o najbogatszej historii, to myślę, że wskazałbym na Randolów-Borków.

Rozdział dwunasty

BEZPIECZNIE SIĘ PASĄ OWCE

W primo, który potem nastąpił, zasiadłem przy stole do gry w jaq i podgryzając to i owo czekałem, aż Squire Vys skończy nakręcać starą pozytywkę. Było wczesne popołudnie i lokal Josi właśnie został otwarty. Boogi jeszcze zamiatał. Noc musiała być pracowita. Zastanawiałem się, jak wyglądała tu noc ubiegłego cinque - zapewne bardzo radośnie, bardzo grzesznie, no i intratnie.

Squire Vys nakręcił wreszcie pozytywkę i usiadł.

- Pański ruch - powiedziałem. - Właśnie wziąłem pańskiego akolitę. Szach.

Odegrał w milczeniu.

Wtedy właśnie Josi i Myria pojawiły się na sali i przechodząc obok nas potrząsnęły głowami nad tą bezsensowną grą i pomyślnymi, którzy się nią pasjonowali. Ach, Josi! Obserwowałem ją kątem oka. Mógłbym sięgnąć dłonią i dotknąć jej rękawiczki. Ciekaw byłem, do czego wówczas by doszło.

Mówią, że kobieta wie, kiedy jest adorowana.

Czy ty wiesz, Josi? A jeśli tak, to czy zwracasz na to uwagę? Wątpię. Mogłabyś przynajmniej posłać mi przypadkowe, zaciekawione spojrzenie, takie, jakim obdarza się nowe zwierzęta w damaskijskim zoo. Lecz to byłby koniec. Spojrzę na ciebie i powiem: Przyłącz się do nas, Josi. Usiądź, weźmy się za ręce... Docieram do punktu gotowości, by zrobić coś takiego, a obawa przed tym, co ty powiesz minęła już. Mimo to, właśnie teraz, w tej chwili, jestem tchórzem. Przesunąłem mego najwyższego uczonego.

- Szach.

Squire przesunął swego prałata.

- I znów szach - powiedziałem.

Dotknął swego jeźdźca.

- Nie można przesunąć tego jeźdźca - ostrzegłem. - Jest zablokowany.

- Przepraszam. W tym przypadku dalsza gra nie ma sensu. Poddaję się - zagwizdał bardzo cicho parę taktów.

To była ta melodia.

Musiałem działać, póki jeszcze Josi tu była. Teraz albo nigdy. Zebrałem się na odwagę i przywołałem ją.

- Josi!

Odwróciła się natychmiast i podeszła do stołu. Jej oczy były dziwnie szeroko otwarte, pytające.

Może trochę się jąkałem, przedstawiając sprawę im obojgu.

- Ta melodia, te cztery nuty? Ona coś oznacza. Chciałbym wiedzieć co. To dla mnie bardzo ważne. Grają tę melodię i dzwony świątyni, i dzwony kolegium. Tutejsze dziewczyny przywołują nią klientów - spojrzałem w twarz mego partnera od jaq. - Pan, Squire Vys, gwizdał ją właśnie teraz. Pytam was, jaki jest jej tytuł? Co ona oznacza?

Vys nic nie odpowiedział. Spojrzał na Josi, ona na niego. W końcu powiedziała:

- Istnieją pewne sprawy, których nie potrafiłbyś zrozumieć, a które wiążą się z tą melodią...

- Proszę, Josi...

Westchnęła. Znów spojrzała na Vysa.

- To się nazywa Bezpiecznie się pasą owce.

- Owce...? Co to są owce?

- Rodzaj mitycznego zwierzęcia - odrzekła. - Symbol pokoju. Nie istnieją naprawdę... w każdym razie nie tutaj, na Szkarłatnym Świecie.

Co ona właściwie chciała przez to powiedzieć? Nie ustępowałem.

- Ta melodia jest dziwnie znajoma. Czy to nie jest jakiś ludowy motyw?

- Nie - powiedziała. - Kompozytor jest znany, ale umarł dawno temu.

- Pewnie nie znam jego nazwiska?

- Zapewne nie - jej usta skrzywiły się w dziwnym uśmiechu. - Jego nazwisko brzmi Bach² - wymówiła to słowo ze szczególnym akcentem.

Potrząsnąłem głową, czegoś tu ciągle nie rozumiałem. Ale nic.

- Czy ta melodia jest ważna... dla ciebie, Josi... dla pana, Squire...? Ale jak? Dlaczego?

Stary człowiek rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie, lecz zignorowałem go.

- Wygląda na to, jak wiem, że wasza teologia oparta jest na podaniu o człowieku zwanym Objawicielem. Znasz ją, rzecz jasna?

- Znam pisma i tradycję - powiedziałem ostrożnie. - Ale zmieniasz temat. Co to ma wspólnego z melodią?

Ominęła to pytanie.

Objawiciel zostaje ugodzony strzałą w plecy podczas ratowania kobiety znanej jako Madonna. Umiera, lecz powraca do Życia już jako nieśmiertelny. Mam rację?

- Tak się mówi... Ale co...

Przerwała mi pytaniem, które przyprawiło mnie o zawrót

- Pol - powiedziała cicho. - Czy miałeś kiedykolwiek jakieś doświadczenie z nieśmiertelnością?

Pomyślałem o Gilu na moście i o czterech zagwizdanych przez niego dźwiękach.

Opanowałem emocję.

- Zaraz! Zaraz! Jakim sposobem przeszliśmy od zwykłej melodyjki do nieśmiertelności?

- Zgoda, to są dwie odrębne rzeczy. Proponuję ci po prostu mały interes. Ty odpowiesz na moje pytanie, ja na twoje. Czy... komunikowałeś się z... umarłymi?

Teraz ja musiałem pomyśleć, co ona jest w stanie zrozumieć. Tamta noc na moście... I przedtem, te wszystkie historie opowiadane w rodzinie Randolów-Borków. Nie chciałem ujawniać ich ani jej, ani nikomu innemu. Nie mogłem.

- Pol? - nie ustępowała. - Zdarzało się? Kontaktowałeś się kiedyś ze zmarłymi...?

Ile jej powiedzieć? Westchnąłem.

- Tak, myślę, że tak.

Spojrzałem prosto w jej w twarz, jak gdybym mówił: To wszystko, czego się dowiesz, piękne stworzenie. A teraz twoja kolej. Melodia, Josi.

Po raz pierwszy przyglądałem się jej z tak bliska. Widziałem delikatność skóry jej policzków i szyi o odcieniu bladej róży, czułem jej perfumy. Coś delikatnego, dziwaczego, jak gdyby ich przesłanie zależało od odbiorcy. Miała na sobie różową bluzkę, której guzik odpiął się akurat nad piersiami. Położyła rękę na biodrze i jej jasnowisniowa tunika nieco się przekreśliła. Słyszałem szelest materiału. Poczulem jej dłoń na ramieniu.

- Przyjdź tu po pracy, a wytłumaczę ci wszystko, co wiąże się z tą melodią.

W tej chwili postrzegam szczegóły, poszukuję bowiem szczegółów. Takich, które odróżniają ją od pospolitych ludzi. Jest zbyt bliska doskonałości, zupełnie jak wytwór działalności konstruktorów, arcydzieło artystów ustalających idealne kobiece proporcje... budowę... głos... kolor... sposób poruszania się... Jakby całą niewieścią esencją erotyczną można by zebrać, skondensować i wydestylować, otrzymując kobietę symboliczną i odwieczną. Gdyby... to rezultatem byłaby Josi.

Doskonała? No, niezupełnie. Ta ręka na moim ramieniu. Coś osobliwego. Jeden palec nie był zgięty, drugi palec wskazujący sterczał jak martwy patyk. Może kiedyś go złamała i źle został nastawiony?

Cofnęła dłoń i znów odzyskałem oddech.

- Pani - powiedział cicho Squire. - Chciałbym potem z tobą porozmawiać.

Wzruszyła ramionami, po czym przeszła obok stołu, zmierzając do lady.

I czekała na mnie tamtego popołudnia, gdy przyszedłem po napar dla Gearinga.

Usiedliśmy przy jednym ze stolików, poprosiła Boogiego, by przyniósł nam coś do picia.

Nigdy dotychczas nie byłem tak długo obok niej. Od razu zabrałem się do zapamiętywania kształtów jej ciała. Przesunąłem wzrokiem po obnażonych ramionach, drobiazgowo badałem kontur nosa, wygięcie warg. Tak, Josi, twoje oczy są rzeczywiście szare, a czarne loki zupełnie jak nie z tego świata.

Raz nasze nogi zetknęły się pod stołem i zadrzałem.

- Co? - zamrugalem oczami.

- Pytałam, czy słyszałeś choć słowo z tego, co mówiłam?

- Tak, oczywiście. Lecz czemu opowiadasz mi o tym, Josi? By dotrzymać umowy? Dlatego że ja powiedziałem ci, że owszem, kontaktowałem się z nieboszczykiem? Są ważniejsze powody. Wielu rzeczy wciąż nie rozumiem.

Opowiada mi sporo; z pewnością wystarczy na kazanie. Jednak nie mówi nic o sobie. Słowa docierają do mnie niby z wielkiej odległości, chociaż wypowiada je swobodnie. Ukrywa wszystko, co istotne. Pozorna to swoboda. Nie szkodzi. Pod koniec rozmowy oczy i tak miałem wytrzeszczone, a gębę rozdziawioną.

Squire Vys był rzeczywiście t y m Squire Vysem, wielkim negocjatorem Układu sprzed trzydziestu lat. I to on podarował świątyni i kolegium wielkie dzwony z niebiańskiego metalu.

- Spotkałam go podczas zawieszenia broni, gdy walki się już skończyły - powiedziała Josi. -

Był bogaty i zostałam jego dziewczyną. Kiedy mnie pragnął, gwizdał właśnie tę melodię.

- On cię jej nauczył?

- Nie, to ja jego.

- Aha! Mów dalej.

- W piątym roku, kiedy podarował te dzwony, poprosił tylko, by grały tę melodyjkę. To miało być na moją pamiątkę. Jednak tego im nie powiedział.

- Podarował nawet ten duży, Objawiciela?

- I ten też, ale zardzewiała oś zablokowała się na belce, tak więc nigdy nie zadzwoni - uśmiechnęła się w zamyśleniu. - Chyba że kiedy przybędzie sam Objawiciel...

Wzruszyłem niecierpliwie ramionami. Wróciła do tematu: - Rozeszliśmy się potem. Dał mi trochę pieniędzy, przybyłam więc tutaj i kupiłam posiadłość, wszystkie domy, które są tu w okolicy - zawahała się, jakby niepewna ile może powiedzieć. - Wieża już tu stała. Wokół niej wybudowałam ten dom, a Vys, no cóż, zniknął na jakiś czas, a potem doszły mnie słuchy, że stracił wszystko i jest zrujnowany. A potem znów się spotkaliśmy. I teraz jest tutaj i to jest jego dom.

- Co masz na myśli mówiąc, że znów się spotkaliście? - spytałem.

Wiedziałem, że to jest sedno całej sprawy. Byłem już blisko całości kazania.

- Co? Nasze "połączenie"? To chcesz wiedzieć? No, dobrze. Stało się to pewnego wieczoru, gdy na frontowym podwórzu oglądałam zachód słońca - wyjaśniała ze szczegółami, lecz pod koniec okazała niejaki zaniepokojenie. - Squire Gearing będzie rozgniewany, że wyszedłeś na tak długo. Powiedz mu, że musiałeś czekać, aż napar będzie gotowy. Weź dla niego kawałek ciasta, to na rachunek zakładu.

Miałem je, miałem doskonałe kazanie. Było tu wszystko i wszystko do siebie pasowało.

Nawet świątynia i kolegium. Gard powinien dać mi za to przynajmniej B+ . Odetchnąłem

głęboko. Potrzebny był jeszcze tytuł.

- Squire Vys rozdzielał jałmużnę, niczego nie oczekując w zamian - powiedziałem - lecz po wielu dniach zostało mu to zwrócone z nawiązką.

Co...?

- Wypełniły się pisma - teraz, gdy na to bliżej popatrzeć, było to nieco przerażające. - Właśnie napisałaś moją pracę semestralną.

Spojrzała na mnie jak na szaleńca.

- Nie zapomnij o cieście.

W drodze powrotnej do fabryki myślałem o tym, co usłyszałem i o Josi. Głównie o niej. No dobrze, Josi, siedzieliśmy razem naprzeciw siebie, prowadziliśmy rozmowę, moja noga dotknęła twojej, a ty nie cofnęłaś jej odruchowo z przerażeniem czy pogardą. Teraz, Josi, przypuśćmy, że spotkamy się znów i poproszę cię wtedy o coś prostego, co pozwoli nam znów przebywać trochę razem. O spacer, powiedzmy, wokół kwartału. Co wtedy zrobisz? Co powiesz? Czy te piękne szare oczy spojrzą na mnie ze zdumieniem? Czy zrozumiesz może wtedy, co do ciebie czuję? Czy odrzucisz w tył głowę, zanosząc się kpiącym Śmiechem, aż zatańczą twoje czarne, przeblaskujące czerwienią loki? Cóż, Josi, coś się wydarzy między tobą a mną i to wkrótce.

Następnego wieczoru zawędrowałem do sali gimnastycznej kolegium, starożytnej budowli przypominającej katedrę. Wewnątrz znajdowały się boisko i bieżnia, lecz miejsce było ogólnie puste i ciche. Przez chwilę stałem bez ruchu obok starego lirykordu przy wschodniej ścianie.

Z lewej weszły dwie postacie. Dwóch młodzieńców. Nie dostrzegli mnie, a ja nie rozpoznałem żadnego z nich. Już miałem oderwać się od ściany i pójść ku wyjściu, gdy uderzyło mnie coś osobliwego w tej parze. Trzymali się za ręce. Skuliłem się za lirykordem. Po chwili odgłos ich kroków umilkł, wyrzalem z za instrumentu - ani śladu. Gdzie mogą być? W ścianie, tuzin stóp ode mnie, były drzwi, prowadziły do magazynku pełnego rupieci takich, jak kije do gry, piłki, maski szermiercze, rapiery, poręcze gimnastyczne, liny i tak dalej. I oczywiście materace gimnastyczne.

Dobra, niech będzie, nie mój interes. A w każdym razie nie miałem tu żadnej sprawy do pilnowania. Raz jeszcze zebrałem się do odejścia. Ale wtem przybył trzeci gość. Ledwo zniknęli, pojawił się w drzwiach, tak jakby chciał dać im tyle czasu, ile potrzeba na wejście do magazynu i by móc prawdziwie widowiskowo przystąpić do dzieła.

To był Gard.

Znów wycofuję się do kryjówki.

Szybkim, zdecydowanym krokiem przemierza salę. Ledwo słychać echo jego wielkich stąpanięc. Zabiera mu to tylko małą chwilę. Drzwi od magazynku niemal topnieją przed oskarżycielsko wzburzonym archaniołem.

Teraz wreszcie mogę czmychnąć.

Ale nie. Słyszę stłumiony krzyk. Dwie postacie wypadają z otwartych na oścież drzwi jak kule z balisty. Padają, podnoszą się z wysiłkiem. Tuniki i opuszczone do kolan spodenki kłępują ich ruchy. Obaj poruszają się jak ranne zwierzęta. W końcu zbierają się, porządkują z grubsza odzież i zmykają w kierunku głównego wyjścia.

Coś ściska mnie w gardle. Czuję się winny, zupełnie jakbym to ja został przyłapany, jakbym brał w tym udział.

Jeden z nich ogląda się. Czy może mnie dostrzec? Tak, nasze oczy spotykają się. Jestem jak sparaliżowany, zafascynowany. Nie mogę się ruszyć. Jego twarz krzywi się. Drzę, pragnę zniknąć. Nie jestem przecież jego wrogiem. Lecz zaraz obaj uciekają. Odprężam się. Dziekan Gard wymaszerowuje z magazynku, wymachując w ślad za nimi rapierem. Oddycha ciężko. Jest pewnie dość szalony, ten syn siriS, by zabić ich obu, gdyby zatrzymali się i usiłowali

tłumaczyć.

W końcu wypuszcza broń z ręki i odchodzi. Jego szlachetne, sprawiedliwością rozbrzmiewające kroki milkną wkrótce i znów jestem sam.

Podchodzę i podnoszę rapier. Zwykle instruktor fechtunku nakłada na czubki broni ochraniacze z miękkiej, drucianej gazy, lecz tutaj zabezpieczenie najwyraźniej się zsunęło. Zanoszę ją z powrotem, zapalam tlenową lampkę i zawieszam broń obok innych. Rozglądam się po pomieszczeniu. Są tu materace, trzy czy cztery, jeden na drugim. Siadam na nich, nie są ani twarde, ani miękkie. Kładę się na plecach, zwieszając nogi przez krawędź, stopami pozostając na podłodze. To byłoby dobre miejsce, Josi, by cię tu przyprowadzić, gdybym nie miał gdzie. Mógłbym się tu też zdrzemnąć. Ale nie, trzeba zgasić lampkę, wstać i wyjść. Interesujący wieczór, nie ma co.

Podczas następnych kilku dni, gdy pracowałem nad moim kazaniem, powracałem myślą do postaci na moście. Oczywiście, to był Gil. Przywołałem go w godzinie potrzeby i przyszedł. A jednak... czegoś zabrakło. Gdybym miał jego eliksir, moglibyśmy się spotkać i porozmawiać. Muszę zrezygnować ze stypendium religijnego i dostać się na chemię. Muszę przeprowadzić reakcję Gilowych roztworów A i B. Nie mogę tylko nikomu o tym wspomnieć, zwłaszcza matce. A Josi, któregoś dnia...? Może...

Vys i Kertor siedzieli nad partią jaq. Obaj byli tego dnia nadzwyczaj wścibscy.

W nocy ukończyłem kazanie i nic mnie już nie dręczyło. Ich dociekliwość przyjmowałem z humorem. Uważałem, że to nie ich interes, lecz udzielałem odpowiedzi, nie mając nic przeciwko temu wszystkiemu.

Owa seria pytań miała w sobie coś z przesłuchania, przypominała też wywiad, który przeprowadził ze mną Gearing, gdy szukałem pracy.

- Wiek - rzucił krótko Kertor.

- Dwadzieścia.

- Zbliża się do dwudziestu jeden - dodał Vys.

- Waga?

- D-tuziny stone³.

- Wzrost?

- Równy tuzin.

- Masz sporą niedowagę.

- Jest w porządku - wtrącił się Vys, patrząc na mnie. Wiedział, jaką pracę wykonuję. - Cały składa się z mięśni. Uderz go w brzuch tak mocno, jak tylko potrafisz. No, dalej.

Napiąłem mięśnie brzucha, jakbym miał podnieść podwójną belę papieru.

- Na Siris, zrobię to - Kertor cofnął pięść. - Nauczę was obu... auuuu! Zupełnie jak ceglany mur! Dobrze, chłopcze!

Uśmiechnąłem się szeroko. Ledwie odczułem ten cios.

- Wzrok? - kontynuował Kertor.

- Znakomity - spojrzałem na kalendarz, wiszący nad grillem Vysa, i przeczytałem: Kusze, strzały i kołczany Objawiciela, pierwsza ulica przy świętym Audzie.

- Karany? Aresztowany?

- Nie.

- Popijasz pewnie od czasu do czasu?

- Właściwie to nie, panie.

- Co przez to rozumiesz?

- Kilka lat temu mój brat i ja przeprowadziliśmy fermentację zbożowego zacieru. Potem przedestylowaliśmy to przez kolumnę kondensacyjną ze stałą temperaturą wrzenia roztworu i każdy z nas wypił trochę tego, około sześciu minimów. Wypiłem jeszcze trochę spirytusu w

lekarstwach i syropach od kaszlu. Lecz w tym sensie, który ma pan na myśli, nazwałby pan mnie, jak sądzę niepijącym.

- Aha. Hmmm - długie wąsy zwisły. - Tak, dobrze...

- Jest dobrym składaczem - wtracił się znowu Vys.

- Nauczyłeś się tego w szkole?

- Nie, panie. Mój ojciec miał zakład kopiarski i robiłem tam całą drukarską część pracy.

- Ach, tak. Vys mówił, że chodzisz do kolegium.

- Tak, panie. Na kurs wieczorowy.

- Co tam studiujesz?

Westchnąłem.

- Obecnie jestem na stypendium religijnym.

- Chcesz być kapłanem? - wąsy poruszyły się niespokojnie.

- Tak, panie.

- Lecz nie na serio?

- Gdybym miał pieniądze i nie musiał brać stypendium, to studiowałbym nauki przyrodnicze.

- Brawo, to rozumiem! Rurki, odczynniki i długa różowa tunika?

- Coś w tym rodzaju.

- Bardzo interesujące - powiedział milicjant. - Uczęszczasz do świątyni?

- Tak, panie. Do Dziekana Garda.

Squire Vys cmoknął z pogardą. Kertor spojrział nań ostro.

- To lepsze niż być całkowitym poganinem jak niektórzy.

- To dyskusyjna kwestia, Kertor, lecz nie przerywaj sobie.

- Nie będę. A teraz, młody kolego, jeszcze tylko jedna sprawa. Czy ty, hmm, chodzisz z dziewczynami?

Najcieńszy pocisk. Zachował go na koniec.

Uśmiechnąłem się.

- Bardzo rzadko. Lecz lubię dziewczyny. Gdy będę miał pieniądze, znajdę sobie jakąś miłą, ożenię się, ustabilizuję - założyłem ramiona i surowo spojrzałem mu prosto w twarz.

- Dlaczego zadaje mi pan te wszystkie pytania, kapitanie?

- Hm, hm, z ciekawości, synu, po prostu z ciekawości.

I na tym stanęło.

Kiedy szedłem z powrotem do Magny, myślałem o pewnej konkretnej dziewczynie.

Proszę, jesteśmy u dołu schodów, podnoszę ją w ramionach i powoli ruszam schodami. Obok mojej twarzy błyska metal, nóż Boogiego zagłębia się tępym czubkiem w deskę schodów tuż za mną. Hmmm. Lepiej pominąć ten wstęp. Jesteśmy w łóżku. Gdzie? W czym? Mniejsza o to. Ona leży w rozmarzonej nagości i patrzy na mnie. Jedno ramię odgięte, głowa spoczywa na dłoni. Piersi przyplaszczone, sutki sterczą jak małe, czerwone guziki. Palce drugiej dłoni przesuwają się wolno po brzuchu. Nogi rozsuwają się, wyciąga ku mnie ramiona...

Trach! Przecieram oczy i obraz znika. Szalone sny na jawie.

Och, Josi, Josi. Teraz to już niedługo.

Rozdział trzynasty

POMNOŻONA JAŁMUŻNA

Oto niektóre ze złotych myśli, wyjątki z mego wzorcowego kazania wydrukowanego starannie i oddanego punktualnie Dziekanowi Gardowi.

Nasz tekst na dzisiaj, to święty Fillian, 11;1:

Rozdzielaj jałmużnę i nie oczekuj niczego w zamian, a powróci do ciebie pomnożona. Tego szóstego dnia o poranku rozważmy, posługując się przykładem, jak hojność została wynagrodzona i jak ten, który rozdelał jałmużnę otrzymał ją z powrotem w pełni, chociaż wymagało to kilku lat, a zapłata nastąpiła w nieoczekiwanym miejscu.

Człowiek, którego mam na myśli, znany jest większości z nas, jeśli nie z widzenia, to przynajmniej z nazwiska, to Squire Kon K. Vys. Tak, to negocjator-sygnatariusz Wielkiego Układu, mecenas, który ofiarował wielkie dzwony tej świątyni i kolegium, który złożył wspianałomyślnie dary Bibliotece Publicznej.

Squire Vys, człowiek o burzliwej historii. Gracz, handlowiec, bankier, oportunistą, spekulant... Podczas Wojny zarobił miliony na mięsie i broni. Lubił korzystać z życia. Został obwołany Damaskijskim Człowiekiem Roku w zero piątym i od jego imienia nazwano ulicę. Trzeba szczerze wyznać, że jego życie osobiste nie było wolne od wad. Poza żoną (która w końcu się z nim rozwiodła), były jeszcze inne kobiety. Jedna nazywała się Josi. Była, jak to określają pisma, kobietą upadłą. Kiedy Squire Vys i Josi rozstali się w końcu, on dał jej pieniądze na urządzenie domu rozkoszy na wielką skalę. Kupiła cały kwartał tu, w Damaskis, tuż obok bocznic kolejowej. Wzniosła dom wokół wieży, odmalowała wszystkie chałupy i zasiała trawę i cielasy na podwórkach.

Squire Vys powrócił do Damaskis w trzydziestym - ubogi i załamany. Był głodny i szukał pracy, lecz żadnej pracy nie było. A zwłaszcza nie było żadnego zajęcia dla ludzi w jego wieku.

Zwrócił się do Świątyni. Byłby szczęśliwy, gdyby mógł zostać zamiataczem. Pralacy rozważyli jego przypadek jako szczególny. Powiedzieli mu ponuro, że nie mogą mu pomóc.

Nie wypada, żeby ofiarodawca wielkich dzwonów został zaangażowany jako posługacz.

Byłoby to nawet niezgodne z kodeksami Siris. Dali mu powóz i zawieźli do kolegium. Tam złożył ofertę: trawniki wymagają okresowego strzyżenia, mógłby także być dzwonnikiem.

Robiłby wszystko, byle tylko pozwolono mu sypiać w kącie dzwonnicy i ofiarowano jeden posiłek dziennie. Rada Zarządu wysłuchała go ze smutkiem, była bowiem bezsilna. Jak by to wyglądało? Z pewnością ich zrozumie.

Podjął decyzję. Dowiedział się o Chacie Śmierci. Mógł wejść do środka, usiąść, oprzeć głowę o ścianę i umrzeć z godnością.

I tak, pewnego letniego wieczoru, trzydzieści lat po tym, jak złożył swój podpis pod Układem, Kon. K. Vys skierował się na zachód. Droga do chaty wiedzie obecnie wzdłuż granicy dzielnicy rozpusty, akurat Vys Street. Ten człowiek wyruszył zatem w swą ostatnią drogę ulicą, która nosi jego imię.

Wyobraźmy sobie, że stoimy na Vys Street, gdzieś z boku, i czekamy. Tego wieczoru Josi wyszła przed swoje frontowe drzwi. Patrzy na zachód słońca. Ulicą z trudem nadchodzi jakaś postać, stary człowiek. Nie zauważył jej. Zmierza ku Chacie Śmierci.

Tą ulicą zawsze nadchodziły takie postacie, wszystkie podobne do siebie. Josi widziała je, nie wiedząc nawet, że je widzi.

Lecz ta postać jest inna. Josi dojrzała z profilu twarz, słońce oświetliło kilkudniową szczecinę zarostu. Ten mężczyzna przypominał jej kogoś, wyglądał jak zbiedniały, skołatany burzami, pokonany Vys. Lecz to nie mógł być Vys, bo ten, którego знаła, był dumny, bogaty i męski.

A może by tak...?

Zagwizdała starą melodię, który on uwielbiał - cztery nuty. Mężczyzna zamarł, po czym powoli obejrzał się. Teraz mogła dokładnie przyjrzeć się jego twarzy. Słońce świeciło jej w oczy, więc i on widział ją wyraźnie.

Zrobił parę kroków w kierunku domu.

- Josi...?

- Vys! - krzyknęła. Zbiegła ze stopni i objęła go. Szczegóły kilku następnych minut nie są całkowicie jasne. Paru świadków przysięga, że tych dwoje stało tam na środku ulicy,

przeklinając się nawzajem i ściskając, śmiejąc się i drżąc. Ona woła do niego: Ty brudny, plugawy gówniarzu - jak wspominała marzycielsko panna Myria. A on do niej: Ty wszawa, cuchnąca, mała strzygo! Wszyscy obserwujemy tę scenę, to prawdziwa miłość. Wszyscy drżymy. A ona zabiera go do środka. Najpierw kąpie jak dziecko. W łazience śpiewają razem to, co oboje tak lubią, to samo, co brzmi w świątyni. Potem ona go karmi. I tak jest do dziś, od tamtego dnia do dziś.

Wniosek: Kiedy ten człowiek wielkodusznie urządził pannę Josi, dając jej środki na stworzenie domu rozpusty, niczego w zamian nie oczekiwał. A jednak, gdy znalazł się sam w potrzebie, jego dawna jałmużna pojawiła się jak znikąd, by go ratować. Siris nie opuścił go. Wręcz przeciwnie, Siris pokierował krokami tego człowieka. Spowodował, że przecięły się w czasie i przestrzeni z krokami Josi, że przeszedł ulicą, gdy Josi pojawiła się na podwórzu. Siris nie mógł pozwolić, by nie wypełniły się jego święte słowa, bo jest napisane: Rozdzielaj jałmużnę i nie oczekuj niczego w zamian, a powróci do ciebie pomnożona. Modlitwa do Siris, błogosławieństwo etc. Amen.

Świetna sprawa!

Święty mąż właśnie skończył czytać moje dzieło. Jesteśmy sami w jego gabinecie. Czekam niecierpliwie.

Rozdział czternasty GARD JEST PRZERAŻONY

- Co tu jest nie w porządku? - siedzący naprzeciwko mnie przy biurku Dziekan Gard patrzył na mnie wściekle. - Powiem ci, co jest nie w porządku. To uczy, że grzech bywa usprawiedliwiony, a nawet wynagrodzony. Grzech, a nie cnota, mówisz tu, ostatecznie triumfuje i zwycięża wszystkie przeszkody! Grzech! W czasach sprzed Układu ta kobieta zostałaby spalona. A co przydarza się jej w twoim kazaniu? Zamieszkuje we wspaniałym domu, ze służbą, by kontynuować swój bezbożny proceder. A co przydarza się temu łotrowi, który ulokował ją w samym środku tej nikczemności? Cóż, w twojej wersji dzieli to z nią. Nikczemność nie jest tu nikczemna, grzech nie jest grzeszny. Wręcz przeciwnie. Sprawiasz, że wydaje się to nagle bardzo atrakcyjne! Czy to jest to, co naprawdę chciałbyś wygłosić w świątyni?

Byłem zmieszany i strwożony. Dotarło do mnie nagle, jaka przepaść leżała między moim rozumowaniem a sposobem myślenia Garda. Nastąpiło to jednak zbyt nagle i dlatego przeraziło mnie. Twarz mi zbladła, głos drżał.

- Nie, pan się myli! Josi jest dobrą kobietą, a Squire Vys porządnym człowiekiem.

Słowa sypały się jak grudy żwiru. Gard zamrugał oczami. Jak to możliwe? Jeden z jego studentów odpowiada mu impertynencko! I to w chwili, gdy kwestie życia i śmierci, czyli wyświęcenia i ewentualnej mojej posady są w jego rękach. Pora na ostateczną groźbę.

- Twoja postawa zmusi mnie do ponownego rozpatrzenia kwestii stypendium.

- Tak, panie. Doskonale to rozumiem.

Teolog zmusił się, by zniżyć głos o pół sekstawy.

- W jaki sposób dowiedziałeś się o tych ludziach i poznałeś tę część miasta?

- Pracuję tam. To przyjaźni ludzie. Widuję się z wieloma z nich.

- Hmm. Tak przypuszczałem.

Czułem, że teraz powinienem pospiesznie zapewnić go, że nigdy nie spałem z żadną z tamtejszych dziewczyn, lecz nie miałem ochoty tego wygłaszać.

- Czy twoja matka wie coś o tym? To znaczy, czy wie, że tam pracujesz i zadajesz się z nierządnicami i stręczycielami.

- Moja matka wie dokładnie, gdzie pracuję. Nie wiem wprawdzie, co pan rozumie przez

"zadawanie się z nierządnicami i stręczycielami", lecz może będzie odpowiedzią na pańskie pytanie, gdy zapewnię, że ona nie wie, kto to jest stręczyciel. A tak na marginesie, panie Dziekanie, w lokalu Josi nie ma stręczycieli.

- Jak myślisz, co zrobiłaby twoja matka, gdyby dowiedziała się wszystkiego o tej pracy?

- Ubolewałaby, że musi to być właśnie tam, ale pamięta przecież, jak trudno o pracę.

- Nie martwiłaby się, że mógłbyś, powiedzmy, ulec pokusie?

- Nie martwiłaby się - odrzekłem krótko.

Spojrzałem mu w twarz i zrozumiałem, co w nim się burzy. Gard czuł, że cała władza mu się wymyka. Było to dla niego przerażające. Ten młody yed nie jest zawstydzony, ani śladu skruchy, nic a nic. Tu stała duma, ten młodzieniec jest niezależnością. To niemożliwe. Przypuśćmy, że to rodzaj infekcji. Co będzie, jeśli rozszerzy się ona i na inne załóżki kapłaństwa? Niech Siris broni! Praca, kilka solati i już zaczyna się obcość.

- Pewnego dnia - powiedział Gard w zadumie - zniszczę twoich błędzących przyjaciół. To mój obowiązek.

Spojrzałem na niego. Co mógłby zrobić? Z dawna istniał układ między Świątynią a milicją. Dopóki kapitan Kertor tam będzie, zostawią Josi w spokoju.

- Kertor nie będzie tam wiecznie - rzekł Gard spokojnie. Siris! Czyżby ten stary wypierdek czytał moje myśli?

- Pewnego dnia, w ten czy inny sposób, odejdzie. Ona zostanie aresztowana i okaże się, że jest strzygą. Zostanie spalona.

Chciałem wrzasnąć na niego: Nie! Nie! Nie! Lecz milczałem. Och, Josi, moja śliczna, trzymaj się Kertora! I pomyślałem o nożu Boogiego. Czy naprawdę do tego dojdzie?

Dziekan westchnął.

- Pol, nie możesz oczekiwać, że udzielę ci promocji. Nie na tym kursie.

A zatem wracamy do sedna.

- Rozumiem, panie, cóż, wszystko się skończyło.

Poczułem lekkość, beztroskę puszczonego wolno balonu. Płynąłem. Gard był zamyślony.

- Nawet gdybyś zdał ten kurs... to wątpię, czy okazałbyś się dobrym kapłanem.

Zgadzałem się z tym całkowicie. Czekałem.

Utkwił we mnie przenikliwe spojrzenie.

- A teraz, ostatni punkt. I pozwól, iż zapewnię, że czynię to z miłości do ciebie, a nie z chęci ukarania. Chciałbym, żebyśmy padli teraz na kolana i pomodlili się do Siris, by wybaczył ci te okropne rzeczy, które wypowiedziałeś i zawarłeś w kazaniu. Potem podrzemy je na drobne kawałki. Pomodlisz się ze mną?

- Nie, panie. Przykro mi, panie, ale nie zrobiłem nic takiego, co Siris musiałby mi wybaczać. Twarz Garda wyraźnie okazywała smutek.

- Wobec tego muszę przedłożyć twoje nazwisko Radzie Starszych. Musisz się spodziewać, że zostaniesz ekskomunikowany.

Obserwowałem go uważnie. Jego oczy nabrały lodowatego połysku. Szykuje realne oskarżenie, wie też, co myślę. Odbierze mi stypendium, to jedno. Będzie to ciężki cios dla matki, lecz zdoła to przeżyć. Ale jeśli zostanę wyrzucony ze Świątyni, to naprawdę załamie się i umrze. Byłby to trzeci nasz grób na cmentarzu. Nie mówiąc już o tym, że wieść dotarłaby do Cechu Papierniczego, potem do Gearinga, a potem... żadnej pracy.

- Dobrze, panie - ukląknęm.

- Ty zaczynaj - rzekł Gard, kładąc rękę na mojej głowie. - Siris, wybac mi moje grzeszne postawy - powiedziałem drętwo.

- Trochę więcej ekspresji.

Wzięłem głęboki oddech. Podnosiłem i zniżałem głos w powszechnie przyjęty i aprobowany sposób. Skatalogowałem moje grzechy. Obiecałem poprawę. Poleciłem opiece Siris tego dobrego człowieka, który oświecił mnie co do moich błędów.

Kiedy zbliżyłem się do końca, zastanowiłem się, czy mój inwentarz grzechów jest w ogóle prawdziwy.

- Amen - powiedział Gard. - Dobrze, Pol, tak mniej więcej powinno to wyglądać. Możesz zostać na łonie Świątyni.

1:0 dla starego zawodowca - pomyślałem.

Podnieśliśmy się.

Kiedy ciężkim krokiem schodziłem po schodach, nasłuchiwałem, czy nie dobiegną mnie odgłosy dartego i szarpanego na strzępy papieru.

Na próżno.

Powlokłem się do domu czując wstyd, winę, czując się splugawiony. W głębi duszy budziła się czysta nienawiść do samego siebie, do Garda, do Świątyni, do zorganizowanej zinstytucjonalizowanej religii.

Jeśli Siris istniał, także nie czułem do niego szczególnej miłości. Kiedy szedłem tak przez park, skręciłem w jedną z bocznych ścieżek i zwymiotowałem wszystko, co mogłem.

Wróciwszy na główną alejkę ujrzałem postać w spódnicy, która zatrzymała się na skrzyżowaniu, odwróciła się i pobiegła przez łąkę. Dziewczyny nie powinny przebywać samotnie w parku o tej godzinie - pomyślałem. Nigdy nic nie wiadomo. Jednak w tej postaci było coś znajomego. Biegła w kierunku kolegium.

Jeil? Ile słyszała? Cholerna, wścibska suka.

Lecz od tej chwili moje akcje zaczęły zwyżkować.

Gdy przyszedłem do domu, matka powiedziała, że kapitan Kertor przysłał przez jeźdźca prywatną wiadomość na piśmie. Wyścigowy wołc podjechał prościutko pod schody i zjadł trzy dojrzałe tomatki, podczas gdy jeździec wręczał przerażonej matce kopertę. Mniejsza z tym!

W damaskijskiej milicji była wolna posada. Przyjmowali zgłoszenia i mieli wkrótce podjąć decyzję. Potrzebuję - pisał dalej starannym, ozdobnym charakterem - młodego gościa w wydziale śledczym. Będzie zdejmował odciski palców, pisał listy, drukował protokoły i tak dalej. Płaca czterysta solati na sekstyl. Jesteś zainteresowany?

Ze zdumieniem gapiłem się na kawałek papieru. Czterysta solati? Czy to możliwe? To więcej niż dwukrotna płaca w Magnie.

- Co masz zamiar zrobić? - spytała matka bojaźliwie

- Zgłosić się! - krzyknąłem. - Pieniądze! Pieniądze! Pieniądze!

Wolność! Wolność! Wolność!

Rozdział piętnasty

PULKOWNIK DITE

Wczesnym rankiem następnego dnia, a był to cinque, zatrzymałem się przed Departamentem Milicji.

Milicja i więzienie zajmowały suterенę i część parteru starożytnego Budynku Cechów, resztę gmachu wypełniały rozmaite urzędy administracyjne.

Ledwie czytelna tabliczka na jednych z drzwi głosiła: Wydział Śledczy. Gdy je otworzyłem, uderzyła mnie mieszanina różnych niezbyt przyjemnych zapachów - jakaś antyseptyczna wilgoć, brud. W środku czekał pułkownik Dite. Uścisnęliśmy sobie dłonie i krótko, lecz uważnie przyjrzelśmy się sobie.

Pułkownik był masywnym mężczyzną, niższym wprawdzie ode mnie, lecz silniej zbudowanym. Uścisk dłoni miał jak uchwyt imadła. Niewyszukany serżowy mundur nosił jak zbroję, u boku dyndała okryta pokrowcem kusza. Oczy miał ciemne, surowe. Szybko i

precyzyjnie wyjaśnił sytuację:

- Mamy wolną posadę. Chcemy kogoś, kto podjąłby się pracy na nocnej zmianie i działał tu samotnie. Nasz poprzedni urzędnik okazał się homoseksualistą, stąd wolny etat.

Przez chwilę patrzył na mnie oskarżycielsko. Poczułem, jak rumieniec wypełza mi na policzki, zupełnie jakbym był winowajcą.

- Przyłapał go na gorącym uczynku nie kto inny, jak Dziekan Gard, w kolegium, w sali gimnastycznej. Był jednym ze studentów.

Coś ścisnęło mnie w gardle. Synu Siris! Byłem świadkiem pierwszego i ostatniego aktu istnego minidramatu, który spowodował zwolnienie się tej posady. Wymieniłem nawet krótkie spojrzenie z jednym z jego uczestników. Ale którym? Nie sposób się dowiedzieć.

Pułkownik spojrzał na mnie z zaciekawieniem. I ciągnął:

- Z trudem udało nam się ukryć to przed prasą. Najwyższy Sędzia wezwał mnie na rozmowę. Teraz będziemy ostrożniejsi.

Obserwował mnie badawczo przez dłuższą chwilę i w końcu spytał:

- Czy nie jesteś homoseksualistą?

Teraz wszystko odnalazło swój sens. Tragikomedia w sali gimnastycznej, pytania Kertora o dziewczyny. Zapragnąłem w tej chwili mieć opinię największego w prowincji dziwkarza i rozpustnika, oskarżonego w trzech procesach o ojcostwo.

- Nie - odpowiedziałem. - Nie jestem homoseksualistą.

Mówiąc szczerze, było to głupie pytanie. Czy on sądził, że gdybym nim był, to przyznanie się nastąpiłoby tak łatwo? Pułkownik musiał mieć podobne zdanie.

- Chodźmy - powiedział. - Oprowadzę cię.

Poprowadził mnie korytarzem do małego pokoju, stamtąd do następnego, większego, w którym kręciło się paru mundurowych, a jeden siedział przy centralce.

- Wszystko zaczyna się tutaj - wyjaśnił pułkownik. - To jest sala zatrzymań. Funkcjonariusz przyprowadza tu aresztowanego, a on opróżnia kieszenie na ten aluminiowy kontuar. Dyżurny spisuje wszystko na wierzchu koperty, do której chowa depozyt. Potem obaj to podpisują i zatrzymany przechodzi oficjalnie pod opiekę straży więziennej. Dyżurny wypełnia kartę więźnia, przenosząc jednocześnie wszystkie dane do ogólnego spisu. Później, w ciągu dnia, drukujemy każdemu porządną kartę aresztowania. Robi się to na maszynie drukarskiej.

Dozorca dba o to, by aresztowanemu zostały zdjęte odciski palców, po czym prowadzi go do celi. Są dwa oddziały - kobiecy i męski.

Poszedłem za nim w dół, do suterenu.

- Tutaj jest sala odpraw. Porucznik Leder robi zbiórkę porannej zmiany.

Trzydziestu funkcjonariuszy stało szeregiem na baczność w dużej sali, a porucznik, siwowłosa mężczyzna w sztylpach, dokonywał inspekcji. Oglądał wszystkich po kolei, od czasu do czasu potrząsał głową, lecz nie przerywał porannej wędrowki. Kiedy dotarł do końca szeregu, sierżant wręczył mu listę służb.

- Spocznij - porucznik popatrzył na arkusz i przywołał strażnika. - Przysłać Sana Gallinga.

Szczęknięły metalowe drzwi i do pomieszczenia wszedł młodzieniec o smutnym wyglądzie, w zniszczonej tunice. Porucznik zaczął czytać:

- San Gallig. Dwadzieścia trzy lata. Dwa lata Więzienia Okręgowego za obrazę kapłana.

Aresztowany w Vosstown, podejrzany o herezję. Zwolniony z braku dowodów. Aresztowany wczoraj w Berry za przywłaszczenie kandelabrow ze świątyni. Gallig, przejdź się wkoło.

Zauważyłem naznaczony farbą na podłodze krąg.

- Patrzcie uważnie na tego człowieka - mówił porucznik - ilekroć ujrzycie go, zwracajcie na niego baczna uwagę. Jeśli wykona nazbyt szybki ruch, reagujcie. Co robisz w mieście, Gallig? - zawołał do zatrzymanego.

- Szukam pracy.

- Mów głośniej i idź szybciej.

- Szukałem pracy.
- Oni nadal cię nie słyszą. Zachowujesz się, jakbyś nigdy nie brał udziału w okazaniu.
- Szukałem pracy - mężczyzna powłókł się nieco szybciej.
- On mówi prawdę, szukał zajęcia - stwierdził sucho pułkownik. - Został złapany z kompletem narzędzi z niebiańskiego metalu: piła, dłuto i młot kowalski. Jego aktualna specjalność to włamania do kas ogniotrwałych - odwrócił się. - Chodźmy dalej, do pracowni odbitek. Nasz urzędnik z dziennej zmiany zdejmuje odciski palców całej gromadzie włóczęgów. Możesz zobaczyć, jak to wygląda.
Dite zaprowadził mnie do pokoju pełnego ponurych, milczących mężczyzn. Stali cierpliwie w szeregu, dozorca więzienny blokował jedyne wyjście z pokoju. Na drugim końcu rzędu pracował urzędnik, zdejmujący odciski palców. Był to mężczyzna w krótkiej, różowej tunice i czarnych spodniach. Pracował szybko i sprawnie.
Patrzyłem zafascynowany, jak urzędnik rozprowadza tusz na szklanej płycie, potem przetacza po niej drewniany wałek, by warstwa barwnika była jednolita. Potem po kolei odciska wszystkie dwanaście palców włóczęgi i przykłada je do sztywnej różowej karty. Podczas gdy ja przyglądałem się, pułkownik obserwował mnie ukradkiem. Nie przeszkadzało mi to, Dite miał prawo sprawdzić, jak nowy pracownik zareaguje na prozę życia. Na wszelki wypadek ograniczyłem się do zadawania sporadycznych pytań.
Wróciliśmy do gabinetu pułkownika.
- Będę szczery, Randol - jego głos wyrażał skrywaną frustrację. - Masz dopiero dwadzieścia lat. Nasz kandydat powinien mieć dwadzieścia jeden. Masz także niedowagę. Praca tutaj nie będzie polegała tylko na drukowaniu, będziesz także zdejmował odciski palców. W każdej chwili możesz zostać zmuszony do wykorzystania siły fizycznej, do samoobrony. Niektórzy mogą nie chcieć, by poznano ich odciski.
Pojąłem sytuację. Właściwie nie było w Damaskis tak wielu mężczyzn umiających obsługiwać maszynę drukarską. Pułkownik wyczerpał możliwości. Objął poszukiwaniami nawet tych kandydatów, którzy niezupełnie spełniali wymagania, stąd moja tu obecność. Gdybym był starszy i więcej ważył, praca byłaby moja. Chciał, żebym pomógł mu przekonać się, że jestem mężczyzną.
- Za parę tygodni będę miał dwadzieścia jeden lat - zacząłem ostrożnie. - Co do niedowagi, nie sądzę, żebym istotnie ją miał. Składam się głównie z mięśni.
- Naprawdę? - Dite nadal był niezdecydowany. - Ja ćwiczę pół godziny dziennie w naszej sali gimnastycznej. Jesteś troszeczkę wyższy ode mnie, lecz ważymy mniej więcej tyle samo. Zobaczmy więc, jak pójdzie nam w zapasach na stojąco.
Wyszedł zza biurka. Stanęliśmy na środku pokoju, postawiliśmy nasze prawe stopy jedna obok drugiej i spleliśmy ręce. Był tak pewny siebie, że nawet nie zadał sobie trudu, by odpiąć kuszę. Przerazające!
Natychmiast stało się dla mnie jasne, że ta gra nie była tylko próbą sił. Wymagała jeszcze zręczności i doświadczenia. Ktoś słabszy i niższy, lecz doświadczony, mógłby wygrać z nowicjuszem. Tak było i teraz. Po kilku fałszywych wypadach i atakach, Dite natarł naprawdę i niemal pozbawił mnie równowagi. Ledwie miałem czas, by ocenić, co ma zamiar zrobić i jak powinienem zareagować. Szybko się pozbierałem i wychyliłem daleko do przodu, nieco w lewo, ujmując rękę mężczyzny w uchwyt godny szczypiec z niebiańskiego metalu. Mieliśmy upaść, owszem, lecz razem, a Dite będzie na spodzie. Oficer zaczął ustępować powoli, gdy nagle pomyślałem, czy to właściwe pokonać prawdopodobnie przyszłego szefa, nawet w grze. Jednakże jeśli go nie przekonam, że potrafię zatroszczyć się o siebie w przypadku kłopotów, to nigdy nie będzie moim szefem. Tak czy inaczej, wygrałem i przegrałem równocześnie. Nasze stopy wciąż spoczywały na kamiennej podłodze, lecz w ciągu ułamka sekundy jedna z nich musiała zmienić miejsce. Dite padał. Farsa kończyła się dokładnie tak, jak zaplanowałem. Dite usiłował pociągnąć mnie w dół, a ja poszedłem za jego sugestią,

zmuszając go do starania się przede wszystkim, by nie upaść na twarz. I tak wygrałem lub być może przegrałem.

Rozdzieliliśmy się.

Tymczasem wokół nas zgromadziło się paru milicjantów. Nie skrywali szerokich uśmiechów. Kamienna twarz Dite zmieniła się ledwo uchwytnie. To był uśmiech, lecz z domieszką złości.

- Masz wspaniałe mięśnie - oddychał szybko i z hamowaną niechęcią patrzył na otaczające nas twarze. - Zaryzykujemy jeszcze jeden test?

- Tak, panie - nie podobało mi się, że sprawy przybrały taki obrót. Dite nie okazał tego, lecz niezawodnie go rozgniewałem. Nie byłem pewien, co teraz szykuje. Zaciśnąłem szczęki, dobrze, niech będzie. Nie było mi przykro, że powaliłem pułkownika, zrobiłbym to jeszcze raz.

Oficer zwrócił się do wielkiego, niezdarnego funkcjonariusza stojącego po lewej stronie.

- Kapralu Ballein, poznaj Pola Randola, kandydata na stanowisko urzędnika. Jeśli obaj zgodzicie się, to czy moglibyście zaszczyścić nas pokazem siłowania się na ręce?

Teraz to już przesada - pomyślałem. - To gorsze niż plemienna inicjacja. Cała ta paczka jest szalona. Powinienem niezwłocznie stąd wyjść. Nagle olśniło mnie.

Woł Ballein!

Niegdyś słynny siłacz w szkolnej drużynie. Jednak z latami stracił formę, chociaż nadal była to sama bryła mięśni trójgłowych rozsadzających przedramiona.

- Tak, sir... - Ballein był autentycznie nieszczęśliwy.

Wyraźnie nie chciał narażać mnie na szwank ani sprawiać mi kłopotu. Pobicie kogoś niewiele przydałoby sławy prawdopodobnemu mistrzowi zawodów "na rękę" w damaskijskiej milicji.

Pułkownik był nieugięty.

- Naprzód, kapralu.

Ballein westchnął i spojrzał na mnie.

- Gotów?

Skinałem głową.

- No, dobrze...

Ballein usiadł po jednej stronie stołu, ja po drugiej. Nie miałem nawet czasu, by zaklinować kolano o nogę stołu, gdy Ballein capnął moją rękę i zaczął pchać ją do blatu.

Zadziałał czysty refleks. Zdołałem jedynie pomyśleć, że moja dłoń nie może dotknąć stołu i zażądałem od mego ciała jednego przyływu mocy. I stało się. Nie zawracałem sobie głowy używaniem łokcia jako zawiasu (tak, jak było to przyjęte), nie usiłowałem przyciskać go do stołu, po prostu parłem w górę. I ramię posłuchało, a ręka Balleina nie miała wyboru. I Woł Ballein (który ważył dwa razy tyle, co ja) poderwał się w górę razem ze swym ramieniem, a ponieważ przewidująco zablokował lewą nogę o stół, zabrał ze sobą i mebel. Była to niebagatelna masa (stół i człowiek), wróciła zatem na miejsce tak szybko, jak je opuściła.

Wracając napotkała na swej drodze stopę Balleina. Kapral nie wytrzymał, wyszarpnął mi dłoń i podniósł stół. Zerwał się potem i skakał po pomieszczeniu, wzbudzając ogólną uciechę.

Ja jednak byłem przerażony. Popatrzyłem najpierw na Balleina, który mnie zignorował, potem na Dite, który zareagował czymś, co mogło być uznane za szeroki uśmiech.

- Przepraszam! - krzyknąłem licząc, że ktoś mnie usłyszy.

- Nie ma za co - powiedział pułkownik. - Nic mu się nie stało. A ty udowodniłeś, że jesteś zdolny poradzić sobie. Tak czy inaczej, wkrótce podejmiemy decyzję i damy ci znać.

Kiedy wychodziłem, napotkałem przez moment spojrzenie Balleina i podniosłem ramię w geście przeproszenia. Odpowiedział mi niepewnym uśmiechem.

Tego samego dnia, o jedenastej, kapitan Kertor przyszedł do fabryki porozmawiać ze mną.

- Słyszałem, chłopcze, że miałeś problem z tą pracą w milicji - w głosie można było wyczuć sympatię, jak i oskarżenie. Moje serca zatrzepotały w tandemie. Problem? Jaki problem?

Przerwałem układanie pudełek według karty zamówienia i spojrzałem na niego.

- Nie rozumiem.

- Potrzebujesz świadectwa, że nie jesteś homoseksualistą.

- Kim? - wytrzeszczyłem na niego oczy.

- Homoseksualistą, chłopcze - powtórzył niecierpliwie. - Jesteś?

- Nie, panie - zgrzytnąłem zębami. - Oczywiście, że nie.

- Możesz to udowodnić? Na przykład, czy możesz dowieść, że lubisz dziewczyny? Że byłeś w łóżku z dziewczyną?

- Nie, nie mogę udowodnić niczego. Widzi pan, kapitanie...

Usłyszałem jak gwałtownie wciągnął powietrze.

- Chłopcze - jak to przerażenie może się łączyć ze sceptycyzmem. - Chłopcze, czy ty chcesz powiedzieć, że jesteś prawiczkim?

Nie odpowiedziałem wprost.

- Kapitanie, muszę skończyć przygotowywać to zamówienie. Czy mógłbym spotkać się z panem później?

- Oczywiście, synu. Kończysz w południe?

- Mniej więcej za godzinę.

- Wpadnij do "Wieży", chłopcze. Myślę, że rozumiem, w czym kłopot. Możemy się z tym uporać.

Rozdział szesnasty

JESTEM PRZEDMIOTEM LICYTACJI

- Wejdz, synu - rzekł Kertor dobrotliwie.

On i Squire Vys siedzieli przy stole do jaq. Nie było w tym nic niezwykłego. W ten sposób spędzali zwykle większość czasu. Osobliwość stanowiły natomiast cztery dziewczyny, które stały obok, patrzyły na mnie i chichotały. Myria, Nana, Felia. I nowa, której imienia nie znałem. Zawahałem się, lecz Kertor przywołał mnie ruchem ręki.

- Właśnie otrzymałem ekspresem wiadomość od pułkownika - wyciągnął z kieszeni kawałek papieru, rozprostował go i zmarszczywszy brwi spojrzał na mnie przez swe okulary w aluminiowej oprawie. - Pułkownik zlecił mi, bym osobiście zajął się twoim świadectwem.

- Moim czym?

- Świadectwem. Uspokój się, chłopcze - odchrząknął znacząco. - Posłuchaj:

Miasto Damaskis, Okręg Południowy, w miejscu

Ja, niżej podpisany, niniejszym stwierdzam uroczyście i zaświadczam, że Pol Randol, znany mi osobiście, ma normalne stosunki seksualne z przedstawicielkami płci przeciwnej i nie jest homoseksualistą.

Podpisano /../

Jaim Kertor

Kpt., Milicja Okręgowa /ex/

Na dwie twarze SiriS - pomyślałem.

Podniósł na mnie surowe spojrzenie.

- Nadal jesteś zainteresowany? Nadal chcesz tej pracy?

- Oczywiście.

- To dobrze. Ja mam tylko to podpisać i dostarczyć pułkownikowi. Rozmawiali z jeszcze jednym kandydatem, ale woleliby ciebie.

- Rozumiem. Więc...

- To musi być na serio, chłopcze. Pułkownik i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi. Nie mogę zapewnić go o czymś, co nie miało miejsca.

Spojrzałem po kolei na dziewczyny. Potem na Squire Vysa. Właśnie uśmiechnął się, jak zwykle krzywo i tajemniczo. Gdy znów spojrzałem na kapitana, zaczynałem rozumieć.

- One wszystkie są czyste - stwierdził Kertor. - Właśnie wróciły z kontroli teomedycznej i jeszcze nie pracowały od tego czasu.

Zaschło mi w ustach, chciałem przełknąć ślinę, lecz trudno przełknąć nic.

- Nie mam pieniędzy - powiedziałem.

- To nie problem, chłopcze. W istocie... cóż, może lepiej cię zapytam... w zasadzie się zgadzasz?

- Ja... no dobrze... - co miałem zrobić? Wybrać jedną i pójść z nią do łóżka.

Kapitan czekał.

Przyjrzałem się dziewczynom. Myria, z kwadratową, czysto uformowaną twarzą, z pełnymi, soczystymi wargami; dumne, proste, wdzięczne i brązowe ciało. Wymieniliśmy jednakowe, szacujące spojrzenia.

Różowoskóra Nana, unikat wśród dziewczyn, nosiła bowiem pas. Czyniła beznadziejne wysiłki, by opanować jakoś swe bujne ciało. Ogromny biust zakuty był w specjalny stanik. Kolumnowe uda łączyły się z masywnymi biodrami, przechodzącymi powyżej w zaskakująco wąską talię. Pulchny brzuch wybuchał niepokonany ponad górną krawędzią pasa.

Jakiegolwiek tradycyjne uprawianie z nią miłości musiało nastęczać sporo trudności natury technicznej, co mogło wyjaśniać jej popularność. Wymieniliśmy uśmiechy.

A potem była Felia, rudzielec. Siedziała teraz na krześle obok Kertora. Gdy spojrzeliśmy na siebie, powoli skrzyżowała nogi, jakby dla zrównoważenia potęgi Nany z pasem i stanikiem. W ramach tej cichej wojny Felia nosiła tylko tunikę. Żadnej halki, żadnego biustonosza, żadnych majtek. Nie miała na sobie nawet butów. Udając nagle zainteresowanie wozem, który z turkotem przetoczył się ulicą, wstała i zrobiła parę kroków w kierunku okna. Chodziła pięknie, spadziście jej pośladków była wyraźnie widoczna. Prawdopodobnie tak chciałyby chodzić każda bosa kobieta. Odwróciła się, podeszła do stołu i na chwilę wyciągnęła w górę ramiona, ukazując czerwone kędziorki włosów pod pachami. Usiadła i przewiesiła ramię przez poręcz krzesła.

Trudno by oczekiwać, że będę obserwował i oceniał kandydatki zupełnie beznamiętnie.

Byłem czerwony jak krzak tomatków, oddech jakby mi przyspieszył.

- Cześć! - to była ta nowa.

Stała obok Felii i uśmiechała się do mnie szeroko. Spojrzałem na nią zdziwiony, po czym z wysiłkiem zdobyłem się na uśmiech. Nosiła gustownie uszytą bluzkę i spódniczkę. Nie miała żadnego makijażu i nie czyniła wysiłków, by wyglądać seksownie czy prowokująco. Czarne włosy były upięte w długie warkocze otaczające tył głowy. Widywałem w kolegium dziewczyny uczesane w ten sam sposób. Nowo przybyła miała klasę. Byłem pewien, że i ona była zapisana do kolegium i że widywałem ją tam. No cóż... każdemu miejscu oddawała to, co przewidywał etat.

Dopiero wtedy zwróciłem uwagę na zapachy. Oczywiście, były wyperfumowane. Same zapewne potrafiłyby nazwać te wonie, lecz ja wiedziałem tylko, że pachnie to jak kwiaty zie, i że czuję też mydło. No i dominująca nad wszystkim woń kobiecego ciała. Nie taka znowu nieprzyjemna, nawet, w rzeczy samej, kusząca.

- Mój chłopce - powiedział niecierpliwie Kertor. - Czy skończysz kiedykolwiek badanie tego towaru?

- Och, przepraszam...

- Wobec tego zaczynamy - okręcił się nieco na krześle i spojrzał po twarzach dziewczyn. - Która otworzy za pięćdziesiąt solati?

Myria położyła rękę na biodrze i spojrzała na mnie z rozmarzeniem.

- Pięćdziesiąt - powiedziała.

- Mamy pięćdziesiąt. Siedemdziesiąt pięć?

Dziewczyna z kolegium obserwowała mnie spokojnie. Jej usta rozchyliły się nieco i przesunęła językiem po wargach.

- Siedemdziesiąt pięć - zadeklarowała.

Byłem licytowany jak wołc zarodowy.

- Kto dostanie tę zapłatę? - sam zdziwiłem się, jaki jestem spokojny.

- Biuro Zatrudnienia Kertora - stwierdził kapitan niewzruszenie. - Mam siedemdziesiąt pięć. Sto, dziewczyny?

- Dwieście solati - powiedziała Nana cicho. Spojrzeliśmy po sobie, a ona delikatnie przesunęła ręką po brzuchu.

- Czteryście - rzuciła Myria.

Prawie trzykrotna moja płaca? To byli szaleńcy, w komplecie, i ja też, skoro stałem tu i słuchałem.

Gdzieś w głębi budynku jęknęły otwierane i zamykane drzwi. Odwróciłem się i odruchowo spojrzałem w górę.

U szczytów schodów, na podeście, stała nieruchoma postać. Od tyłu oświetlał ją blask wpadający przez okno. Fantastyczne czarne loki spadały na jej policzki, prawa ręka spoczywała lekko, z wdziękiem, na poręczy. Oczy zdawały się nieznacznie rozszerzone, takie przynajmniej robiły wrażenie w osobliwym oświetleniu. Usta łagodne, wargi rozchylone. Czy wiedziała? Czy dlatego przyszła? Czekala? Wiedziała?

Siris, ona była piękna.

Josi, czy wiesz, co tu się dzieje? Czy wiesz, że właśnie mam utracić dziewictwo? Że kiedy wyjdę stąd na chwiejnych nogach, będę już mężczyzną?

Wymieniłem jedno długie spojrzenie ze Squire Vysem. Po czym obaj odwróciliśmy oczy.

Odszedłem od stołu i ruszyłem w kierunku schodów. Jedna z dziewczyn coś powiedziała, nie dosłyszałem co, jedna chyba westchnęła. A potem zapadła zupełna cisza.

Kątem oka dostrzegłem coś interesującego. Od kontuaru obserwował mnie Boogi; podniósł swój nóż i ruszył do przodu. Ktoś podążył zaraz za nim i zauważyłem jeszcze dłoń opadającą, aby powstrzymać jego ramię.

Straciłem ich z pola widzenia. Dobra, Boogi, może to zrobisz, może nie. Niech nawet zimny czubek roztrzaska tył mojej głowy, przecież i tak tego nie poczuję. Natychmiastowa śmierć, niech więc będzie.

Stopień po stopniu ruszyłem w górę. Czasem skrzypnęło coś pod dywanem. Lecz ostrza nie było. Czyżby Boogi zrezygnował?

W połowie drogi dostrzegłem już wyraźnie oczy Josi. Patrzyła na mnie spokojnie, z zaciekawieniem. Była ubrana jak zwykle w różową tunikę z krótkimi rękawami i falbankami, długą czarną spódnicę z jakiegoś lekkiego materiału i pasek z przybraną klejnotami zapinką. Dotarłem do podestu, ująłem jej urękawiczoną dłoń i podniosłem do warg. Wszystko to robiłem automatycznie, odruchowo i chyba nie wiedziałem nawet, co się ze mną dzieje. To było zupełnie nierealne, jakbym był aktorem na scenie. Lecz patrzcie! Jej twarz się zmieniała, i to w dziwny sposób. Oczy otworzyły się i zamknęły, usta rozwarły i też zamknęły.

Opuściłem jej rękę, lecz nie zerwałem kontaktu. Przez rękawiczkę wyczuwałem miękkie, ustępliwe palce.

Znów rozchyliła usta. Próbowala coś powiedzieć. Wyglądało, jakby miało to być słowo: tak. Lecz nie wydostał się żaden dźwięk. Wyraz jej twarzy zaczął się ustalać.

Cienie i światło z okna ślizgały się po draperiach, zasłony zostały rozsunięte, blask wirował wokół jej głowy. Odniosłem niesamowite wrażenie, że jakieś odległe głosy nawołują: Tak! Tak! Tak! Tak!

Ona też była teraz aktorką, która przypominała sobie rolę.

Uwolniłem jej palce i dotknąłem ramienia. W tej właśnie chwili spojrzała na mnie spokojnie. Stuliłem dłoń na krzywiznie jej barku. Cienki materiał bluzki zdawał się topnieć pod moją ręką, wyczuwałem naramki, prawdopodobnie halki i biustonosza. Przesunąłem dłoń ku nagiemu ciału ramienia - było chłodne i gładkie. Powoli wciągnęła powietrze, westchnęła. Jeszcze trochę - pomyślałem - a zacznę drżeć. Ująłem jednak jej drugie ramię i zgodnie z moją sugestią odwróciła się. Objąłem jej talię i poszliśmy ku jej drzwiom. Z niesamowitą dokładnością słyszałem, że jedynym dźwiękiem, który rozlegał się w całym domu, był stłumiony głos Kertora. Mówił, chyba do jednej z dziewczyn: Odnieś niezwłocznie tę kopertę pułkownikowi Dite.

Rozdział siedemnasty

POKÓJ JOSI

Zamknąłem za nami drzwi i zasunąłem rygiel. Odwróciłem się. Stanęliśmy twarzą w twarz. Serca waliły mi tak mocno, że zdawało mi się, iż bębunki w uszach aż drgają od tego dźwięku.

- Josi - powiedziałem ochryple, z trudem rozpoznając własny głos. - Ja... ja... - przełknąłem i zamilkłem.

Położyłem ręce na jej biodrach i przyciągnąłem blisko do siebie. Poddała się temu z ochotą. Westchnęła, zarzuciła mi ramiona na szyję, przechyliła nieco głowę na bok i przymknęła oczy. A zatem pocałowałem ją, nieśmiało, na próbę. Jej wargi były miękkie, ciepłe i uległe, rozchyliły się i jej język wsunął się jak wąż do moich ust. Przesunąłem wargami po jej policzku i w dół, ku szyi. Jedną ręką objąłem ją mocno w talii, drugą wysłałem na badanie nowych obszarów. Znalazłem piersi przez biustonosz, halkę i bluzkę, wyczuwając twardniejące sutki.

Odsunąłem się nieco, manipulując przy zatrząskach. Nie byłem szczególnie zgrabny i zajęło mi to całą wieczność. Zaczęła mi w końcu pomagać. Ściągnęła bluzkę i rzuciła na podłogę. Równocześnie zsunęła pantofle. Ja pracowałem przy dwóch guzikach jej spódnicy - były duże i powiodło mi się lepiej niż przedtem - spódnica opadła wokół jej nóg, a ona wyszła z niej jak motyl wypełzający z kokona poczwarki. Stała przez chwilę w halce, po czym jakimś magicznym ruchem skrzyżowała ramiona i ściągnęła ją przez głowę. Obszedłem ją dookoła i odpiąłem biustonosz; piersi zakołysały się uwolnione. Ukląknęłem, ściągając jej majtki.

Cudowna.

I to nie dlatego, że bym był koneserem. Wstając, pozwoliłem moim wargom zatrzymać się na jej brzuchu, ująć na chwilę lewą sutkę. A potem znów ją przytuliłem.

Coś jednak było nie w porządku - ciało powinno odpowiadać ciału, a ja przecież byłem ubrany. Wyciągnąłem tunikę ze spodni, rozpiąłem i odrzuciłem na bok. Ona tymczasem czekała, czekała, gdy ukląknęłem, by zdjąć buty, czekała, nim nie uporałem się ze spodniami i bielizną. Zrzucony ubiór momentalnie jakby zniknął z pola widzenia. I oto znów byliśmy usta przy ustach, badając się językami, przytuleni. Jej ręce błędziły po całym moim ciele, zawędrowały w pobliże podbrzusza, najpierw jedna, potem dru... druga... To... ja...

O, Siris!

Fontanna. To było cudowne... i straszne. Trochę na jej ręce, coś na brzuch, reszta na nogi. I jej, i moje. Prerażony i przybity, nie wiedziałem, co powiedzieć.

Josi podniosła swoje majtki i zaczęła nas wycierać.

- Przepraszam - wymamrotałem. Czyżby wszystko się skończyło? Zanim się jeszcze zaczęło?

Ona po prostu się uśmiechnęła. Nie jestem pewien, co właściwie wydarzyło się potem. Czy skinęła głową? Czy jeśli tak, to był lekki gest wskazujący na łóżko?

Zaniosłem ją tam. W chwilę później podłożyła sobie poduszkę pod pośladki, otworzyła się dla mnie i zaczęliśmy od nowa, czasem harmonijnie, czasem każde szło swoją drogą. Wzdychała,

jęczała, jej twarz i klatka piersiowa były zroszone potem. Nagle zaczęła falować, schwyciła mnie mocno, aż poczułem jej paznokcie.

- Teraz! - wydyszała. - Teraz! Teraz!

Tak jakby nacisnęła niewidoczny magiczny guzik, przybyłem do mety wraz z nią. I to już był koniec.

Leżałem jeszcze na niej jakiś czas, przyciskając rozchylone wargi do boku jej szyi. Długo uspokajaliśmy oddech, zupełnie jak po przebiegnięciu d-tuzina. Uniosłem się nieco i spojrzałem na jej półprzymknięte oczy. Podniosła wzrok i uśmiechnęliśmy się do siebie. Stoczyłem się z niej i położyłem obok.

- Zdrzemnijmy się troszeczkę - szepnęła.

Wyciągnęła spod siebie poduszkę i z powrotem położyła ją pod głowę. Z nóg łóżka wydostała lekki koc i przykryła nas oboje. Potem odwróciła się do mnie plecami. Patrzałem z zachwytem na jej śliczną głowę, śledziłem zarys barków, talii, bioder. Były cudowne. A potem nogi, które obejmowały mnie tak niewiarygodnie; pragnąłem przebiec dłonią wzdłuż jej ciała. Ale nie zrobiłem tego.

Święty Siris! To się stało. Wreszcie się wydarzyło. A ja ciągle jeszcze nie zrozumiałem właściwie, jak?

Leżałem na plecach i gapiłem się w sufit. Ziewnąłem. "Zdrzemnijmy się troszeczkę" - to było wszystko, co powiedziała przez cały czas. No niezupełnie, było jeszcze "Teraz!" Zacząłem odtwarzać wszystko od początku do końca, aż poczułem, że oczy zaczynają mi się zamykać. Popłynąłem.

Obudził mnie odległy, niestosowny śmiech. Josi wciąż jeszcze spała, nadal odwrócona do mnie plecami. Koc zsunął się z jej bioder. Podniosłem się na łokciu i wpatrywałem się w nią przez chwilę - oddychała spokojnie i rytmicznie. Jednak było w tym coś osobliwego, jak gdyby wewnątrz jej klatki piersiowej turkotały miniaturowe motorki. Przytrzymałem dłoń w pobliżu jej nozdrzy i ledwo wyczułem bardzo słaby oddech. Tyle, co nic. Dziwne; spojrzałem na jej ręce. Jedna była wciąż schowana pod poduszką, druga spoczywała na fałdzie koca. Wciąż w rękawiczkach. Dlaczego, Josi?

No i która godzina? W zasięgu wzroku nie było żadnego zegara. Sądząc po wpadającym przez okno świetle, było wczesne popołudnie. Powoli i ostrożnie usiadłem nasłuchując. Cokolwiek mnie obudziło, zamarło w nieokreślonej odległości. Teraz panowała tylko cisza, nieziemska, sztuczna martwota powodowana dźwiękoszczelną izolacją. Gobeliny wiszące na ścianach (jeden nawet na drzwiach), grube dywany od ściany do ściany. Nad głową tłumiące hałas płyty. Ten pokój był jej schronieniem. Wrzawa z sali na dole, typowa dla cinque, nie dochodziła tu prawie, co najwyżej pod postacią słabego jęku. O wiele więcej zgielku czyniły ptaki siedzące na wysokim drzewie myc tuż pod oknem. Tak, tutaj lokal nie miał wstępu. Rozejrzałem się po pokoju. Zabawne, wchodząc nie dostrzegłem zbyt wiele - wydawało się to tak dawno temu. Pod jedną ze ścian stał lirykord, obok biurko z przegródkami i rejestrami. Na biurku lampka tlenowa z giętą szyjką, dalej portret w ramie. W istocie był to obraz i to szczególnie, utrzymany w czerni i różu i od razu poznałem, że nie został namalowany. Żadnego śladu pociągnięć pędzlem, żadnych barwników. Wszystkie drobne szczegóły były grawerowane (ewentualnie była to litografia), chociaż, może i nie... Ukazywał mężczyznę, uśmiechniętego, z założonymi na piersiach ramionami. Był to rosły mężczyzna, o nadnaturalnie dużych barach i wielkiej, beczkowatej klatce piersiowej. Odzież miał dziwaczną, nie nosił takiej nikt w okolicy. Lecz najdziwniejsze były jego dłonie. Ta spoczywająca na zgiętym ramieniu miała tylko pięć palców. I nie był to wynik amputacji - ta ręka powstała jako pięciopalcza. Niepojęte.

Kręcąc głową ze zdumienia, spojrzałem na przeciwną ścianę i doznałem znów szoku.

Ściana wybrzuszała się na pokój, co łatwe było do wyjaśnienia, gdyż była to ściana samej

wieży; patrzyłem na część jej powłoki. Lecz rzeczą najbardziej godną uwagi były drzwi w samym centrum ściany. Otwierały się do środka wieży i były nieznacznie uchylone. Siris! Myszkowałem dalej. Ona miała własną, przylegającą do pokoju łazienkę! Dostrzegałem zarysy muszli, umywalki, brodzika z prysznicem.

Ściana po stronie łóżka była pokryta półkami, wgłębieniami i gzymsami, wszystkie zaś wypchane były książkami, zwojami i rękopisami.

Wstałem cicho i na palcach podszedłem i wybrałem, na chybił trafił, jakąś książkę. Na grzbiecie był tytuł, powtórzono go na okładce, lecz nie umiałem tego przeczytać. Nie mogłem nawet rozpoznać liter. Aż do tej chwili myślałem, że istnieją tylko cztery języki i chyba się myliłem. W książce była sztywna tekturowa zakładka, otworzyłem książkę w tym miejscu. Papier był dziwny, nie mogłem rozróżnić poszczególnych włókien. Z pewnością nie pochodził z Magny. I ten druk! Czcionki były drobne, lecz tak wyraźne, jak precjoza. Nigdy nie widziałem czegoś takiego. Ponadto były jeszcze ilustracje i szkice, a wszystkie zdawały się dotyczyć ludzkiego ciała. Istotnie, było to kobiece cało, ale z rażącymi deformacjami - dwa płaty płucne (z nie dającym się rozpoznać mechanizmem na jednym płacie) i tylko jedno serce. Poza tym książka przypominała raczej techniczny podręcznik obsługi i konserwacji mechanizmu. A to osobliwe ciało miało twarz otoczoną lokami czarnych włosów - ta kobieta wyglądała zupełnie jak Josi. Przelknąłem z trudem i przyjrzałem się zakładce. Widniała na niej twarz młodego mężczyzny. Dziwnie znajoma... Była to moja twarz. Szczegóły były oddane niesamowicie wiernie. Nasi najlepsi rysownicy nie byli zdolni do takiej precyzji. Po co to, Josi?

Czy miała już ten portrecik, zanim zacząłem chodzić do pracy w Magnie, zanim ujrzała mnie tego ranka? Na dodatek były jeszcze inne zagadki. Na kartoniku znajdował się jakby diagram. I... proszę, pod moim portretem wypisano moje imię i nazwisko: Pol Randol! Obok zaś imię Gila z adnotacją: Nie żyje. Dalej wymieniono ojca: Del Randol i matkę: Heili Rork. Potem ich rodziców i jeszcze ileś nazwisk.

Kiedy tak stałem osłupiały, mój wzrok padł na inny kawałek papieru. Ten leżał luzem na biblioteczce i bez trudu poznałem szlaczki i symbole Cechu Papierniczego. Był to kwit na tuzin solati, opłata za wstęp do cechu wpłacona na nazwisko Pola Randola.

Tak pokój, jak i zamieszkująca go kobieta zdziwiły mnie ponad wszelkie granice. To ona wprowadziła mnie do fabryki. Czemu? Co ją obchodziło, czy Randolowie będą żyć, czy umrą? Czekala na ganku tego pierwszego dnia, by zobaczyć, co kupiła. To ona zaplanowała tę popołudniową licytację. I wiedziała, co stanie się potem, gdy wyjdzie na podest i spojrzy mi w twarz.

Sprawdziłem, wciąż spała. Co to miało wszystko znaczyć? Będę musiał ją zapytać? Ale czy mi odpowie?

Łóżko zaskrzypiało. Odłożyłem książkę na miejsce i prędko odwróciłem się zmieszany. Josi leżała uśmiechnięta. Najpierw naciągnęła koc na piersi, potem musiała zdać sobie sprawę, że ponieważ okazywała tę skromność i pozwoliła kocowi opaść do talii. Jej piersi rozchyłały się na boki i były piękne. Stałem nagi i wpatrywałem się w nią.

- Oglądałem twoje książki.

- Niektóre złe, niektóre dobre - powiedziała leniwie.

Przesuwała wzrokiem w górę i w dół mojego ciała, zatrzymując się tu ówdzie.

- I twój lirykord - dodałem.

- Grasz?

- Kiedyś, trochę. My też mieliśmy lirykord, lecz musieliśmy się go pozbyć.

- My?

- Mieszkam z matką.

Obserwowała mnie, a ja ożywiałem się pod jej spojrzeniem. Odchrząknęła.

- Czy ona cię żywi? Wystarcza ci jedzenia? Uśmiechnąłem się i wróciłem na łóżko obok niej.

- Dostaję masę jedzenia.

- Wyglądasz okropnie chudo.

To nie była pora na wyjaśnianie tajemnic.

- Mięśnie - wziąłem jej rękę i położyłem sobie na brzuchu i napiąłem mięśnie. Podniosła wzrok zaskoczona.

- Rozumiem.

Jej dłoń samowolnie przesunęła się ku dołowi. Powoli pochyliłem się nad nią. Westchnęła i położyła się na plecach, lecz zaraz szepnęła:

- Teraz ty połóż się na wznak.

Zrobiłem jak kazała, a ona uniosła się na rękach i kolanach i dosiadła mnie. Jej piersi były tuż nad moją twarzą. Spoglądała na mnie zarumieniona, z lekko rozchylonymi ustami.

Wiedziałem, co robić dalej. Sięgnąłem prawą ręką w dół, dopasowałem co trzeba i nasze połączenie znów stało się faktem. Wygiąwszy się ku tyłowi rozpoczęła miarowe ujeżdżanie. Powoli przesunąłem dłońmi po jej piersiach, ująłem je, pieszcząc palcami naprężone sutki. Zadygotała raz, drugi, jej lędźwie szarpały się w spazmach, łóżko trzeszczało i trzęsło się. Złapałem rytm i też zacząłem unosić się i opadać; staraliśmy się współbrzmieć. Chwyciłem jej pośladki i przycisnąłem jak najbliżej, wnikając w nią głębiej:

I potem sztorm minął, morze przestało się burzyć, a ona opadła na mnie. Oboje dyszeliliśmy ciężko.

Gapiałem się w sufit, niespiesznie przesuwając po jej lokach. Myślałem. Chciałem z nią porozmawiać, chciałem opowiedzieć jej o Gilu, o matce i o Dziekanie Gardzie. Pragnąłem, by porozmawiała ze mną. Chciałem wszystko o niej wiedzieć, również i to, dlaczego interesowała się nieśmiertelnością i skąd wyciął się ten obraz na ścianie i kim był ten mężczyzna, co miała znaczyć ta zakładka w książce, co było w wieży za lekko uchylonymi drzwiami i jak to się stało; że poznała Squire Vysa. A przede wszystkim chciałem spytać ją o ten kwit ze znakami cechu. Lecz nie wiedziałem, jak zacząć. Prawdopodobnie istniały jakieś czułe słówka, których powinienem teraz użyć. Być może nie znałem nawet tych słów, to wszystko było zbyt nowe, zdarzyło się zbyt szybko. Nie miałem najmniejszego pojęcia, co właściwie należy powiedzieć. Droga? Najdroższa? Ukochana?

- Josi - powiedziałem.

- Tak?

- Ty i Squire... nie jesteście małżeństwem, prawda?

Uniosła się na łokciu i spojrzała na mnie, uśmiechając się szeroko. Było w tym uśmiechu coś iskrzącego i musującego. Sądzę, że stłumiła ochotę, by odrzucić głowę do tyłu i zanieść się śmiechem. Zwiesiła tylko loki ponad moją twarzą i musnęła nimi mój nos, usta i oczy.

- Jak to jest, Josi?

- To najbardziej osobliwa refleksja po fackie, młody człowieku. Nie, nie jesteśmy małżeństwem.

Spojrzałem w inteligentne, szare oczy.

- A jak to się stało, że go spotkałaś?

Odsunęła się trochę i nachmurzyła. Wyraźnie nie chciała o tym myśleć.

- Nie ma wiele do opowiadania - jej odpowiedź była wymijająca, lecz ostateczna.

Dostatecznie jasna; mogę poczekać.

- Zaparzyć coś do picia?

- Tak, przydałoby się.

Wstała, podeszła do szafki i nałożyła lekki szlafrok. Potem zagrzechotała pełną puszką i włączyła maszynkę z małym palnikiem tlenowym.

Usiadłem na brzegu łóżka i zacząłem się ubierać. Ona zniknęła na chwilę w łazience. Kiedy stamtąd wyszła, zamknęła mimochodem drzwi prowadzące do wieży. Skądś, z drugiej strony dochodziło dziwaczne brzęczenie.

Maszynka bulgotała wesoło.

Spojrzałem na portret w ramie. Jakimś zręcznym ruchem odwróciła go do ściany. Ciekawe. Czy i kwit cechu zniknął? Powstrzymałem się, by nie spojrzeć. Podeszła do stołu i naląła dwie filiżanki.

- Nie mam mleka, tylko proszek

- Może być - podciągnąłem spodenki pod tuniką i też zbliżyłem się do stołu.

Pociągnęła łyk z filiżanki i odstawiła ją, stukając o spodek.

Szybko skończyłem moją porcją i wsunąłem buty.

- Muszę iść.

Milczała.

Wiedziałem, że wszystko co teraz powiem, musi być wyważone i przemyślane.

- Zobaczą się jeszcze z tobą.

Spojrzeliliśmy sobie w oczy. Prawa strona jej ust opadła w charakterystycznym uśmiešku.

- Po co? Kertor wystawił ci już świadectwo.

Wiedziałem, że droczy się ze mną. Położyłem ręce na jej ramionach.

- Pragnąłem... by zdarzyło się to nam, odkąd po raz pierwszy cię zobaczyłem.

- Siris, jak to kłamię - zmusiła swój głos, by brzmiał nisko, opanowanie. - A taki młody.

- Kilka sekstyli temu przechodziłem obok wieży. To był pierwszy dzień mojej pracy. Byłaś w tym samym szlafroku i nocnej koszuli i właśnie wyszłaś na ganek, by zabrać gazetę i kosz z prowiantem. Słońce oświetlało twoje włosy, czarne loki. Wyglądałaś jak Madonna z poematu. Patrzyliśmy na siebie. Wiedziałaś, że będę tamtędy szedł do fabryki. Zapłaciłaś moje wpisowe do cechu. Dlaczego, Josi?

Zmarszczyła niepokojąco brwi i odwróciła wzrok.

- Nie mogę ci powiedzieć.

Westchnąłem. Niech będzie i tak. Zdjąłem ręce z jej ramion.

- Wrócę tu pojutrze. Primo po południu.

Zaśmiała się i ja też się uśmiechnąłem. Wstała i uściśniliśmy się, nie dość długo, by zacząć tym cokolwiek.

- Do widzenia - powiedziałem spieszenie.

A więc drzwi zamykają się za mną. Jestem już na podeście i patrzę w dół, słyszę hałas. Gra pozytywka Vysa, gra też lirykord, ale na inną nutę.

Jedno nie pasuje do drugiego. Ruch, ludzie chodzą w tę i we w tę, jedna para tańczy. Nie, to dwie dziewczyny, Myria i Nana.

Bardzo dobrze, nikt nie zwróci na mnie najmniejszej uwagi. Nikt nie zauważy, że byłem w jej pokoju. Przez trzy godziny byłem w pokoju Josi, Josi Królowej, Księżnej, Madonny. Josi Nietykalnej. Jeden z klientów kiedyś powiedział mi:

- Proponowałem jej t-tuzin solati, ale tylko się do mnie uśmiechnęła.

Kiedy zszedłem po schodach, zobaczyłem grupę facetów siedzących z dwiema dziewczynami przy stole do jaq. Boogi rozstawiał przed nimi aele i szklanki, wymieniliśmy spojrzenie. W zasięgu wzroku nie było żadnego noża, nie było też Squire Vysa. Chociaż nie, pilnował baru. Chciałem zejść ze schodów nie zauważony. A potem łatwo byłoby już przemknąć się przez salę, dopaść drzwi i wyjść. Doznałem lekkiego uczucia rozczarowania. Z pewnością moje nadzwyczajne osiągnięcie zasłużyło przynajmniej na przelotne uznanie.

Lecz wtedy właśnie dostrzegła mnie Myria i obie zatrzymały się i gapiły się na mnie. A wtedy, po kolei, wszyscy inni w sali też odwracali się i patrzyli.

Oślanająca ciszę pozytywka wybrała tę chwilę, by zakończyć swą kakofonię. Człowiek przy lirykordzie odwrócił się, opuścił parę taktów, pomylił się i przestał grać.

Zapadła martwa cisza.

Teraz nie była mi potrzebna. Wystarczyłoby przelotne, znaczące mrugnięcie Myrii.

Zignorowałem ich i wyszedłem.

Tamtego ranka planowałem, że po pracy pójde do Biblioteki Publicznej i poczytam trochę z teochemii. Lecz nic z tego nie wyszło. Dzięki Josi odkryłem nowy świat i nigdy nie miałem już go porzucić. Pozwoliła mi wniknąć najgłębiej, i to było naprawdę dziwne. Wciąż zastanawiałem się, dlaczego? Dlaczego się zgodziła? Zgodziła? To niewłaściwe słowo. Na ciemną dziurę, to ona wszystko zaplanowała. To ja się zgodziłem. Madonna zarzuciła swoją magiczną sieć i zostałem schwytyany. Dlaczego, Josi? Wyjaśnienie było zawarte w zakładce z moim portretem i genealogią. Tak, to był początek. Była wplątana w to i wieża, i Jehanne-Mar, i pięciopalczasty mężczyzna z obrazu. I wreszcie, może istotne pytanie Josi: Czy miałeś jakieś doświadczenia z nieśmiertelnością? Josi, będziesz musiała odpowiedzieć mi na parę pytań. Lecz gdy tylko o niej pomyślałem, pytania ulatywały i znów byłem w jej pokoju. W pamięci wszystko odegrałem ponownie - moje ręce po niej, objęcia, czubki palców przebiegające po jej plecach. Leżeliśmy, a ja pochylałem się nad nią i głaskałem jej brzuch, siadała na mnie... Czy to stało się naprawdę? Czy może tylko sobie to wyobrażam? Zmysłowe echa powstały, przepłynęły, zanikły, wróciły raz jeszcze... aż zatarły się i zacząłem odzyskiwać oddech. Byłem znów zdolny do mniej więcej logicznego myślenia, zacząłem przypominać sobie niektóre osobliwości i rozważać szczegóły - nie przyszło mi to do głowy, gdy byłem w jej pokoju ani gdy schodziłem po schodach. Ile ty masz lat, Josi? Twoje ciało ma około trzydziestki, jednak byłaś kobietą Vysa podczas negocjacji, a to było trzydzieści lat temu. Nie postarzałaś się. Ty się nie starzejesz. Pamiętam nikielne kreski blizn na twoich policzkach i biodrach, nawet na nogach. I inna osobliwość: te cienkie, różowe rękawiczki. Nigdy nie widziałem cię bez nich. Miałaś je nawet wtedy, gdy się kochaliśmy. Co ukrywasz, Josi? Ten obraz na ścianie. Nosisz te rękawiczki, by ukryć fakt, że ty także masz pięć palców. Szósty jest fałszywy, prawdopodobnie z drewna lub utwardzonego materiału. Josi, czy twoja krew jest czarna jak moja, czy czerwona, przetoczona w twoje żyły prosto z piekielnych tętnic siriS? Zaczęłem się pocić, dostałem drgawek. Ruszyłem szybkim krokiem. Teraz trząsam się cały. Chcąc się opanować, zacząłem podskakiwać, biegnąc po chodniku i zderzając się ze zdumionymi obywatelami. Lecz nie usunąłem niepokojących mnie myśli. To było niewykonalne. Byłem zakochany w strzydze.

Rozdział osiemnasty

NAUKA!

Nazajutrz był dzień szósty. Parafianie stoją na stopniach świątyni i czekają na świętego męża. Jest to Dzień Upokorzenia. Tego dnia, przed laty, podczas Wojny, żołnierze-uczeni rozrzucili rozżarzone węgle na stopniach i ganku świątyni, zawiązali plecioną z włosów wołca linę wokół odpornej szyi poprzednika Dziekana Garda i zmusili go, by przeszedł boso po węglach do własnej świątyni. Tam namówiono go, mówiąc łagodnie, by wyznał, iż jest rodzonym synem siriS. Ten wypadek został zapisany w honorowych kronikach świątyni i teraz odtwarzano go corocznie z tą różnicą, że obecnie prałat beneficjent szedł w sandałach po kobiercu z pachnących kwiatów wysypanych przez wielbiący go tłum. On zaś trzymał koniec otaczającej jego szyję pętli, która tak naprawdę była naszyjnikiem utwardzonym berylinem i inkrustowanym klejnotami - podarunkiem od parafian. (Być może powinienem nadmienić, że, działając w czystym duchu wzajemności, akolici z Dervil zrzucili astronoma z balkonu jego własnego obserwatorium. Tamto wydarzenie jest teraz czczone przez zrzucanie wielkiej torby

ciastek głodnym dzieciom zgromadzonym daleko w dole. W taki oto sposób prawda została ukryta i przekreślona. Lecz wracajmy do Dziekana Garda).

Przechodzi i rzuca nam wszystkim (jak i każdemu z osobna) żalobne spojrzenie, by pokazać, że przebaczył już dawne okrucieństwa. W świątyni kroczy do pulpitu i po należnych wstępach rozpoczyna swoje orędzie przypisane na to święto. Coś o dwóch aspektach SiriS, wiecznego, obecnego we wszystkim. Na początku SiriS oczyścił się z wszelkiego zła, stając się niepokonanym i świętym. Odrzucone zło zlało się w straszliwą karykaturę swego stwórcy i przybrało postać siriS. Tak więc odtąd istniał Siris i siriS; wszystko co dobre płynie od pierwszego, całe zło od drugiego.

Nie zwracałem na to uwagi. Myślałem tylko o mojej ukochanej strzydze. Josi czarownica, Josi o niezrównanym ciele. Byłem w świątyni, a mogłem myśleć tylko o córce siriS. Lecz nie odbierałem tego jako zło. W istocie wyczuwałem w tym wiele dobrego. Ukradkiem zerknąłem na matkę. Była zupełnie nieświadoma moich bezbożnych introspekcji. Pełen uwielbienia wzrok utkwiała w człowieku przy pulpicie i nie zwracała uwagi na nic innego. Spoglądałem w kierunku pulpitu. Mówca niknie, widzę jedynie twarz obramowaną iskrzącymi się, czarnymi kędziorami. Siadam. Przynajmniej raz nie mam kłopotów ze zwalczaniem senności podczas kazania. O czym mówi teraz ten stary astmatyk? Strzygi i czarownice... nasienie siriS. Ach! To coś o tobie, Josi. Ty jesteś eksponatem pogładowym A. Podejdź bliżej, moja ukochana. Wejdź na podium. Tam, obok tego syna Siris. A teraz zacznij wyzwalać się z ubrania - bluzka, tunika, halka. Nie, pantofle zostaw. Świetnie. Teraz biustonosz. Bardzo dobrze, powieś go na pulpicie. I wreszcie majtki, proszę, wpakuj je do kieszeni szaty Garda. Pokaż Gardowi strzygowate blizny na policzkach, biodrach, żebrach. Aha, jeszcze coś. Rękawiczki. Zdejmij te różowe szmatki i pomachaj pięcioma palcami przed jego twarzą. A teraz, Gard, o czym myślisz? Jak znajdujesz moją piękność o delikatnej skórcie? Josi, połóż lekko ręce na jego pobożnym ramieniu w ceremonialnej szacie. Podnieś ramię, pokaż mu te kuszące, czarne kędziorki. Niech cię powącha, najdroższa! Co...? Szelesty i szuranie. Jakiś ruch. Matka stoi i wbija we mnie koniuszki palców. Wszyscy stoją, a, to modlitwa i błogosławieństwo.

Wstaję i patrzę na podium. Josi? Dokąd poszłaś?

Oto primo a ja idę do pracy.

Przechodząc Vys Street spojrzałem na ganek wieży. Żadnej gazety, żadnego kosza. Czyżby już wstała? Czy chodzi gdzieś po domu i rozmawia? Czy może siedzi ze Squire Vysem przy naporze i grzankach, które ustawili sobie na planszy do jaq? O czym rozmawiają? Czy już o mnie zapomniała? Niepodobna. Umówiliśmy się po południu na randkę.

Wszedłem na stopnie rampy i dalej, do biura. Squire Gearing popatrzył na mnie dziwnie, gdy się z nim przywitałem.

- Pilna wiadomość do ciebie. Leży na stole z zamówieniami.

Wiadomość była, oczywiście, od pułkownika. Głosiła po prostu: Twoja kandydatura została rozpatrzona i zaakceptowana. Zgłoś się do pracy następnego primo rano.

Koniec i początek.

Pieniądze. Cztery solati za sekstyl, koniec ze skąpstwem. Josi i ja będziemy mogli widywać się, będziemy mogli pójść do restauracji i do teatru, będzie mnie stać na podarki.

Bezzwłocznie powiedziałem Gearingowi o nowej pracy. Nie wyglądał na zaskoczonego.

- Wolałbym cię, rzecz jasna, zatrzymać, ale nie możemy dorównać płacami milicji. A tymczasem możesz pójść do Josi i przynieść mi filizankę naparu.

Kiedy wszedłem do głównej sali, zobaczyłem Squire Vysa i kapitana Kertora jak posągi pochylonych nad grą. Podeszedłem.

- Dostałem tę pracę - powiedziałem. - Pragnę podziękować wam obu.

Kertor chrząknął niewyraźnie, lecz jakby z aprobatą. Squire milczał. Wyglądał na

zakłopotanego.

- Kiedy podejmujesz pracę? - spytał Kertor.

- Za sekstyl.

- No to świetnie - nie odrywał oczu od szachownicy.

Zauważyłem, że ma szacha w trzech ruchach. Prawdopodobnie sam o tym wiedział, lecz wiązało się to z poświęceniem obu jeźdźców, co z kolei było sprzeczne z jego zasadami strategii. Odwróciłem się i ruszyłem w kierunku czarodziejskich schodów.

- Nie ma jej tam! - zawołał Squire Vys, podnosząc wreszcie głowę. - Poszła do śródmieścia.

- Ooo, w porządku - było jasne, że nie podobała mu się cała historia między mną a Josi. Lecz co miało go martwić? Pomyślałem, że chyba wiem: być może bał się, że ją wydam. Cóż, zbyteczny frasunek.

Squire Vys znów spojrział na szachownicę.

- Kertor - zauważył łagodnie - może zainteresuje cię to, że mały pajak uprzął sobie sieć pod twoim lewym rękawem, złapał muchę, zjadł ją i teraz zapada w sen zimowy. Ruszże się!

Oficer kawalerii jęknął i drgnął na krześle.

- Dobra, cholera, Squire, daj człowiekowi odetchnąć - zwiesił dłoń nad skrzydłowym jeźdźcem.

To było złe posunięcie. Dla zwycięstwa w trzech ruchach powinien najpierw poświęcić jeźdźca z czoła. Nie mogłem patrzeć na to spokojnie. Podszedłem do kontuaru, gdzie Boogi czekał już z naparem. Rzuciłem monetę, dostałem, co chciałem i spieszenie wyszedłem. Kiedy byłem już przy schodach, usłyszałem znajomy krzyk bólu i towarzyszący mu śmiech. Oczywiście, partia dobiegła końca.

Wreszcie świątynne kuranty wybiły piątą. Umyłem się pospiesznie i popędziłem z powrotem do "Wieży".

Zamknąłem za sobą drzwi jej pokoju i wziąłem Josi w ramiona. Pierwszy raz zauważyłem, jak jej ciało jest dopasowane do mojego, jak wtapiamy się w siebie cali, zupełnie jak fragmenty erotycznej składanki. Pocałowaliśmy się, a moja prawa ręka zbłądziła pod jej bluzkę. Ciało miała ciepłe i miękkie. Nie mogłem dosięgnąć sutki - biustonosz był za ciasny.

- Zaczęłam okres - szepnęła. - Nic nie da się zrobić. Cały byś się okrwawił - lecz nadal trzymała mnie mocno urękawicznionymi rękami, chyba się wahała. - Może trochę muzyki? - spytała sztucznie obojętnym głosem.

Cholera. Nie wiedziałem co robić. Muzyka? O czym ona mówi? Zamierza zagrać coś na lirykordzie? Do siriS z tym! Podniosłem ją i ułożyłem na łóżku. Podciągnąłem jej spódnicę i halkę aż do bioder, ach, te cudowne nogi strzygi... Pod majtkami znajdował się przytroczony elastycznym paskiem tampon, dostrzegłem ślady krwi - czerwonej krwi. Autentyczna krew strzygi. No to co? Oczywiście, że czerwona. Dalszy ciąg dramatu.

Oczami duszy widziałem, co trzeba zrobić. Z kieszeni spodni wyostałem chusteczkę, potem rozebrałem się i wszedłem na łóżko. Położyłem się przy niej i nasunąłem jej nogę na moją. Pomogła mi umieścić chusteczkę we właściwym miejscu. Przytuliłem udo do jej łona. Po chwili przyłączyła się do mnie w łagodnym, rytmicznym falowaniu. Czuję, jak tampon marszczy się pod naciskiem. Przyciągnęła moje usta ku swoim i języki spłotły się w poszukiwaniu.

Zamknawszy oczy, wydała kilka dziwnych zaiste dźwięków, jakieś jęki, dyszenie, coraz szybciej i głośniejsze. Lecz ja zwracałem uwagę na sedno rzeczy. Wolną ręką objąłem jej pośladki i przytuliłem mocno.

Wtedy...

Zadrżeliśmy razem jak wielkie wahadło kołyszące się w krótkich, oślepiających łukach. A potem opadliśmy i wszelki czas się zatrzymał.

Obudziłem się d-tuzin lat później. Josi pochylała się nade mną i wycierała mnie ciepłym, wilgotnym ręcznikiem. Uśmiechała się szeroko.

- Możesz powiedzieć swojej matce, że wyprałam twoją chusteczkę i suszy się na wieszaku do ręczników.

Ach, mamó, jak dawno temu opowiadałem ci cokolwiek?

A teraz nagle zdałem sobie sprawę, że w pokoju rozlega się muzyka. Rozejrzałem się. Żadnej pozytywki. Skąd to dochodzi? Jakby znikąd czy raczej zewsząd. Było elektryzujące.

Usiadłem gwałtownie.

- Josi! Co to jest? Skąd to dochodzi?

Uśmiechnęła się tajemniczo.

- No, cóż, to pewien zupełnie nowy wynalazek. Można rzec, że importowany. W ścianach jest tuzin głośników. To z nich płynie muzyka.

- Nie rozumiem.

- Więc słuchaj po prostu, mój drogi. To nowa forma muzyczna, nazywa się opera.

- A ma jakiś tytuł?

- Oczywiście. Tristan i Izolda⁴, historia o rycerzu i jego damie, rzecz z dawnych czasów.

Śmiertelnie ranny Tristan leży na zimnym brzegu morza, tylko Izolda może go teraz uratować. Słuchamy pasterza grającego w pobliżu - spojrzała na moje nagie ramię, potem na policzki. - Ty drzysz. Zimno ci?

- Nie. To ta muzyka. Przyprawia mnie o lęk.

- No wiesz.

Dźwięk się urwał.

- To wszystko? Koniec?

- To koniec tego fragmentu. Teraz będzie Liebestod.

- Co?

- Liebestod. To słowo z obcego języka. Oznacza Miłosną śmierć. Ale nic nie mów. Po prostu słuchaj.

Słuchałem. Z niepokojącą ciekawością Josi patrzyła, jak znowu zaczynają mną trząść dreszcze.

- Izolda nie dotarła do kochanka na czas - szepnęła. - Pochyla się nad martwym bohaterem.

Jak matka pochylała się nad Gilem umierającym, umarłym. - Izolda - powiedziała Josi półgłosem. - To było ostatnie słowo Tristana. Pol? Pol?!

Wytrzeszczyłem na nią oczy. Z jej twarzy bił niepokój. Potem uśmiechnęła się, ale niezbyt pewnie.

- Przysnąłeś? Takie odrętwienie... Nie rób tego więcej, przestraszyłeś mnie.

Usiadłem na krawędzi łóżka i zacząłem się ubierać.

- To ta muzyka. Jakbym odpłynął razem z nią.

- Dobrze, wobec tego już jej nie będzie.

I po wszystkim.

Rozejrzałem się po pokoju. Portretu nie było, jakaś draperia zwieszała się na drzwiach do wieży. Poprzestawiała najwyraźniej wszystkie książki, kwit cechu zniknął.

Kiedy skończyłem się ubierać, badawczo popatrzyłem na jej twarz i półokryte ciało.

Chciałem spytać: Josi, kim jesteś? Z jakiego dziwnego kraju? Po co ta zakładka z moją podobizną? Miałem jeszcze d-tuzin innych pytań. I chciałem jeszcze powiedzieć: Wiem, że jesteś strzygą, ale to nie ma znaczenia.

- Dokąd teraz? - spytała.

- Do kolegium.

- Na kurs z Gardem?

- Nie, wyrzucił mnie. Przechodzę na nauki przyrodnicze. Dziś wieczorem zapisuję się na teochemię. Chodź tutaj.

Przeszła ku mnie na czworakach przez łóżko i objęliśmy się na jego brzegu.

- Kocham cię Josi.

Pozwoliła mi odejść i po prostu uśmiechnęła się.

Tego wieczoru poszedłem do kolegium i zapisałem się do profesora Rollo Felsa na jego kurs teochemii.

Już od pierwszej chwili wiedziałem, że polubię Felsa. Jego pozbawiona wycięć okrągłość osiągała apogeum w talii, by zwęzić się raptownie ku dołowi, tak że przypominał lejek rozdzielczy. Nosił pasek, który podtrzymywał spodnie w oczywistym oderwaniu od praw grawitacji Troka. Dopiero bliższe oględziny wykazały, że ów wyczyn techniczny został osiągnięty przez przedłużenie spodni aż ponad wypukłość brzucha. Wyglądało to nieco osobliwie

i może po to, by ukryć superspodnie nosił kaftan, zwykle jednak rozpięty z powodu upału. W istocie, nie dbał chyba za bardzo o to, jak wyglądał.

Kulistość brzucha równoważyły wrzecionowate ramiona i nogi. Gdybyście spojrzeli tylko na tę jego część, zastanowilibyście się, czy ten człowiek ma co do ust włożyć. Stopy i ręce miał delikatne, niemal ptasie, dokładnie odbijające ascetyczny charakter jego osobowości. W rzeczywistości (tak głosiły plotki) - jadał w sposób postny (czy prawie), szczególnie rano, gdy zerwawszy się z łóżka wślizgiwał się do kuchenki i spożywał jedynie napar i pudełko ciastek orzechowych. Na lunch i kolację nakładał sobie zwykle więcej.

Dla uzupełnienia ascetycznego wizerunku wspomnieć należy o włosach, zupełnie jakby strzygł go klasztorny fryzjer. Była to najosobliwsza ze znanych mi tonsura, rozległa i dostojna, z włochatym diademem wieńczącym szczyt jego głowy w sposób przyjęty przez mnichów. Pozostawało mu tylko utrzymywać w należytym porządku wieniec włosów wokół czaszki. Gdy kroczył przez hall, spowity w brudną różową tunikę i kierował się do, powiedzmy, laboratorium czy sali wykładowej, wyglądał jak Fra Jon w drodze na nieszpory. Lecz Fels nie był mnichem. Nie złożył żadnych ślubów. Z drugiej strony, nie był też ateistą. - Nie ma we mnie dość wytworności na ateizm - powiedział kiedyś (ze smutkiem?). Czym był wobec tego? Nikt nie wiedział lub może nikogo to nie obchodziło.

Matka przyjęła to dzielnie. Przyszła już do siebie od czasów Gila i jego nauki. Teraz wszystko wróciło i musiała przeżyć to raz jeszcze ze mną. Kolejna gorzka pigułka. Pigułka ta została wszakże osłodzona przez czterysta solati, co złagodziło ból matki.

Rozdział dziewiętnasty

DAKTYLOSKOPIA

Na początek pułkownik skierował mnie do Freta Daona ("Mów mi Day") na przeszkolenie w dziedzinie daktyloskopii. Day pokazał mi salę odbitek.

- Mamy kilka tuzinów tysięcy kompletów - wyjaśnił. - Wydaje się, że to wiele, ale nie daje się porównać z naprawdę dużą kolekcją, jaką mają w Dervil. Lecz i mały magazyn musi być utrzymywany w całkowitym porządku. Jak coś raz nie zostanie skatalogowane, to przepadło. Tak, jakby tej osoby w ogóle nie było. Domyślam się, że nie zetknąłeś się dotąd z czymś takim.

- Nie.

Day wybrał jedną z kart.

- Jeśli spojrzysz na swoje palce, zobaczysz równoległe bruzdy biegnące przez koniuszek. Sporządzamy tu rejestr tych bruzd. Sześć palców u każdej ręki. Tuzin rejestrów. Każdy palec ma swoje miejsce na karcie. Proste, prawda? Lecz musisz sporządzać rejestry dokładnie, musisz policzyć wszystkie bruzdy, ani mniej, ani więcej. Rejestry są zakodowane i zapisane

tutaj, na górze karty.

Zrobiło to na mnie wrażenie. Wyglądało na bardzo naukowy system.

I tak zacząłem.

Zdejmowałem odciski palców włóczkom, potem zwykle musiałem się myć, wydrukować karty aresztowań, pisać listy i raporty.

I od nowa, gdy dozorca wprowadzał następną gromadę.

Poranek cinque.

Ponad śniadaniowym stołem napotkałem spojrzenie przezczystych, ufnych oczu matki.

- Czy mówiłem ci, że w mojej nowej pracy będę zajęty codziennie, z wyjątkiem co drugiego sesste.

- Tak, wspominałeś o tym.

- Wolny będę następnego sesste, nie jutro.

Czekała w milczeniu, lecz jej ręce zaczęły poruszać się nerwowo. Splotła je razem, lecz palce drgały nadal.

- Moglibyśmy pójść do świątyni jak zwykle. Po nabożeństwie mam randkę z dziewczyną.

No i już. Powiedziałem. Mogliśmy oboje się rozluźnić, przynajmniej trochę.

- Aha - odchrząknęła i przechyliła głowę. - Cóż, świetnie. Jesteś młodym mężczyzną i z pewnością powinieneś wychodzić, umawiać się na randki... - odczekała, zastanawiając się na jak głębokie sondowanie może sobie pozwolić. - Widujesz się... z tą dziewczyną... od dość dawna?

- Tak.

Bardzo się starała, by nie cisnąć warg.

- Mam nadzieję, że wkrótce przyprowadzisz ją do domu. Chciałabym ją poznać. - zdobyła się na uśmiech. - To oczywiście miła dziewczyna.

Co byś zrobiła, gdybym ci powiedział, że ona jest strzygą?

- To bardzo miła dziewczyna.

Znów się zawahała, myślała, nad doborem słów i sposobem postępowania. Nigdy nie musiała robić tego wobec Gila.

- Czy nie sprawia ci przykrości, że o niej rozmawiamy?

Och, mam, nie rób tego.

- Oczywiście, że nie. Chcesz wiedzieć o niej wszystko?

- Tak, jasne - jej oczy ożywiły się.

- Ona pracuje w czymś, hm, na kształt jadłodajni obok fabryki papieru. Tam właśnie ją poznałem. Ma piękne, czarne loki, szare oczy i cudowną skórę. Kocha muzykę, lubi czytać - wzruszyłem ramionami.

- Przypuszczam, że uczęszcza do świątyni?

Możesz przypuszczać, mam. Cholera.

- Naprawdę nie wiem.

- Brzmi to trochę mgliście. Oto co możesz zrobić w następnym sesste! Przyprowadź ją do świątyni. Na pewno spodoba się jej Dziekan Gard. On zawsze jest taki wspaniały i natchniony! (A wszyscy będziemy mogli zobaczyć, jak ona wygląda!).

Nie zdobyłem się na uśmiech.

- To wspaniały pomysł, mam. Ale będziemy musieli zachować go na inną okazję, inaczej zaplanowaliśmy już sobie sesste.

- Och, rozumiem - jej radość z wolna opadała. - Może innym razem?

- Może.

- Nawet nie chcesz, bym wiedziała, jak jej na imię?

Głęboki wyrzut.

- Josi.

- To bardzo popularne imię.

No tak, mam. Josi w istocie była Lady Vys.

- Nie znam jej nazwiska - powiedziałem.

Matka nie wiedziała, co z tym zrobić. Zapewne w myślach przeglądała wszelkie możliwości:

a. Sprawa jest tak trywialna, powierzchowna i przelotna, że kwestia nazwiska w ogóle nie ma znaczenia; b. Tyle jest w sprawie namiętności, że w ogóle nie zwracają sobie głowy nazwiskami; c. Stare wartości, stare zwyczaje przeminęły. To już inne pokolenie.

Zrezygnowała. Podniosła się od stołu i wstawiła talerz do zlewu.

- Naprawdę powinieneś dowiedzieć się jej nazwiska - zauważyła łagodnie. - Może poprosiłbyś kogoś, by was sobie przedstawił.

Rozdział dwudziesty

TWARZ

Moje biuro mieściło się w suterenie i podłoga była poniżej poziomu gruntu. Okna wychodziły na grządki z kwiatami i trawnik. Jedno z okien było tuż przy moim biurku. Miało szeroki parapet, sięgający mi do piersi, gdy siedziałem. Szybko odkryłem, że świetnie nadaje się, by kłaść na nim załatwione papiery. W zależności od pory dnia i nocy, wyglądając przez okno, widziałem albo gwiazdy, albo zaprzężone w wołce wozy i porannym zaopatrzeniem.

Tego szczególnego, powiedzmy ranka (było koło drugiej po północy), pilnie drukowałem karty aresztowanych, wykreślając kolejne pozycje z bieżącej listy. Kiedy tak słuchałem stukotu czcionek, przypadkiem podniosłem wzrok i spojrzałem w okno. Ktoś tam stał i zaglądał do środka.

Zdarzało się to już wcześniej, ale zwykle spoglądali tylko na ranie i tyle. Niektórzy jeszcze uśmiechali się przyjaźnie.

Tym razem było w tym coś niepokojącego. Czy był to mężczyzna, czy kobieta? Postać miała niezwykle szerokie biodra, kolana zaś wyraźnie zbiegały się razem. Kobieta? Nie, to coś nosiło kapelusz z szerokim rondem. Mężczyzna.

Przez długą chwilę patrzeliśmy na siebie. Jedyne światło pochodziło z lampy tlenowej nad moim biurkiem i jego policzki i broda to było wszystko, co widziałem. Jednak była to twarz pełna nienawiści.

Byłem oszołomiony. Nie mogłem odwrócić wzroku, nawet wtedy, gdy usłyszałem za sobą kroki.

Te oczy... ta twarz... Myślałem, a raczej pytałem siebie, czy nie widziałem jej już wcześniej. Postać odwróciła się gwałtownie i pędem oddaliła się od budynku, znikając z pola widzenia. Ledwo oddychając odwróciłem się; za mną stał dyżurny, przyniósł ostatnią listę aresztowanych. Spojrzeliśmy na siebie. W pierwszej chwili pojawiło się poczucie winy - winy przekraczającej możliwości wytłumaczenia się i niemożliwej do usprawiedliwienia. Nie wiedziałem, co zrobiłem temu obcemu, ale musiało coś być. W przeciwnym razie, skąd ta cała nienawiść?

Dyżurny, a nazywaliśmy go Kumbo, uśmiechnął się, lecz był to ponury uśmiech. Zdawał się mówić: Nie zrobiłeś nic strasznego, ale strzeż się. Wręczył mi listę.

- Znasz go? - spytał.

- Być może. Nie jestem pewien. A ty go znasz?

- To był Rone, Uri Rone.

Teraz wiedziałem, kto to taki. Był to jeden z tych dwóch młodych ludzi, których Gard przyłapał w magazynku i wygonił z sali gimnastycznej. To był ten, który wtedy się obejrzał. Wiedział, że byłem świadkiem całego wydarzenia, świadkiem jego upokorzenia. Poza tym, teraz wykonywałem jego dawną pracę, przy tym właśnie biurku. A więc był na mnie wściekły. Ale przecież to była jego wina, że został wylany. Czemu potępia mnie? Siris, co za

pomyłony idiota.

- Och! - powiedziałem cicho sam do siebie. Chciałem zapytać Kumbo, co Uri teraz robi, gdzie pracuje i dlaczego przyszedł tu o tej porze, ale dyżurny już zniknął. Zostałem sam.

Umieściłem listę w stelażu, skierowałem ramkę na pierwszą pozycję i zacząłem składać czcionki: Ro oJn.

Cholera. Błąd już w pierwszym słowie. Ręce mi się pociły. Zapowiadała się ciężka zmiana. Spojrzałem raz jeszcze przez ramię w okno.

Rozdział dwudziesty pierwszy **ANOMALIA ANATOMICZNA**

I znów pokój Josi. Objęliśmy się mocno, potem ona odsunęła mnie i zaczęła ściągać odzież. Przyglądałem się jej, kopnięciami zrzuciwszy buty, ale po chwili zaczęliśmy ściągać się, kto pierwszy pozbędzie się ubrania. Miała mniej guzików i wygrała. Zdjęła nawet rękawiczki... Tak, pięć. Nie dbała o to i ja też nie.

Płonąc trzymaliśmy się na stojąco w objęciach.

Za jej plecami były drzwi, prowadzące na podest schodów. Na tych drzwiach wisiał gruby brązowy gobelin, część izolacji akustycznej pomieszczenia. Przedstawiał skąpo odzianą kobietę, leżącą przy fontannie. Śpiącą czy na wpół rozbudzoną? Nad nią przelatywał skrzydlaty xelix, celując, by ugodzić ją śmiertelnie z łuku. Zawahałem się przez ułamek sekundy. Strzały przyprowadzają mnie o niepokój. Pomyślałem o Jehanne-Mar, wskazującej mnie palcem, i o Objawicielu. Lecz refleksja uleciała tak szybko, jak się pojawiła.

Podprowadziłem Josi do gobelinu. Wsunąłem ramiona między jej uda i podniosłem ją. Zamknęła oczy, zacisnęła nogi wokół mojej talii i po paru chybionych próbach strzała wreszcie trafiła w cel. Josi zadygotała, drzwi się zatrzęsły i wraz z nami włączyły do obrządku, poskrzypując rytmicznie. Josi przynagliła mnie gardłowymi dźwiękami, aż w końcu złączeni w jedno skończyliśmy razem i moje dłonie rozluźniły twarde uchwyt. Ześliznęła się w dół, miękko poruszając się między mną a drzwiami. Zauważyłem, że stoi na gobelinie, który także oddał się namiętności i leżał wyczerpany na podłodze.

Zostawiliśmy go tam i poszliśmy do łóżka. Obserwowałem cudowne, łagodne kołysanie się jej pośladków. Były na nich nikłe, czerwone ślady - znaki miłości - blednące dowody tego, jak mocno przycisnąłem ją do drzwi. Miłość wysącza się z ciała, aż w końcu zostaje w myślach, w pamięci. Te drzwi są zawsze uchylone dla miłych wspomnień.

Nacisnęła guzik na swoim nocnym stoliku i skądś popłynęła muzyka. Usiedliśmy na łóżku. Objąłem ją ramieniem i słuchaliśmy.

- Opowiedz mi o tej muzyce - szepnąłem.

- Ma tytuł To tylko samotne serce. Napisał to człowiek nazwiskiem Czajkowski, bardzo dawno temu, bardzo daleko stąd.

Zaczęła śpiewać ledwie słyszalnym kontraltem:

- ... Nur wer die Sehnsucht kennt, weiss was Ich leide...

- Co to znaczy?

Pomyślała chwilę:

- Tylko ten, kto rozumie samotność, wie, jak ja cierpię.

Spojrzałem na nią. I kiedy tak patrzyłem, jej twarz zmieniła się. Starła się nad nią panować, lecz bez skutku. Z jej oczu zaczęła wyciekać wada, spływała po policzkach. Ukryła twarz w dłoniach, barki zaczęły się jej trząść.

Byłem przerażony.

- Josi! Co się stało?

Starła dłońmi wilgoć. Jej twarz znów była piękna, z wyjątkiem oczu, dziwnie czerwonych.

Uśmiechnęła się blado.

- To nic. Czasami jest mi smutno.

- Ale... ta vada na twarzy. Co to było?

- To łzy, Pol. Płakałam.

- Nie rozumiem... płakałaś...

- To taka anomalia anatomiczna. To jest... jak smutek.

Cóż, to przynajmniej mogłem zrozumieć. Byłem smutny, kiedy myślałem o Gilu. I po akcie miłosnym powinna być chwila smutku. Czemu, nie wiem.

Ale to było coś innego.

Josi była smutna z powodu odległego, prawie zapomnianego życia, gdzieś, kiedyś.

- Czy przebywałeś kiedyś poza domem? Byłeś gdzieś dalej?

To pytanie zapiekło mnie jak cios bata przez plecy. Ona mówiła mi: Twój świat nie jest moim światem i chociaż jestem tu od trzydziestu lat, to życie nadal jest mi obce. Nie ma tu nikogo, z kim mogłabym porozmawiać, nawet ty, Pol, nie jesteś kimś aż takim.

- Nie - powiedziałem spokojnie. - Nigdy.

Chciałem dodać, że wiem, iż żyje wśród obcych, że nikt z nas nie mówi jej językiem i że rozumiem jej nostalgię. Ale nie mogłem się na to zdobyć.

- Przepraszam Josi.

Za co, niezbyt wiedziałem.

Zauważyłem teraz, że muzyka umilkła. Siedzieliśmy nasłuchując, jakby nadal brzmiała.

- O czym myślisz? - spytała.

- O tym, że masz najpiękniejsze uda ze wszystkich dziewczyn w tej prowincji - pogładziłem bliżej spoczywającą nogę.

Przyciągnęła mnie do siebie.

Pewnego innego wieczoru grała na lirykordzie. Kiedy wszedłem do jej pokoju, usłyszałem muzykę, która była niezwykła. Nigdy przedtem nie słyszałem czegoś takiego.

Skinęła głową na znak, że mnie zauważyła, ale grała dalej.

Siadłem na skraju łóżka i słuchałem.

Czyje były te niepodobne do niczego tragedie? Jej? Moje? Kompozytora? Nad jakimi to smutkami lamentowała? Dreszcze przeszły mi po ramionach, po szyi, docierały do mózgu. Traciłem oddech, dyszałem, próbując się wyrwać. Och, Josi, proszę, nie rób tego, nie płacz. Nie sądzę, bym umiał to znieść. Muzyka zmieniła się (zupełnie jakby Josi czytała moje myśli). Stała się żywa, niemal szczęśliwa; w chwilę później wzniosła się, szybowała coraz wyżej...

W jakiejś chwili Josi musiała przestać grać, ale nie zauważyłem kiedy. Gdy wynurzyłem się z oczarowania, ona przyglądała mi się ze smutkiem.

- To ostatnie - spytałem. - To był Bark?

- Bach - poprawiła. - Ludzie, radujcie się z waszych pragnień.⁵

Westchnęła i wstała, jakby zamykając ten temat.

Rozdział dwudziesty drugi

EKSPLOZJA

Teochemia spotykała się najpierw w małej klasie zaraz za laboratorium. Rollo Fels objaśniał tok zajęć:

- Warsztaty przydzielamy zgodnie z porządkiem alfabetycznym, wykaz znajdziecie na tablicy w laboratorium. Pod każdym warsztatem jest szafka - znajdziecie tam część szkła laboratoryjnego i inne rzeczy, standardowe wyposażenie. Dodatkowy sprzęt jest w magazynie.

Nieco nieprzytomnie rozglądałem się po sali.

W głębi napotkałem wpatrzoną we mnie twarz. Wpatrzoną? Nie, gapiącą się wściekle, to właściwsze określenie.

Na przycięte skrzydła Siris! Uri Rone.

Zadrzałem i odwróciłem się spłoszony. Uri będzie ze mną w laboratorium. No i co z tego? Z pewnością wolno wrócić mu do szkoły. Nie zamierzałem wpędzić się w obłąd przez tego dziwaka. I nawet, jeśli Kumbo miał rację i wrogość Uriego jest faktem, to eks-urzędnik nie mógł przecież wyrządzić mi wielkiej krzywdy w obecności tuzina kolegów.

Z szacunkiem podążyliśmy za profesorem przez korytarz do wahadłowych drzwi laboratorium. Tutaj zgromadziliśmy się na chwilę, dowiadując się, komu przydzielono który warsztat.

Numer dwanaście - to ja. Rone dostał trzynastkę. Czy powinienem poprosić o inne miejsce? Nie, do licha, on mnie nie zastraszy. To niech on się przeniesie. Lecz nie miał tego zamiaru.

Uśmiechał się ponuro, gdy zmierzaliśmy ku swoim miejscom. Dobra, uśmiechaj się, Uri, pilnuj swego nosa, a ja zajmę się sobą.

Schyliłem się i otworzyłem szafkę. Na samej górze była mała półka, większość szkła stała jednak w dolnej części, wszystko zaś było solidnie zakurzone. Chyba od kilku lat nikt tego nie dotykał. Nagle zauważyłem dwie zlewki, które stały na górze. Każda przykryta była małą szklaną płytką, a obie wypełnione mętnym płynem. Wyciągnąłem je ostrożnie i spojrzałem na etykiety z opisem.

Na pierwszej widniało: Roztwór A, na drugiej: Roztwór B.

Ręce mi drżały, gdy je odstawiałem.

Wiedziałem, co to jest. Dostałem dawną szafkę Gila. Odziedziczyłem oba składniki jego magicznego eliksiru. Wciąż czekały na ostateczne połączenie.

A bodaj to!

Bardzo ostrożnie ustawiłem zlewkę A na metalowej podstawie statywu. Około trzech palców nad podstawą umieściłem na pierścieniu aluminiową siatkę, na siatce spoczęła zlewka B. Jak tylko poznam harmonogram zajęć, znajdę chwilę dla A i B.

Podniosłem wzrok. Profesor próbował zwrócić na siebie uwagę.

- Proszę, niech wszyscy zbiorą się pod tablicą.

Obaj z Ronem przesunęliśmy się pod ścianę.

Najpierw, rzecz jasna, Fels musiał przejść przez profilaktyczną modlitwę do Siris. Jak wiadomo, Układ zawierał wykaz możliwych do przyjęcia faktów naukowych i obie strony zgodziły się, że więcej ich nie ma. Jednak uczeni próbowali ominąć literę prawa, nie nazywając pewnych odkryć głośno odkryciami (tak było chociażby ze spektrum Jasnej Gwiazdy). Narazali się na kary i płacili ogromne grzywny, sięgające t-tuzin solati (śmierć przez elektrospalenie przewidziana była dla odkrywców naprawdę istotnych faktów naukowych). A zatem rytuał. Fels skłonił głowę i wszyscy mamrotali wraz z nim:

- O, Siris, jeśli zdarzy mi się dzisiaj, że dokonam odkrycia nowego faktu naukowego, wiedz, że stało się to przypadkiem, a ja głęboko żałuję. Błagam cię, wymaż to z mojej pamięci.

Beznadziejne.

Po chwili Fels przystąpił do rzeczy:

- Nienawidzę dramatycznych gestów, ale zamierzam po prostu ostrzec was, pomóc wam uniknąć poważnych obrażeń, słuchajcie zatem uważnie.

Zbliżyliśmy się, szurając nogami.

- Będziecie mieli do czynienia z wieloma różnymi związkami organicznymi. Większość z nich ma niski punkt wrzenia, niewiele wyższy od NH₃ w wadzie, ot co. Prawie wszystkie są łatwopalne tak w stanie ciekłym, jak i gazowym. Będziecie przeprowadzać reakcje z rozpuszczalnikami, wykonywać ekstrakcje, będziecie oczyszczać przez destylację frakcyjną i tak dalej. Jednym słowem, będziecie ogrzewać płyny, odzyskiwać i kondensować ich pary. Spójrzmy na wrzący płyn. Kiedy płyn wrze? Kto powie?

Zgłosiłem się.

- Ciśnienie pary monia na poziomie morza i w temperaturze otoczenia wynosi około dwustu baronów na firma kwadratowe. Pęcherzyki, które mają opuścić płyn, muszą być zdolne stawić czoło takiemu właśnie ciśnieniu. Inaczej mówiąc, płyn będzie wrzał w chwili, gdy utworzy bąbelki wywierające ciśnienie dwustu baronów na finna kwadratowe.

Fels skinał głową.

- W zasadzie to prawda. A teraz rozważmy niektóre przypadki szczególne. Powiedzmy, że gotujemy vadę w czystej kolbie z kulistym dnem. Ciepło powoduje, że z masy płynnych związków NH_3 wydziela się para vady, tworząc drobny pęcherzyk. Odrywa się on od szklanej płaszczyzny i wyrusza w podróż ku powierzchni. Po drodze przyłączają się do niego inne związki. Pęcherzyk powiększa się i w chwili, gdy przebija powierzchnię może być bajecznie duży. Teraz cofnijmy się odrobinę i wróćmy do początkowego mikro-pęcherzyka. Wiele z tego, co wiemy, sugeruje, że tworzy się on na nierówności szklanej płaszczyzny, takiej, która zawiera drobną kieszonkę powietrzną. Ta kieszonka katalizuje przekształcanie cieczy w parę, ot co. Teraz przypuśćmy, że pozwolimy naszej vadzie ostygnąć przez noc. Zatykamy kolbę korkiem i umieszczamy ją w szafce. Następnego dnia zapalamy pod nią płomień i podgrzewamy. Znow wrze. Ale teraz wrze inaczej: kolba drży. Zniknął gdzieś spokojny, równomierny ruch konwekcyjny. Dlaczego? Co się stało? Oto, co się stało: w nocy kieszonki powietrzne zostały zaabsorbowane przez vadę, która ostygła. Vada oczywiście nie pamięta, wybacza nam. Więc w czym rzecz? Płyny organiczne nie są tak uprzejme i grzeczne jak vada. Na przykład, umieszczamy carolene w okrągłodennej kolbie z termometrem i chłodnicą zwrotną, i podstawiamy pod to palnik. Patrzymy na termometr. Osiemdziesiąt. Osiemdziesiąt jeden. Dlaczego nie wrze? Osiemdziesiąt dwa. Trach! Kilka miniów wybucha, dostając się do chłodnicy jak lawa z wulkanu. Temperatura spada do osiemdziesięciu. Potem znow się podnosi i wszystko się powtarza. Nie skropli się należycie, nie przedestyluje, nic nie można z tym zrobić. Problem związany jest ze związkami organicznymi, które wnikają w mikroszczeliny kolby i nie zostawiają żadnych kieszonek powietrznych potrzebnych do katalizy procesu wrzenia. Co więc robimy? Dostarczamy nowych własnych kieszonek powietrznych - podniósł w górę słoje z białymi granulami. - To są nie glazurowane wiórki garncarskie, zwane także kamykami wrzenia. Są porowate i mają ogromną ilość kieszonek powietrznych. Dodajcie tylko trzy albo cztery zanim zaczniecie ogrzewanie. Pęcherzyki formują się bezpośrednio na wiórkach, odrywają od nich i szybują ku powierzchni. Otrzymujecie niemal idealny proces wrzenia - przerwał i rozejrzał się po twarzach. - A teraz dochodzę do sedna. Przypuśćmy, że podgrzewacie płyn organiczny, carolene powiedzmy, i nagle odkrywacie, że zapomnieliście o wiórkach. Co robicie? Czekali. Nikt nie odpowiedział; ja domyślałem się, lecz nie chciałem się wygłupić, gdyby jednak...

- Odkładacie na bok - powiedział - i pozwalacie, by ostygło do temperatury pokojowej, potem dodajecie kamyki. Gdybyście wrzucili je do gorącego płynu, moglibyście sami ucierpieć. W najgorszym przypadku wyglądałoby to tak. Powiedzmy, że dostaliście partię surowej, handlowej carolene. Żeby ją oczyścić chcecie przeprowadzić destylację frakcyjną. Wszystko macie gotowe: kolbę, chłodzony vadą skraplacz, obłożony lodem odbieralnik i tak dalej... Osiemdziesiąt, osiemdziesiąt jeden, dlaczego nie wrze? Co? Zapomnieliście o kamykach! Też coś! Nietrudno to naprawić. Wystarczy odsunąć na bok palnik, wyjąć korek i wrzucić parę... Bum! Bum! - wyszczerzył zęby w pozbawionym wesołości uśmiechu. - To o czym zapomnieliśmy to fakt, że płyn jest przegrzany. Kamyki natychmiast skatalizowały przemianę sporej frakcji płynu w parę. Para ta próbowała wydostać się z kolby tak szybko, jak tylko możliwe. Eksplozja numer jeden. Carolene zawiera dużo tlenu. Zarówno płyn, jak i para reagują z wodorem zawartym w powietrzu. Eksplozja numer dwa - rozejrzał się dookoła, przyglądając się każdej twarzy z osobna. - Są pytania? Nie? W takim razie do roboty.

I tak zaczynam. Tego popołudnia będę syntetyzował cyclette. To naprawdę bardzo proste. Najpierw zlewam odmierzoną ilość lodowatego kwasu do okrągłodennej kolby. Następnie dodaję równoważną ilość zasady. Wraz z pierwszym produktem reakcji wydziela się nieznaczna ilość ciepła. I tutaj jest miejsce dla odrobiny techniki. Roztwór skrapla się w suchym odbieralniku, a obszar kondensacji to mała, wilgotna obręcz. Cały dowcip polega na tym, by skłonić ją do powstania możliwie blisko brzegu rurki, tak żeby cyclette spłynęła z powrotem do odbieralnika, a produkt uboczny, vada, wydostał się do atmosfery. Palnik trzeba trzymać w ręce, gdyż tylko wtedy można należycie kontrolować proces. Sama destylacja nie powinna zająć wiele czasu. Potem oczyszczoną cyclette można zważyć... Waga końcowa decyduje o powodzeniu eksperymentu.

Połowa z nas wytwarza cyclette, reszta, w tym i Uri Rone, przeprowadza destylację frakcyjną surowej carolene.

Preparat mi się udał. Zebrałem całą cyclette, która zamierzała uciec i wyłączyłem palnik. Jestem gotów zważyć moją kolbę. Lecz oto zauważam, że Rone demontuje odbieralnik podczas trwania destylacji. To źle; bo palnik tlenowy nie został wyłączony. Nikogo więcej nie widzę, przynajmniej na tuzin stóp wokoło. Nie wiem, co zrobić. Rone tymczasem podnosi mały słoik pełen białych kamyków i nagle zdaje sobie sprawę z tego, co się dzieje. Nie, Uri! Sięgam, by wyłączyć palnik, ale on zastawia go sobą i wsypuje całą garść kamyków przez szyjkę kolby. Odskakuje.

Siris. Na szczęście nie ma nikogo więcej w naszym bezpośrednim sąsiedztwie. Krzyczę coś, odwracam się gwałtownie, schylam głowę i ruszam biegiem w kierunku wyjścia z laboratorium. Najpierw dobiega mnie z tyłu błysk czerwonego światła, po chwili drugi.

Wszystko wokoło jarzy się blaskiem. Wiedziałem, to eksploduje carolene Uriego. Jeszcze w chwili, gdy coś wyrwało mi grunt spod stóp, dziwiłem się, czemu nie słyszę huku.

Zanosiło się, że trzasnę w wahadłowe drzwi laboratorium i już miałem osłonić dłońmi twarz, gdy drzwi te otworzyły się pchnięte przez falę sprężonego, gorącego powietrza. Z traskiem padłem na bok i leżałem tak przez chwilę, ogłuszony. Nagle nade mną stanęło dwóch studentów. Ich troska i zainteresowanie były trochę źle ulokowane.

- W porządku - wybełkotałem. Przynajmniej będzie w porządku, gdy te dzwony przestaną tłuc się w mojej głowie. Dzwignąłem się, kolana mi drżały, uszy pękały.

- Ogień! - wrzasnął ktoś, a ja odwróciłem się z trwogą ku laboratorium.

Co z eliksirem Gila? Skrzywiłem się. Tu ktoś może być ranny, a ja o tym. Tymczasem laboratorium zaczęło się opróżniać, studenci wybiegali, potykając się. Ktoś biegł ku nam przez korytarz. Fels wyskoczył ze swego pokoju, złapał z haka w ścianie kubek z vadą i wpadł do środka. Rozejrzałem się, gdzie Uri? Nie wyszedł. Po chwili Fels pojawił się ponownie. Stłukł szkło na kasetce alarmu i pociągnął za sznur. Gdzieś zaczął bić prawdziwy dzwon. Wkrótce było po wszystkim. Drużyna strażacka weszła do laboratorium z Felsem i wyniosła Uriego na noszach. Jego twarz była cała w czarnych strzępach. Jęczał, gdy przenoszono go do ambulansu.

Czy to wszystko dlatego, Uri, że ja dostałem twoją pracę? To szaleństwo. Jak możesz mnie nienawidzić? W rzeczywistości wcale nic o sobie nie wiedzieliśmy. Do siriS z tobą, wariacie. Doigrałeś się.

Ale wracając do Gilowych zlewek z roztworami A i B. Co się z nimi stało? Muszę dostać się do laboratorium!

Fels nie pozwalał nikomu wchodzić. Zwołał nas razem w sieni.

- Sami zobaczcie - mówił z ponurą miną - że wszystko wewnątrz pokryte jest pyłem węglowym. Większość, jeśli nie całość preparatów została zniszczona. To nie powinno się zdarzyć - wmawiał nam szorstko, jakbyśmy byli w jakiś sposób odpowiedzialni. - To nie powinno się zdarzyć, szczególnie po moim ostrzeżeniu. Rone był w najwyższym stopniu nieostrożny. Zapomniał o wszystkim, co mówiłem. Nie wyłączył nawet palnika. Całość pary

wyleciała górą, dostał tym prosto w twarz, para zapaliła się natychmiast i miał szczęście, że go nie zabiło.

Podniósł wzrok na mnie.

- A ty gdzie byłeś, Randol?

- Wybiegałem do hallu, gdy podmuch wyrzucił mnie przez drzwi.

- Miałeś szczęście. To wyglądało zupełnie tak, jakby Roni planował samobójstwo połączone z morderstwem. To, że obaj ?yjecie zawdzięczasz tylko Siris.

Znów zwrócił się do grupy.

- A teraz wracajmy do środka. Muszę oszacować szkody. potem sprzątniemy i zaczniemy od nowa. Zajęcia laboratoryjne jeszcze się nie skończyły.

Rzuciłem się w kierunku mojej szafki. Zlewki? Co stało się z efektem twórczego wysiłku Gila? Serca we mnie zamarły.

Podmuch przewrócił zlewkę z roztworem B. Leżała na drucianej siatce, dokładnie nad zlewką z roztworem A, poczerniała i pusta. Szklana płytka zakrywająca zlewkę A zniknęła, na powierzchni płynu pływały cętki sadzy. Cała praca na nic. Ale chwileczkę. Zlewka A, ta na spodzie, była początkowo wypełniona tylko do połowy, teraz poziom płynu był wyraźnie wyższy. Wydawało mi się to nieprawdopodobne, lecz wszystko wskazywało, że płyny mieszały się same... Niech ugryzę aksamitny ogon siriS! A i B wreszcie stały się jednym. Fels stał obok. Patrzył na mnie i kiwał z przygnębieniem głową.

- Smutne, co Randol?

- Istotnie.

- Cyclette?

- Było.

- Dam ci ocenę A. Zrób tu porządek i zacznij następny eksperyment - poszedł dalej.

Drugi eksperyment mógł poczekać. Wydobyłem z szafki czystą kolbę, zainstalowałem filtr z długą szyjką, sfałdowałem w nim bibułę filtracyjną i zająłem się oczyszczaniem tak niezwykle powstałego roztworu. Jednocześnie zabrałem się za sprzątanie. Kiedy wszystko się przefiltrowało, zatkałem małą kolbę korkiem i podniosłem ją pod światło. Płyn był absolutnie klarowny. Czy rzeczywiście zaszła tu jakaś reakcja? Czy to był ten właśnie produkt końcowy? Nic tylko wypić i stać się nieśmiertelnym... A może to przyprawi mnie jedynie o szaleństwo lub nawet mnie zabije? Trudno, wypiję to, pytanie tylko gdzie i kiedy. Łatwiej chyba powiedzieć, gdzie. Potrzebne miejsce o odpowiedniej atmosferze, nastrojowe, zwyczajowe miejsce spotkań ze śmiercią, blisko drogi na tamten brzeg.

Chata Śmierci?

Rozdział dwudziesty trzeci

NOCNA ZMIANA

Ilekoć mogłem wyrwać się z pracy, wychodziłem do małego parku przylegającego do siedziby cechów. O trzeciej nad ranem miasto było ciemne, puste, ciche i niesamowite. Ostatni z kursujących po mieście zaprzęgów odjechał już dawno do centralnej stajni i miało upłynąć jeszcze parę godzin, nim, wraz ze wstającym słońcem, pokaże się pierwszy. Cisza była przytłaczająca, z rzadka tylko przejeżdżała w dali platforma lub wóz, sporadycznie rozlegał się jakiś hałas.

Na rogach ulic paliły się lampy tlenowe, lecz wydawały się podobne do gwiazd. Niemal nie rzucały światła, istniejąc same dla siebie. Połączenie ciemności i ciszy miało w sobie element grozy i trudno było do niego przywyknąć. Podobnie jak nie jest łatwo przyzwyczać się do pracowania w nocy, spania za dnia i uczęszczania jeszcze na kursy chemii.

Któregoś ranka usnąłem Felsowi pośrodku wykładu o tym, jak natura i (lub) dobroczynny Siris związali cały trujący tlen z naszej atmosfery z węglem, chroniąc w ten sposób istoty

ludzkie i inne stworzenia oddychające powietrzem. Nie był to głęboki sen, raczej krótka, łagodna podróż na dryfującej tratwie z wolna wypływającej na morze. Student z prawej szturchnął mnie łokciem, przywracając mi niemal przytomność i obudziłem się, by napotkać urażony i zaintrygowany wzrok profesora.

Później, gdy wychodziłem już na zewnątrz, spotkałem Jeil Gard. Zapadła krótka, niezręczna cisza.

- Nadał pracujesz? - spytała w końcu.

- Tak, ale zmieniłem zajęcie. Teraz jestem w milicji. Zdejmuję odciski palców.

- To musi być ekscytujące.

- Chwilami.

- Ale nie pracujesz w ciągu dnia?

- Nie, zwykle na nocnej zmianie.

- Słyszałam, że rzuciłeś kurs mego taty i przeszedłeś na nauki.

- Tak - nie wdawałem się w szczegóły, co zrobiło zresztą na niej wrażenie.

- Macie jakieś zajęcia w laboratorium?

- Trzy razy na sekstyl.

- Nie masz wiele czasu na sen?

- Są z tym kłopoty.

- Może czasem mógłbyś zdrzemnąć się na terenie kolegium.

- To raczej trudne.

Zamyśliła się chwilę.

- Znam jedno miejsce.

- Ooo?

- Przy sali gimnastycznej jest magazynek z materacami, wiesz, tymi do koziółków i innych ćwiczeń.

Aha! Córo Siris! Dokładnie wiedziałem o co jej chodzi, lecz zachowałem spokój.

- Brzmi możliwe.

- Tak. I nie sądzę, by ktokolwiek mógł ci tam przeszkodzić. Jednakże, dla twojej wiadomości, tatuś przyłapał tam kiedyś dwóch homoseksualistów. Jeden był z milicji, nazywał się Uri, czy tak jakoś. Znałeś go?

- Słyszałem o nim - westchnąłem.

- Cóż, w każdym razie możesz o tym pomyśleć - i odeszła.

Josi spotkała się ze mną w gospodzie Rika ostatniego sesste po południu. Czekałem na nią w sieni, gdy weszła. Wstałem i przez chwilę patrzeliśmy na siebie, potem zakołysała czarnymi lokami i zaśmiała się cicho. Zauważyłem (dość wyraźnie), że ma na sobie różową bluzkę z koronkami i jakąś kasztanową spódnicę z dobranym do niej żakietem. Przebiegłem wzrokiem po profilu jej bioder i nic nie wskazywało, by miała na sobie majtki.

Nagle zdałem sobie sprawę z tego, że po raz pierwszy widzę ją poza wieżą. Jak cudownie!

Wzięłem ją za ramię i za posługaczką podążyliśmy do gabinetu na tyłach.

Kiedy usiedliśmy i zabraliśmy się do studiowania menu, powiedziałem:

- Nie byłem pewny, czy przyjedziesz.

- Jestem - wzruszyła ramionami.

- Przyjechałaś?

- Tak. Dwukółkę zostawiłam po drugiej stronie ulicy.

- Shink powinien być dość dobry.

- Niech będzie.

- Zupa i sałata?

- Tylko sałat. Zupy nie.

- Napar?

- Tak.

- Wezmę to samo - oddaliśmy karty kręcącej się przy nas dziewczynie.

Ująłem prawą dłoń Josi, wciąż w rękawiczce i zacząłem masować jej długie, giętkie palce.

Nasze nogi spotkały się pod stołem, gorętsza krew szybciej popłynęła w moich żyłach.

Uśmiechnęła się do mnie z odrobiną złośliwości i kopnęła mnie w goleń.

- Opowiedz mi o swojej pracy. Co robisz?

- Zdejmuję odciski palców i drukuję, mniej więcej pół na pół.

- Lubisz to zajęcie?

- Raczej tak.

- Cieszę się.

Zaczęto podawać do stołu.

- Aha! Pachnie wspaniale - mruknęła Josi. Obserwowała mnie przez chwilę. Pociągnęła łyżeczek naparu i głośno odstawiała filiżankę. - Przypuścimy, że milicja zrobi którejś nocy najazd na "Wieżę" i zabierze mnie, a ty będziesz musiał zdjąć mi odciski palców. Zrobiłbyś to?

Zakręciłem się niespokojnie.

- To się nie wydarzy, jak długo masz Kertora.

Zignorowała mnie. Jej szare oczy wpatrywały się świdrująco.

- Zrobiłbyś to?

Och, Josi, to nie w porządku! To ty opłaciłaś moje wejście do cechu, twoje ciało dało mi potrzebne w tej pracy świadectwo i wyzwoliło od Garda. Nie mówiąc już o tym, że cię kocham. Ale pomyślałem też o matce, o mięsie na stole i o tym, jak trudno by było znaleźć inną pracę.

- Nie wiem - powiedziałem.

- Byłbyś pewnie bliski śmierci - zakpiła - ale zrobiłbyś to?

Spojrzałem na nią ze smutkiem. Do czego to przyszło między nami? Ująłem ponad stołem jej prawą dłoń. Chciała ją cofnąć.

- Proszę - powiedziałem. - Chcę... chcę coś sprawdzić...

Ściągnęła rękawiczkę i podała mi rękę. Obserwowała mnie przy tym pilnie. Jej pięć palców nie miało zwykłych bruzd. Widniały tam dziwne pętle i spirale, coś zupełnie niespotykanego, tego nie było w żadnej kartotece. Była absolutnym unikatem; naturalnie, była przecież strzygą.

Myślałem szybko. Przypuścimy, że została kiedyś oskarżona o coś... trywialnego...

poważnego... o cokolwiek. Przyprowadziliby ją, oczywiście, na moją zmianę i musiałbym zdjąć jej odciski. A potem miałyby miejsce demonstracja, a ja drukowałbym jej dane.

Wczesnym rankiem dozorczyńni wyprowadziłyby ją na apel, musiałyby iść po kole, a wszyscy mężczyźni obmacywaliby ją oczami, a porucznik zmiany czytałby ze znużeniem...

- Ro Noman, alias Josi Vys, alias... Aresztowana z podejrzenia o kierowanie domem rozpusty...

Potem zadawałyby jej pytania, więc musiałyby coś powiedzieć, a oni przypomniałyby sobie jej głos.

- Josi... kiedy otworzyłaś "Wieżę", to czy sama urządziłaś ją tak, jak wygląda obecnie?

- Nie.

- Mów głośniej, nie słyszymy.

- NIE.

- Rejestr twoich odcisków palców wykazuje, że masz tylko pięć palców u każdej dłoni.

Przyznaj się, jesteś strzygą?

Och, Siris.

- Pol.

Zamrugalem. Patrzała na mnie z niepokojem.

- Dobrze się czujesz?

- Tak - uśmiechnąłem się.

- Przez parę chwil byłeś w innym świecie. I cóż, oceniłeś już moje odciski palców?

- Tak

Teraz dopiero pomyślałem, że gdybym kiedykolwiek musiał zdjąć jej odciski, to wiem już, co robić. Oczywiście, jeśli okoliczności będą sprzyjające. Przy odrobinie szczęścia sklasyfikowałbym ją tak, że jej karta zostałaby pogrzebana na zawsze, zupełnie, jakby nigdy jej nie było. Nie ma rejestru, nie ma osoby.

Poczułem się lepiej. Puściłem jej dłoń, rzuciłem okiem na rękawiczkę z fałszywym szóstym palcem.

- Wciąż jesteś na mnie wściekła?

- Nigdy nie byłam na ciebie wściekła.

Posługaczka sprzątnęła ze stołu i pozostawiła nas przy naporze. Podniosłem moją teczkę i wyciągnąłem papierową torbę ze sklepu ze zwojami. Podałem ją Josi. Wyjęła ze środka i rozwinęła kilka pierwszych akapitów.

Oczy rozjaśniły się jej cudownie.

- Madonna Obłoków! Epos Terna! Z ręcznymi iluminacjami! Ależ Pol, to wspaniałe! Co za skarb!

- Zrobiono to specjalnie dla ciebie, Josi.

- Poczytam z wielką przyjemnością, od początku do końca - zwinęła rolę z powrotem i schowała troskliwie do torby.

- Zarezerwowałem pokój w tej gospodzie - powiedziałem.

- Cóż za przedsiębiorczość! Założę się, że kazali ci zapłacić z góry.

- No tak.

- Ile?

- Dwieście solati.

- Dobrze - roześmiała się. - Chodźmy, nie możemy zmarnować takich pieniędzy.

Zamknąłem drzwi, zasunąłem rygiel i przyciągnąłem Josi do siebie. Dłońmi przesunąłem po jej biodrach, objąłem pośladki, unosiłem je i ścisnąłem pod spódnicą, wsuwając język w jej otwarte usta. Z boku znalazłem guziki i spódnica opadła na podłogę. Potem bluzka.

Musieliśmy oderwać się od siebie na chwilę, gdy ściągała ją przez głowę znów w ten dziwny sposób, wymagający krzyżowania ramion. Halka podążyła śladem bluzki.

Rzeczywiście nie miała na sobie majtek Biustonosz rozpiął się z przodu i już po chwili stała naga.

Po drugiej stronie ulicy migotała słabo tlenowa lampa - oświetlająca szyld: OBUWIE I WYROBY RYMARSKIE ZEIGA - obrysowywała purpurowym konturem bok jej ciała; było zbyt ciemno i nie widziałem jej twarzy.

Zdjąłem marynarkę. Josi przysunęła się i objęła mnie; jakimś tajemniczym sposobem rozpiął się mój pasek przy spodniach, buty jednak nie chciały same się zsunąć. To nie tak - pomyślałem i uniosłem ją, po czym spętany opadającymi spodniami zaniósłem do łóżka.

Pewien czas później leżeliśmy spoceni i zdyszani.

Po małej chwili zaczęła się odprężyć, poczułem lekkie drżenie jej ciała, znak, że sen jest blisko. Też chciałbym móc usnąć.

Josi, piękna czarownico, czy nie boisz się spalenia, nie boisz się zdemaskowania, nie boisz się losu Jehanne-Mar i tyłu przed nią?

Czas mijał.

Poruszyła się (czy obudził ją mój cichy niepokój?). W milczeniu, ostrożnie, usiadła na skraju łóżka i spojrzała na mnie. Światło było zbyt nikłe i wiedziałem, że nie jest w stanie dostrzec, czy śpię. Wstała i poszła do łazienki.

Kiedy wyszła, zrzuciłem spodnie.

Musiała to usłyszeć. Zapaliła w łazience małą lampkę, a kiedy stamtąd wróciła, nie domknęła

drzwi. Widziałem ją wyraźnie, podeszła do okna. Obserwowałem dołeczki na jej pośladkach, wgłębienia kołyszące się z rytmiczną precyzją, gdy szła tak w półświatle. Kuszące! Czy wszystkie kobiety chodzą w ten sposób, czy tylko strzygi?

Wciąż odkrywałem w jej ciele coś nowego. Było to jak żeglowanie wzdłuż brzegów pięknej wyspy, która zawsze jest tą samą wyspą, ale zatoki, półwyspy i inne niespodzianki brzegu są zmienne nawet, jeśli są podobne. Ciało Josi jest tak samo piękne, tylko jego zarysy się zmieniają zależnie od nastroju, oświetlenia i tego, co akurat przychodzi mi na myśl.

- Cześć - powiedziałem.

Odwróciła się i uśmiechnęła. Wróciła do łóżka i spojrzała na mnie. Klepnąłem ją w pośladek.

- Czy to wszystko, o czym potrafisz myśleć? - powiedziałem z udanym smutkiem. Syknęła z prawdziwym oburzeniem.

- Niech cię siriS porwie!

Wspięła się na mnie, lecz ściągnąłem ją w dół i złapałem mocno, przetaczając się nad nią. Nasze usta się zwały.

Gdy już się ubieraliśmy, mruknęła:

- Czy ona była brzemienna?

- Co? Kto był brzemienny?

- Ta kobieta opisana w eposie. Madonna. Objawiciel ocalił ją od tych, którzy mieli ją zabić i dostał strzałę w plecy. Zaniósł ją do niebiańskiego statku i statek odpłynął. A ja pytam, czy ona była brzemienna?

- Josi, to stary mit napisany wierszem. Czy była brzemienna? Kto wie? Spytaj Terna, on to napisał.

- On nie żyje - uśmiechnęła się. - I też by nie wiedział. Ja myślę, że ona była brzemienna i dlatego odeszła tam, skąd przybyła. Kiedy zaszła w ciążę, nadeszła pora, by odejść.

- Jeśli tak mówisz...

- Tak sędzę.

Rozdział dwudziesty czwarty W BIBLIOTECE

- Wszystkie kontrowersyjne pozycje trzyma się tu zamknięte w lochu - wyjaśniałem Josi następnego wieczoru, gdy schodziliśmy ostrożnie po wilgotnych, kamiennych schodach. - Niektóre, najbardziej niebezpieczne przymocowane są łańcuchami do półek. Trzeba przynieść własne światło i czytać w przejściu.

Trzymałem lampę jak najwyżej, ale mimo to Josi chwyciła się mojego ramienia.

- Skąd ty wiesz to wszystko?

- Kiedy Gil i ja byliśmy chłopcami, przyszliśmy tu w nocy po zamknięciu i obluzowaliśmy okno w suterenie. Przynieśliśmy świece i czytaliśmy wszystko, co się dało.

- A teraz co przeczytamy?

- Parę sprawozdań, jeśli są tu jeszcze jakieś. Tędy - skręciliśmy w wąskie przejście między półkami wznoszącymi się aż do sufitu, pełnymi książek i zwojów. Oznaczone tytułami etykiety wystawały jak miękkie, chude palce. Czytałem je po kolei. - Oto mamy Negocjacje Wielkiego Układu. To czego szukamy, powinno być w pierwszym zwoju.

- Ty naprawdę przeczytałeś całe to paskudztwo?

- Większość. Sporo lat temu.

- Po co?

- Nie wiem. Chyba dlatego, że zostało to zabronione.

Roześmiała się. Wyciągnąłem zwój i zacząłem go rozwijać.

- Przysuń lampę trochę bliżej.

- Co to jest? Czego szukasz?

- Tego - powiedziałem.

Przeczytała powoli:

Na drodze do Dervil nasza delegacja, prowadzona przez Squire Vysa, zatrzymała się i byliśmy świadkami zdumiewającego przypadku. Wielki, cylindryczny przedmiot spłynął powoli z niebios. Przez kilka sekund unosił się na wysokości człowieka, po czym odpłynął w bok i wylądował nieopodal. Jakby nie dość było tego cudu, w jego boku otworzyły się wielkie drzwi i wypadło z nich ciało, które z miękkim odgłosem wylądowało przy drodze. Wszyscy cofnęliśmy się w wielkim strachu. Wołce spłoszyły się, a większość z nas (w tym i moja roztropna osoba) ruszyła za zwierzętami. Kiedy w końcu zebraliśmy je ponownie, okazało się, że mamy w grupie jedną jeszcze dodatkową osobę - młodą niewiastę. Leżała bezwładnie na wozie Squire, chwilami tylko odzywając się. Przez większość drogi do Dervil jednak milczała lub trochę pojękiwała.

Oboje milczeliśmy przez chwilę.

- Napisał to Sige Tern - powiedziałem.

- Ten poeta?

- Poeta, który z jej delirycznych majaczeń wysnuł epos. Lecz był kimś jeszcze - wielkim uczonym. Chodźmy dalej - w świetle lampy poszukaliśmy następnego przejścia. - Parę lat później powrócił na miejsce cudu. Wieża była tam jeszcze, bez drzwi i bez okien. Poszedł na miejsce, gdzie najpierw się unosiła i wykonał pewien eksperyment - wyciągnąłem drugi zwój.

- Tutaj jest relacja. Tern wziął szklany słoik i zawiesił w nim cienkie, aluminiowe blaszki umocowane w korku. Naładował blaszki elektrycznością, tak że odepchnęły się, po czym wszedł na miejsce, które nazwał "obszarem unoszenia". Blaszki natychmiast opadły. To było dla niego dowodem, że obszar ten jest nasycony elektrycznością. W miesiąc później zmarł, zabity, jak przedtem opowiadał wszystkim, przez tę dziwną elektryczność. Oto dlaczego przykryłaś to miejsce drewnianą chatą; żeby ludzie nie byli wystawieni na działanie elektryczności.

Pokazałem jej tekst.

- Chcesz to przeczytać?

- Chata Śmierci - mruknęła. - Lecz wchodzą tam tak czy siak i umierają. Chcą umrzeć, a to przyspiesza śmierć. Odlóż to, Pol.

- Josi, kim ty jesteś?

Nie patrzyła na mnie. Lampa drżała jej w ręce.

- Kim jestem? - powtórzyła moje pytanie jakby ze zdziwieniem, jakby oczekiwała, że to ja na nie odpowiem. - Czasami sama nie wiem. Lecz spróbuj spojrzeć na to w ten sposób. Wyobraź sobie, że jest jakiś kraj, bardzo daleko stąd. Ludzie, którzy tam żyją, kochają wojnę. Ich broń jest straszna i niezawodna. Wszyscy zgadzają się, że nie może już być żadnych wojen, ale wszyscy się do wojny przygotowują. Wiedzą, że jedyny sposób, by jej uniknąć, to stać się nieśmiertelnym - jeśli nie można zabijać to wojna traci sens. Wtedy właśnie wraca z długiej podróży wyprawa badawcza i kapitan melduje, że można, gdzieś daleko, znaleźć materiał genetyczny, który daje nieśmiertelność.

Po prostu gapiłem się na nią. Wiedziałem, że chce mi coś przekazać, ale co? Dlaczego nie wyrazi się jasno? Prawdopodobnie sądzi, że nie zrozumie. Ale ja pojmowałem sporo.

- To dlatego miałaś mój portret i moją genealogię?

Nadal na mnie nie spoglądała. Wzruszyłem ramionami, niech tam. Liczyłem się z nią. Josi strzyga. Ale moja strzyga. Tajemnica, ale to moja tajemnica. I moja kobieta. Powoli wyciągnąłem rękę i wziąłem lampę. Teraz spojrzała na mnie. Postawiłem lampę na górnej półce, w luce między książkami.

- Nie, Pol, nie tutaj.

Wziąłem ją w ramiona i obróciłem o ćwierć obrotu, przycisnąłem do regału. Zamknęła oczy i objęła mnie. Przesunąłem usta po jej wargach, policzkach, szyi, podczas gdy ręce błądziły po biodrach, aż powędrowały w górę, by ująć piersi. Delikatnie masowałem sztywniejące sutki. Manipulowała przy moim pasku. Na chwilę oderwaliśmy się od siebie, a ja wsunąłem ręce pod jej tunikę i spódnicę i podciągnąłem je aż ku talii. Miała na sobie tylko zwykłe, białe majtki.

- Połóż się - powiedziałem.

Z milczącym zezwoleniem i nie bacząc na ewentualne audytorium czy stan garderoby ułożyła się zwinnym ruchem na zimnej, kamiennej posadzce, zbierając spódnicę powyżej talii.

Opadłem na nią i odsunąłem na bok materiał majtek. Bez żadnych wstępów wdarłem się w nią. Skrzywiła twarz, a ręce kurczowo wbiły się w moje ciało i nawet przez rękawiczki czułem jej paznokcie niemal rozdzierające mi skórę.

Jęczała cicho. Przez głowę przemknęła mi krótka, idiotyczna wizja bibliotekarki pędzącej po schodach na dół, by wykrzyknąć nam szeptem: Proszę o ciszę!

- Teraz! - wyrzuciła z siebie Josi. - Teraz!

Zgraliśmy się. Trach.

I wielki odwrót. Zamieranie, zamieranie, za...

Nasłuchuję. Coś nikłego, odległego, to wielkie drzwi frontowe otwierają się i zamykają.

Ludzie opuszczają bibliotekę. Odnajduje nas dochodzący z góry i przytłumiony głos kobiety:

- Zamykamy bibliotekę.

Podnoszę się z wysiłkiem i pomagam wstać mojej ukochanej. Wyjmuję chusteczkę, wycieramy się nawzajem. Podciągam spodnie, wpycham tunikę za pasek. Spoglądamy na siebie. Ona przygląda mi włosy i uśmiecha się po swojemu, trochę krzywo. Możemy iść. Powoli wchodzimy po schodach i mijamy siedzącą w czytelni tajemniczą bibliotekarkę, kobietę istniejącą głównie w teorii (Dobranoc. Dobranoc).

Zatrzymaliśmy się tylko na chwilę przy wyjściu, obok manekina za stoiskiem z książkami. Ta mała kreatura ma reprezentować legendarnego Peira - Mola Książkowego, który czytał książki szybciej niż mu je dostarczano. Kiedy przeczytał już wszystkie napisane kiedykolwiek, usiadł przy swoim biurku (tak mówi podanie) i krzyknął: Więcej książek! Więcej książek!

Manekin za stołem i gromadzącymi kurz woluminami stanowił prawdopodobnie najdziwniejszy eksponat w całej bibliotece. Nikt chyba nie wiedział, skąd się wziął ani od jak dawna tkwi w tej małej niszy. Jakkolwiek by było, narósł wokół niego osobliwy przesąd - mit wewnątrz mitu.

Oczy Peira skonstruowano tak, by zamykały się na noc. Powodowało to zapewne światło (lub jego brak) i temperatura, a za półprzezroczystymi policzkami tkwił pewnie precyzyjny mechanizm stroikowy. Przy chłodzie i w mroku gałki oczne obracają się w oczodołach. Rzecz w tym, że oczy nie zamykają się jednocześnie - zdaniem ekspertów jest to wynik celowego planowania. Najpierw jedno, potem, może po sekundzie, zamyka się drugie. W wyniku tego braku synchronizacji manekin mruga. Mówi się, że jeżeli to mrugnięcie zobaczy kobieta, to zajdzie w ciążę, jeśli mężczyzna, to wkrótce umrze. Utarło się nawet, że ciążę witano czasem stwierdzeniem: Mól Książkowy na nią mrugnął, a niespodziewaną śmierć mężczyzny kwitowano: Zobaczył mrugnięcie manekina. Dlaczego zatem nikt go nie usunął? To niemożliwe. Który mężczyzna miałby dość odwagi? Kobiety też by na to nie pozwoliły. Tak czy owak, w czym kłopot? Nikt nie musi patrzeć.

Ciekawe jest obserwowanie ludzi opuszczających wieczorem bibliotekę. Mężczyźni niemal zawsze odwracają wzrok (ja nie, zawsze patrzę na Peira, bo wiem, że to głupi przesąd).

Postępowanie kobiety zależy od tego, czy chce zajść w ciążę, czy nie. W istocie, nie ma powodów do niepokoju. Przez wszystkie te lata, gdy zaglądałem do biblioteki, nie widziałem,

by Peir mrugał, nigdy też nie spodziewałem się tego po nim. I nie dbałem, tak naprawdę, co się stanie. Teraz, gdy przechodziliśmy obok, bezręsa powieka opadła z chrobotem. Ten nagły ruch przestraszył Josi.

- Widziałeś to? - szepnęła.

Czy znała tę opowieść? Pewnie nie. Nie miałem zamiaru wszystkiego jej opowiadać.

- Czy co widziałem?

- Tę kukłę... jej oko. Och, mniejsza z tym.

Nie było czym się martwić. Mit, przesąd, trzeba myśleć logicznie. Wzruszyłem ramionami.

- Muszę iść do pracy. Nie mogę odprowadzić cię do domu.

- Nie szkodzi. Dwukółka stoi po drugiej stronie ulicy.

Patrzyłem za nią, gdy przechodziła przez pustą ulicę i wsiadała do małego powoziku.

Pomachałem jej ręką, gdy odjeżdżała ze stukotem.

Pamiętny wieczór.

- Panna Vola wpadła tu dziś na parę minut - powiedziała matka (panna Vola była przepisywaczką u Garda i miejską intrygantką).

Była ósma wieczorem i siedzieliśmy razem przy stole. Dla mnie była to pora czegoś w rodzaju śniadania. Matka piła chai.

- To miło - powiedziałem. - I jak się ma?

- Sądzę, że świetnie.

- A świątynia?

- Też świetnie.

- A dobry Dziekan?

- Czy próbujesz być sarkastyczny?

- Może trochę. O co jej zatem chodziło?

Jeszcze jeden ostrożny łyżeczek.

- Zdaje się, że zeszłego wieczoru była w Bibliotece Publicznej. Powiedziała, że widziała ciebie... i kobietę... wychodzących z...

- To była Josi.

Następny łyżeczek. Filiżanka brzęknęła. Wyjąłem grzanekę z naszego grilla na węgiel drzewny.

- Panna Vola powiedziała, że ta pani jest bardzo ładna.

- Racja. Jest także starsza ode mnie.

- Przynajmniej około trzydziestki, jak rozumiem.

- Tak.

- Czy nie uważasz - westchnęła, - że rozmawiając w ten sposób o niej... Wiem tak mało - jej głos stał się piskliwy i załamał się.

- Nie uważam. Przykro mi tylko, że musiałaś dowiedzieć się tego od panny Voli. Ale naprawdę niewiele więcej jest do powiedzenia. Nie mamy zbyt konkretnych planów, przynajmniej na razie. Jeśli dojdziemy do czegokolwiek, będziesz wiedziała pierwsza - uśmiechnąłem się do niej. - W porządku?

Ale oczywiście to nie było w porządku. Starsza ode mnie kobieta, o której ona nic nie wie? To stanowczo nie w porządku. Cóż, mogło być gorzej. Gdyby tak panna Vola zeszła po ciemnych schodach akurat w najbardziej nieodpowiednim momencie?

- Muszę iść - powiedziałem.

Wychodząc złapałem jeszcze drugi plaster zorka.

Rozdział dwudziesty piąty WE WNĘTRZU WIEŻY

Eliksir Gila był gotowy.

W rzeczywistości był gotowy już od kilku dni. Stał w zlewce na mojej półce w laboratorium i czekał. Ale ja zwlekałem, musiałem pomyśleć. Wypiję go w Chacie Śmierci i tam umrę. Jeśli eliksir podziała, ożyję, jeśli nie...

Życie było dobre. Po co ryzykować?

Życie z Josi też nie dostarczało mi zbyt wiele trosk i tego popołudnia, wchodząc do "Wieży", byłem beztroski, myśli miałem lekkie.

Lokal był pusty, tylko Boogi pilnie zamykał. Nie było ludzi, krzeseł, stołów, garnków, rondli, pieca... nie było jedzenia, nie było pozytywności... straszliwa pustka. Niczego nie było.

Nie rozumiałem.

- Boogi - spytałem z trwogą, - Boogi... co tu się dzieje?

- Sprzątanie, Squire Pol.

- Widzę. Och, mniejsza z tym.

Josi przysłała mi do domu pilną wiadomość, abym wpadł do "Wieży", z dopiskiem: Ale to nie nagłego. Na Siris! To była nagła potrzeba.

Wbiegłem po schodach.

- Josi! Josi!

Wyszła na podest. Coś w jej twarzy zdumiało mnie, nie uśmiechała się, nie marszczyła brwi ni czoła. To było coś więcej. Coś ekstatycznego jarzyło się w jej oczach, wyzierało z postawy. Potem uśmiechnęła się do mnie.

- Och, Pol, dziękuję, że przyszedłeś!

Zabrała mnie do swojego pokoju i zamknęła drzwi.

- A zatem? - spytałem.

- Zamykam "Wieżę". Przenoszę się na drugi koniec miasta.

Nie dowierzałem.

- Powiedz coś więcej.

- Zwalniam wszystkie dziewczyny. Znajdą pracę w innych... domach. Wys przeniesie się do nowego domu. Boogi pójdzie z nami.

- Czy to już wszystko, Josi? Spojrzała mi prosto w oczy.

- Nie - w promienności mogłem dostrzec cienie smutku tak wielkiego, że nie dawał wyrazić się słowami.

- Coś nie w porządku, Josi? Może ci pomogę.

- Nie dzieje się nic złego. Wszystko jest dokładnie tak, jak być powinno.

- Myślisz, że nic nie wiem i niczego nie rozumiem. Być może masz rację. Ale ja cię kocham.

Tyle możesz mi przyznać.

- Wiem, że mnie kochasz, Pol. I ja kocham ciebie.

- Ale odchodzisz. Ty się nie przenosisz, ty zamierzasz zniknąć.

Rzuciła mi zaskoczone spojrzenie, ale nie zaprzeczyła.

- Trzydzieści lat temu - ciągnąłem - twój wielki, nadzwyczajny statek opuścił się z nieba.

Wypadłaś na zewnątrz przez te oto drzwi - wskazałem zamknięty właz w przeciwną stronę. - Squire Wys uratował cię, Sige Tern wyleczył twój uszkodzony umysł i ciało - podszedłem do powłoki wieży i załomotałem w nią pięścią. Odpowiedziało mi głuche, metaliczne echo. - Jakież dziwny i cudowny kraj mógł zbudować taki statek? Tak naprawdę to nie przenosiny. Przygotowujesz się, by opuścić ten świat. Wejdiesz do wieży, a ona uniesie cię w obłoki, akurat tak, jak zapowiedział to Tern w poemacie. A ja nigdy już cię nie zobaczę. Patrzyła tylko na mnie. Czy słyszała cokolwiek z tego, co mówiłem? Ująłem jej ramiona.

- W istocie, to dobry pomysł, by się przenieść. Gard był już na milicji, chce, by zrobiła najazd na "Wieżę". Dopóki był tu Kertor, byłaś bezpieczna, ale teraz odszedł i zrobią na ciebie obławę. Nie zostawaj tu ani nocy dłużej.

- Muszę, mam tu jeszcze coś do zrobienia.

- W statku?

- Tak.

- Czy mogę zobaczyć jego wnętrze?

Zawahała się.

- Tak - podeszła do drzwi i otworzyła je.

Wszedłem za nią do tajemniczego sanktuarium.

Obserwowała moją twarz, gdy rozglądałem się z lękiem.

Były tam dziwne, szklane płyty iluminowane niesamowitymi, ciągle zmieniającymi się wzorami. Były całe rzędy osobliwych, białych tarcz z małymi czarnymi igiełkami tańczącymi wkoło. I były całe skupiska guzików, z których każdy był oznakowany, a także kilka foteli, a na uboczu, pod ścianą jakby dwie szklane trumny. Wieko jednej było podniesione.

- Dla ciebie, Josi?

- Tak.

Przemknęła mi przed oczami wizja gwiazd, niewyobrażalnej przestrzeni, upływu czasu.

- Jak daleko, Josi?

- To bardzo długa droga.

- Och, Josi - powiedziałem ze smutkiem. - Dlaczego pozwoliłaś, by do tego doszło?

Zrobiłem kilka kroków, a ona w milczeniu podążyła za mną, zupełnie jakbyśmy nie potrafili się porozumieć.

- Jak nazywacie nasze słońce?

- Gwiazdą Bernarda - głos jej był cichy. - To mała, czerwona gwiazda. Jest stosunkowo chłodna, przynajmniej w porównaniu z naszym słońcem, które wy nazywacie Jasną Gwiazdą. Życie zawsze jest wytworem lokalnego słońca. Wasze jest czerwone, moje, Jasna Gwiazda, to typ określany jako gwiazda żółta.

- Żółta? Co to znaczy?

- Kolor. Nie macie go tutaj. Nawet zresztą gdybyście mieli, nie bylibyście zdolni go widzieć jako żółty, ponieważ wasze widzenie jest z natury - szukała właściwego słowa - monochromatyczne. Widzicie wszystko w odcieniach czerwieni wpadających nieznacznie w oranż-ochrę.

- Ależ Josi, mamy d-tuzin kolorów!

- Owszem, ale wszystkie są odcieniami czerwieni, niektóre z małą domieszką ochry.

Faktycznie, macie około dwóch tuzinów nazw dla rozmaitych czerwieni: purpurowa, szkarłatna, kardynalska, cynobrowa, rubinowa, płomienna, krwawnikowa, wiśniowa i tak dalej... Kiedy czerwień ciemnieje, pojawia się kasztanowata, ruda, rdzawa. A gdy jaśnieje, to jest różowa, czereśniowa, różana. Przechodząc w ochrę, wytwarza to, co my i nazywamy barwą nagietkową, szafranową, miedzianą, tycjanowską. To nie są wasze nazwy. Nie jestem pewna, jak wy nazywacie te kolory, które my widzimy jako żółty, zielony, błękitny czy fioletowy. Wasze niebiosa mają kolor rdzawej ochry, wasza amoniakalna atmosfera przepuszcza bowiem dłuższe fale światła gwiazdy, a rozprasza krótsze. W moim świecie, która nazywamy Ziemią niebiosa są błękitne, bo w naszej atmosferze tlen rozprasza promieniowanie, jak to określamy, w paśmie pięćdziesięciu czterech milimikronów. Nie jesteście w stanie ujrzeć błękitu, a zatem wam nasze niebiosa wydałyby się szare.

Naprawdę żyliśmy w innych światach. Wszystko było różne, nawet sposób, w jaki ona patrzyła na przedmioty i na wszystko inne.

- Twoje oczy - powiedziałem. - Jaki mają w rzeczywistości kolor?

- Błękitny. Dla ciebie prawdopodobnie są szare.

- Tak. A twoje włosy? W moim świecie są żółte. Ale ponieważ absorbują wszystkie kolory, które tu są obecne, tobie jawią się jako czarne. Tak?

- Owszem, z wyjątkiem chwil, gdy słońce oświetla je z tyłu, wtedy błyszczą czystą czerwienią.

- To dlatego, że kosmyki są półprzezroczyste, niektóre z nich mogą naprawdę przepuszczać

światło słoneczne po oddzieleniu fal odpowiadających barwie ochry.

Kiedyś spytałem ją: Kim jesteś? Starła się wytłumaczyć, a ja wciąż nie wiedziałem. Im bliżej byłem, tym stawała się bardziej odległa.

Kątem oka uchwyciłem jakiś ruch. Na jednej ze szklanych płyt działo się coś godnego uwagi. Najpierw ukazał się dziwny, zakrzywiony przedmiot podobny do tępego, wygiętego sztyletu. Jarzył się i błyszczał i stawał się coraz większy, aż wypełnił całą Płytę

- Co to jest? - szepnąłem.

- Nazywamy to Księżycem. To wielka kula, która krąży wokół naszego świata, która także jest kulą krążącą wokół Jasnej Gwiazdy.

Powiększenie trwało dalej i oto mogłem już odróżnić wzniesione wśród dzikiego, kamienistego krajobrazu budowle. I jeszcze ruch - spośród kompleksu budynków wyleciał połyskujący przedmiot kształtem przypominający grot włóczni. Zniknął w czerni.

- Statek? - zaryzykowałem. - Taki jak ten?

- Podobny. Wypuszczony z amerykańskiego centrum - w jej głosie pobrzmiwała cicha duma.

- Amerykanie, to twój lud?

- Tak.

- Ten mężczyzna na obrazie zwykle wiszącym na ścianie... Potężny gość. Jeden z twoich?

- Tak.

- Twój mąż?

Wciągnęła gwałtownie powietrze.

- Był nim... Już nie żyje.

- Przepraszam. Nie był zbyt do ciebie podobny, był o wiele silniej zbudowany.

- Nie był strukturalnie przekształcony do życia tutaj.

Strukturalnie przekształcony...? Więc to z nią zrobili. Potrzebowałem czasu, by to przemyśleć.

- Czy Jehanne-Mar była z twojej wyprawy?

- Byłyśmy tylko we dwie, ona była druga.

- Lecz ona nie była strukturalnie przekształcona, jak to i nazywasz?

- Nie, z wyjątkiem przetwornicy płucnej. Poza tym chciała normalnie się starzeć tak na umyśle, jak na ciele. Miała inne zadanie.

- Jakie?

- Była genetyczką.

- Gen... co to znaczy?

- Jean Morrow, zwana przez was Jehanne-Mar, selekcionowała linie genealogiczne nadające się do połączenia ze mną. Ale w końcu postradała zmysły, została schwytana i zabita.

- Wiedziałaś, że wskazała na mnie?

- Tak. Poszerzyła swój wykres. Byłeś pierwszorzędnym selektorem.

Oczywiście. Oczywiście, teraz wszystko zaczynało do siebie pasować.

- Dzień, w którym Gard ją zabił, był dniem, w którym doszło do spotkania. Teraz, patrząc wstecz, myślę, że płakałaś, Josi. Bolałaś nad swą przyjaciółką, Jehanne-Mar.

Josi skinęła głową.

- Wsypali jej popioły do tandetnego, glinianego garnka i zakopali na Rozstaju Kryminalistów.

Wykopałam go i zabiorę z powrotem na Ziemię, gdzie odprawimy należyłą ceremonię. Była wspaniałą kobietą i oddała wszystko, co miała.

I ty też taka jesteś, Josi - pomyślałem. Z każdą sekundą stawało się to coraz bardziej niewiarygodne. Kolana mi się trzęsły i bardzo żałowałem, że pytałem ją o cokolwiek.

- Muszę iść - oznajmiłem słabym głosem.

- Tak, oczywiście.

Usiadłem na łóżku.

- Musicie uważać nas za bardzo prymitywnych.

- Nie. Nie byłoby mnie tutaj, gdybyśmy tak myśleli.
- Przypuszczam, że posiadacie bardzo wymyślną broń. Dlaczego nie uratowałaś Jehanne-Mar?
- Nie zabrałyśmy na statek żadnej broni. Poza tym, jeszcze cię wtedy nie spotkałam. Przybyłyśmy w najzupełniej pokojowej misji.
Roześmiałam się w głos.
- Byłaś moją protektorką. Opłaciłaś wejście do cechu, sprowadziłaś mnie na Vys Street, kiedy zwolnił się etat w milicji. To ty, nie Kertor, zaaranżowałaś tę licytację. Stałaś na podeście i czekałaś -podniosłem na nią wzrok. - Gdybym nie przyszedł do ciebie dobrowolnie, ile byś za mnie dała?
- Wszystko, co mam.
Podniosłem się, by odejść, ale nie mogłem oderwać od niej oczu.
Och, Josi, Josi! Jaka ty jesteś śliczna! Chirurdzy twego świata naprawdę znają swój zawód. Zupełnie jakby rozmawiali ze mną za pośrednictwem twego ciała. Ale wiem także, że masz już to, Czego ode mnie chciałaś i nigdy więcej nie będziemy się już kochać. Teraz już mnie to nie boli.
- Nie zostawaj tu dzisiejszej nocy - powiedziałem. - Gard szuka ofiary.
Ale ona nie odpowiedziała.

Rozdział dwudziesty szósty

OBLAWA

Idąc do pracy myślałem o kilku sprawach. Josi miała odejść z mojego życia i nie było już żadnego powodu, by zwlekać z wypiciem eliksiru Gila. Ale to nie był najpilniejszy problem. Skoro Kertor odszedł, Gard będzie wywierał na opornego pułkownika presję, żądając najazdu na wieżę. To źle. A będzie znacznie gorzej, jeżeli Day zdejmie Josi odciski palców. Tylko pięć u każdej dłoni. To i inne rzeczy... Jeszcze jedna publiczna egzekucja? Czy naprawdę jest aż tak źle. Naprawdę, ach, Josi! Jeśli nie odejdziesz, to miej przynajmniej tyle przezorności, by dać się aresztować podczas mojej zmiany, w środku nocy, w godzinie, w której rodzą się dzieci. W godzinie, w której twoja Jasna Gwiazda jest najjaśniejsza. I tak rozmyślając wszedłem do biura.

Day kołysał się na krześle, palce splótłszy na potylicy. Przed nim na biurku leżało parę kart odcisków, jakaś gazeta, resztki naparu stygły w filiżance. Spojrzał na mnie kpiarsko.

- Chyba jest dość spokojnie - powiedziałem.

Ziewnął, opuścił ręce i rozpoczął jakieś skomplikowane, powolne manewry, dzięki którym stanął w końcu na nogi.

- Ba - stwierdził, podnosząc filiżankę i wysączając jeszcze łyk naparu.

- Co się dzieje, Day?

- Dziś w nocy rozwali się wieża - krzywiąc się dokończył płynu. - I to wszystko spadnie na ciebie. Dobranoc, Pol - wyszedł, a ja zacząłem się pocić.

Podszedłem do biurka i wziąłem listę pensjonariuszy. Bądź zajęty, drukuj listę aresztowań, wszystko musi wyglądać normalnie.

- Cześć - przywitałem Kumba.

Chrząknął. Odszedłem.

- Pol - odezwał się w końcu znudzonym głosem.

- Tak? - odwróciłem się.

- A lista?

Wróciłem i zabrałem ją. Zmiana nie zaczynała się dobrze. Umieściłem listę w ramce i zacząłem składać czcionki.

Teraz wszystko było już kwestią czekania.

Wyobrażam sobie: Gard jest ubrany w błyszczące anielskie szaty, wykwintnie przystrzyżone włosy odbijają światło, tworząc aureolę. Podnosi do świętych warg połyskującą trąbkę i dmie w nią z całą mocą. Tra ta ta ta ta! Tra ta ta ta! Wszyscy mężczyźni i kobiety o podejrzanym reputacji, złoczyńcy wszelkiego autoramentu, wyjdźcie z ukrycia! Tra ta ta ta! Zapłatą za grzech jest śmierć. Do wozów, szumowiny! Na posterunek i na wieki możecie sobie gnść na złym łonie siriS! Tru tu tu tu!

W odrętwieniu brnąłem przez robotę.

Właśnie skończyłem ostatnią kartę, kiedy zza rogu archiwum wyszła pani Lane, dozorczyńni, a przed nią Josi.

Josi spojrzała na mnie jeden, jedyny raz, potem już nie podnosiła wzroku. Nie okazywała zaskoczenia ani strachu. Przybrała na twarz bladą maskę jasnego makijażu i obojętności. Czarne loki miękko okalały jej policzki.

Pani Lane obeszła pulpit drukarski i wręczyła mi kwitek aresztowania. Widniało na nim: Jocelyn Case. Ciekawe, podejrzewałem, że to jej prawdziwe nazwisko, które nadano jej na odległej Ziemi.

Westchnąłem, włożyłem kartę do maszyny drukarskiej i wypełniłem nazwisko i adres. Wiek 30+. Oczy szare, włosy czarne. Areszt na mocy podejrzenia.

Przeniosłem kartę w uchwyt. Przez chwilę spoglądałem na dwanaście pustych miejsc. Kątem oka zauważyłem, że Lane siedzi w drugim końcu pokoju, prawie poza zasięgiem słuchu. Rozwałkowałem warstewkę tuszu na szklanej płycie.

- Josi - powiedziałem bardzo cicho. - Podejdź tu, proszę. I rób dokładnie to, co ci powiem. Ująłem jej prawą dłoń, wciąż w rękawiczkach. Zesztywniała, po chwili się rozluźniła.

Przesunąłem chwyt na nadgarstek.

- Pozwól ręce zwisać miękko. Nie próbuj mi pomagać.

- Czy powinnam zdjąć rękawiczki?

- Absolutnie nie!

Ledwo zauważalnie wzruszyła ramionami.

Przyłożyłem mój prawy kciuk, potem odbiłem go w miejscu przewidzianym dla lewego kciuka. I tak dalej, palec po palcu. Wszystko wypadło dokładnie na odwrót.

Wytarłem palce papierowym ręcznikiem i doczyściłem rozpuszczalnikiem.

Dozorczyńni podniosła wzrok. Skinąłem na nią i wyprowadziła Josi. W chwilę później Wołc Ballein wprowadził Squire Vysa.

Ulżyło mi, że to Wołc ma dyżur tej nocy. Nie zwracał zwykle uwagi na nic, z wyjątkiem należytego zamknięcia bloku z celami. Nie interesowały go odciski palców. Podał mi kartkę, chrząknął, ziewnął potężnie, po czym usiadł na stołku w odległym kącie pokoju, by poczytać gazetę.

Uśmiechnąłem się do Squire Vysa.

- Cześć.

- Cześć. Jak ci się tu podoba?

- Bardzo, z wyjątkiem tego, że zdejmują tu odciski palców moim przyjaciółom.

- Przykro mi z tego powodu. Czy Josi już tu była?

- Tak, panie. Minęliście ją, jak sądzę.

Zniżył głos:

- Ona ma tylko pięć palców. To może oznaczać kłopoty.

- Poradziłem sobie z tym. To żaden problem.

Wydawał się tak zaskoczony, jak i uspokojony. - Dobrze, co teraz?

- Oboje z Josi zostaniecie zwolnieni w przeciągu godziny. Przed budynkiem stoi zwykle parę dorożek. Nie powinniście mieć kłopotów z powrotem do wieży. Macie pieniądze?

- Tak, wystarczy.

Studiowałem kartę aresztowania.

- Co my tu mamy. Aha, Roe Noman - wystukałem nazwisko.

Squire uśmiechnął się, ale nie bronił użycia tego pseudonimu.

- Myślisz, że wszystko będzie z nią w porządku? Oni - rozejrzył się ostrożnie - nie dowiedzą się?

- Nie dowiedzą. Nie przeprowadza się rewizji osobistej osób zatrzymanych po obławie w zamtuzie.

Westchnął.

Włożyłem kartę w ramki.

- Zechce pan teraz podejść tutaj, panie Noman. I proszę rozluźnić ręce, niech zwisają swobodnie. Właśnie tak - ukradkiem zerknąłem na Wołca. Nadal pochłonięty był gazetą. Przystąpiłem do odbijania palców lewej dłoni Vysa tam, gdzie powinna widnieć prawa i odwrotnie.

Zauważył to natychmiast. Podniósł na mnie wzrok, potem, spojrzał przez pokój na Wołca, a raczej na jego wielkie plecy.

- Josi także? - spytał szeptem.

- Podobnie.

- Synu Siris.

Z głębi więzienia dołączył do nas odgłos śpiewu.

- Co to jest?

- To chór świątynny kierowany przez Dziekana Garda niesie naszym aktualnym pensjonariuszom posłanie miłości Siris.

- Biedaczyska - mruknął pod nosem Vys.

- Sam chór nie jest naprawdę taki zły - stwierdziłem. - Przynajmniej, gdy śpiewa w świątyni. Tutaj czują się trochę niepewnie. Ta kamienna akustyka zbija ich z tropu. Duży tu pogłos.

- I oczywiście Gard wie, że Josi i ja tu jesteśmy?

- Wie. To on zaplanował cały najazd, z niewielką pomocą pułkownika, że wspomnę nawiasem. Myśli, że już skończyliśmy. Proszę, można usunąć tusz z palców odrobiną rozpuszczalnika. A tu są papierowe ręczniki.

Squire oczyścił ręce.

- Gard to kompletne bydlę. Kazał milicji skierować snop światła na nasze frontowe drzwi.

Ledwie mieliśmy czas, by się ubrać. Kiedy Josi potykając się wyszła w ten cholerny, oślepiający blask, to wiesz, co zrobił?

- Co?

- Zawołał przez megafon: Widzicie na własne oczy tę wielką nierządnicę, deprawatorkę młodzieży. Musiałem trzymać Boogiego za pasek. Próbował wejść do środka po swój nóż. Dobrze, że się przenosimy, nie chcę morderstwa, nawet na osobie Garda.

Niewidoczny chór zaczął nowy hymn. Tak jak się obawiałem, była to owa pieśń o owcach. Nic już nie powiedziałem, nie spojrzałem nawet na Vysa. Była to melodia przewodnia z odległego słońca, napisana przez niezrównanego kompozytora nazwiskiem Bach. Nie miałem pojęcia, jak on wyglądał ani też, jeśli już o to chodzi, jak wyglądały owe owce (swoją drogą, dziwne to słowo i dziwnie się odmienia).

Squire też zaczął to nucić, w jego wykonaniu było to pełne wigoru. Miał dobry, potężny bas. Podjąłem prostą melodię. Kapral Ballein spojrzał na nas przerażony.

- Ludzie, zwariowaliście?

Ale melodia była nachalna. I kiedy Wołc prowadził Vysa do wyjścia, usilnie próbował ją zagwizdać.

A więc już po wszystkim. Zablokowałem ramię sprawiedliwości. Jestem godny pogardy, tak będą mieli prawo sądzić ufający mi współpracownicy. Co powiedziałyby pułkownik?

Powiedziałyby: Ja mógłbym zdjąć odciski palców własnej matce.

Krótko mówiąc, jestem przestępcą.

W tej właśnie chwili wyszedł zza regałów ten, o którym myślałem i podszedł prosto do warsztatu drukarskiego. Serca uwięzły mi w gardle. Wiedział wszystko. Dobrze, niech będzie, że wie. Rozegram to do końca. Odwróciłem się i posłałem mu krótki uśmiech. Dite wyciągnął kartę Squire i zbadał ją uważnie.

- O co chodzi? - spytałem (to było trochę niezwykle, że pokazywał się o tej godzinie). W milczeniu badał dalej kartę. Musiał zauważyć, jak zamieniłem odciski. Jak mógłby to przegapić?

Jej także? - musiał myśleć. - Co za niewiarygodna zdrada kroi się tu tej nocy?

Czekałem zdrętwiały. Spadnij toporze i skróć me męki.

- Świątynia wyraziła wielkie zainteresowanie przypadkiem - wyjaśnił spokojnie - więc przyszedłem.

Tyle to już wiedziałem. Co on gra, po czyjej jest stronie? Na pewno wykrył moje rażące oszustwo. W następnej sekundzie powie swoim głuchym, beznamiętnym głosem: Randol, idziemy do aresztu.

Odłożył karty.

- Normalnie - mruknął. - Nie przerywaj sobie - i wyszedł.

Oparłem się o pulpit i zacząłem się trząść.

Brzęk kluczy sprawił, że szybko się wyprostowałem. Ballein wprowadzał Boogiego.

Mały służący uśmiechnął się szeroko.

- Cześć, Squire Pol.

- Cześć Boogi - rozpocząłem normalną procedurę. - Słyszałem, że Gard zgotował wam ciężkie chwile.

- O tak, panie, ten klecha to zły człowiek, Squire Pol. Powiedział masę złych rzeczy o pannie Josi - jego twarz zastygła pod postacią ciemnej, gniewnej maski. - On umrze, Squire Pol.

- Zostaw go w spokoju, Boogi - szybko zdjąłem jego odciski.

- On umrze - szepnął raz jeszcze, tym razem do siebie.

Dostrzegłem spojrzenie Wołca. Zawołał Boogiego i patrzyłem za nimi, gdy znikali za zakrętem. Co się stanie z Josi, jeśli Boogi wygzekwuje swą szaloną groźbę? Wygzekwuje... to niewłaściwe słowo.

Później tego ranka, gdy wychodziłem do kolegium, starałem się zebrać myśli. Squire nic nie mógł mi powiedzieć. Wiedział tylko, że Josi odchodzi. Dokąd? Nie wiedział. I nie zrozumiałby, gdyby mu powiedziała. Josi mogła powiedzieć mi wszystko, ale przekazała mi, jak dotąd, tylko nie dające spokoju urywki i strzępki informacji.

Wszystko razem wskazuje jednak na to, że wkrótce odejdzie na zawsze, przypuszczalnie do domu, na swoją Ziemię.

Czy mógłbym żyć bez Josi? Naprawdę, nie wiedziałem. Muszę porozmawiać z Gilem.

Nadszedł czas, by pójść z eliksirem do Chaty Śmierci. Nadszedł czas, by zaryzykować wszystko. Dziś w nocy.

Szczęśliwie była to dla mnie noc wolna od pracy.

Rozdział dwudziesty siódmy

JEIL

Zapadł wieczór i zajęcia w laboratorium chemicznym dobiegły końca. Wyjąłem z mojej szafki buteleczkę z eliksirem i przyjrzałem się jej ponuro w czerwonych promieniach zachodzącego słońca. Płyn wirował jak żywy. Magiczny napoju, czy naprawdę potrafisz wskazać mi drogę do Gila i do życia poza śmiercią, wskazać mi potem drogę powrotną? Czy potrafisz zastąpić Josi?

I co teraz? Było zbyt wcześnie, by wyruszyć do Chaty Śmierci. Nie chciałem też iść do domu.

Wiedziałem, że ledwie matka spojrzy na mnie, zapakuje mnie do łóżka, zrobi okłady i pokłuje igłami.

Skierowałem się do sali gimnastycznej. Położę się na materacach w magazynku, odpręzę się, a może uniesie mnie sen i przyśni mi się Josi?

Otworzyłem drzwi i obszedłem szafki ze sprzętem. Na materacach, czesząc swoje długie czerwone włosy, siedziała ze skrzyżowanymi nogami Jeil Gard. W przyćmionym świetle uniosła na mnie oczy i uśmiechnęła się.

- Witaj, Pol.

- Och, przepraszam. Nie wiedziałem, że tu ktoś jest - szukałem właściwych słów. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Cholera, a swoją drogą, co ona tu robi? Odwróciłem się, by odejść.

- Poczekaj... - powiedziała, chowając grzebień do torebki i strzepując włosy równomiernie na oba ramiona.

- Tak?

- Dawno ze sobą nie rozmawialiśmy.

- Istotnie.

- Wiem, że tu przychodzisz. Podkradałam się nawet na palcach, by spojrzeć na ciebie. Nie sypiasz dobrze. Jęczysz i rzucasz się.

Co za ciemnota!

- Musisz tak stać i gapić się na mnie. Siadaj, proszę.

Westchnąłem i usiadłem obok niej.

- Wyglądasz strasznie, Pol. Coś nie w porządku? - jej głos opadał coraz niżej.

- Jestem tylko zmęczony.

Wahała się przez chwilę.

- Pamiętasz, kiedyś, dawno temu, prawie nam się udało. Pamiętasz?

- Tak, spędziliśmy razem miłe chwile.

- Siedzieliśmy u mnie na werandzie i uczyliśmy się - przerwała, jak gdyby sięgając myślą wstecz, a potem zaśpiewała cicho:

Jej włosy czarne były i skrzyła w nich czerwień,
a gdy oczy podniosła, oczy miała szare,
zarzuciła na niego swą miłosną sieć...

Siris? Pamiętałem. Pamiętałem wszystko. Pamiętałem moje ręce na jej ciele... i inne rzeczy. Wspomnienie było silne i kompletne, przytłaczające...

Wolnym, przeciągającym się ruchem położyła się na wznak. Długie, rdzawe włosy opadły luźno wokół twarzy i ramion. Odgarnęła kosmyki z twarzy.

- Proszę, pocałuj mnie - szepnęła.

Zawahałem się

Zmarszczyła lekko brwi.

- Masz dziewczynę?

Ach, gdyby to miało jakieś znaczenie lub coś rozwiązywało. Josi, Josi, ostygłe choć gorące, odległe wspomnienie. Josi znikająca (tej właśnie nocy) wśród gwiazd... I już nie myśląca o mnie, to pewne.

- Nie - powiedziałem. - Nie mam dziewczyny.

Wzięła ode mnie teczkę i położyła na podłodze. Spojrzawszy na Jeil stałem się świadkiem zdumiewającego przeobrażenia: długie czerwone włosy poczerniały i stały się lokami. I nawet w tym przyćmionym świetle widziałem, że oczy nie były brązowe, lecz szare, Josi! Skąd się tu wzięłaś? Jak tu się dostałaś? Skąd wiedziałaś, że muszę raz jeszcze zespolić się z tobą, zanim umrę?

Położyłem się obok i zacząłem całować jej wargi, potem policzki, szyję. Podniosłem ją lekko i wsunąłem ręce pod jej tunikę, rozpinając biustonosz. Pozwoliłem jej położyć się ponownie i odszukałem prawą pierś. Sutka stwardniała pod moim dotknięciem. Wspólnie podciągnęliśmy tunikę aż do talii, gdzie zebrała się w niezgrabnych fałdach. Pomogłem jej zsunąć majtki i zwiślały teraz z jednej nogi. Zaczęła oddychać nieregularnie, po chwili oddech przeszedł w ledwo słyszalne dyszenie. Wytrzymaj, Josi, pozwól mi rozpiąć pasek. Spodnie opadły mi do kostek. Majtki. Siris, ale jesteśmy zaplątani. Rozkłada szeroko uda kiedy w nią wchodzi. Jęczy z rozkoszy. Tak szybko, Josi? To do ciebie niepodobne. Otwiera oczy i patrzy na mnie. Dyszy przeprasząco.

- Przykro mi.

Uśmiecham się do niej.

- W porządku - wycofuję się powoli i kładę obok niej.

Czuję jej palce na najdelikatniejszej części mojego ciała.

- Ty nie..

- Nie - wstałem.

- Co robisz?

- Zapewniam nam tylko trochę intymności - podciągnąłem spodnie, by nie krępowały ruchów, wziąłem krzesło, które stało sobie spokojnie obok regału i zablokowałem nim klamkę drzwi. Wróciłem do Josi.

- Rozbierz się.

Zrzuciłem buty i też zacząłem się pozbywać ubrania. Spojrzała na mnie, wstała i ściągnęła przez głowę tunikę, halkę. Dziwne, nigdy nie zauważyłem, że jej piersi zwisają jak melony.

- Chodź tutaj - powiedziałem.

Podeszła. Objąłem ją ramionami w talii i przycisnąłem do siebie. Zarzuciła mi ręce na szyję. Nasze usta szukały się, aż znalazły jedno drugie, języki ożyły. Przesuwałem rękami po jej bokach, badałem pośladki. Wsunąwszy rękę między nasze ciała znalazłem piersi. Sutki były sztywne. Czas nadszedł.

- Połóż się.

Spoczęła na materacach, obserwując mnie spod półprzymkniętych powiek. Ukląknęłam nad nią. Poruszałem się powoli, by tym razem mieć pewność, że razem osiągniemy szczyt.

Odpowiadała na poruszenia, na pchnięcie reagowała pchnięciem, ciało jej zaczęło drgać i falować.

Z gardłowym odgłosem przycisnęła swoje usta do moich tak mocno, że zęby zazgrzytały o siebie. Krzyknęła prosto w moje gardło i razem eksplodowaliśmy. Odczekałem chwilę, potem delikatnie pocałowałem ją w policzek i zsunąłem się z niej.

Przez jakiś czas oboje leżeliśmy w milczeniu. Potem usiadłem i odszukałem moje rzeczy.

- Lepiej się ubierz - powiedziałem. - Josi?

Cisza. Spała z twarzą zwróconą ku mnie. Delikatnie okryłem ją moją marynarką i sam się ubrałem. Włożyłem nawet buty, po czym zamknąłem oczy.

Musiałem spać przez dwie lub nawet trzy godziny. Kiedy się obudziłem, drzwi były lekko uchylone i przy świetle lampy spostrzegłem, że odeszła. Moja marynarka, porządnie złożona, spoczywała obok na materacu. Przetarłem oczy. Dopiero w tej chwili pojąłem, że wszystko to było fantastycznym mirażem spletanym mi przez stęskniony umysł. Och, Josi... Mimo wszystko to nie byłaś ty. Kto zatem jest tu czarownicą? Ty, Josi? Ty, Jeil? Może wszystkie kobiety są strzygami, jeśli zechcą.

Wiedziałem już, że tak będzie zawsze, z każdą kobietą. Na którąkolwiek spojrzę, będę widział Josi. Każda twarz kobieca zmieni się w twarz Josi. Każdy kolor włosów stanie się czernią, każde oczy zmienią barwę na szarą. Każde biodra poruszać się będą jak biodra Josi, wszystkie nogi chodzić będą jej sprężystym krokiem. Każdy głos będzie głosem liryczno-radosnym.

To było szaleństwo. Nie należało pozwolić, by trwało za długo.

Otworzyłem teczkę; wyjąłem butelkę z płynem.
Tak, zanim obłęd mnie zniszczy, muszę to zrobić.
Na Vys Street.

Rozdział dwudziesty ósmy **CHATA ŚMIERCI**

Nie było jeszcze północy. Przyszło mi na myśl, że nigdy nie byłem w zamtuzie o tak później porze. Od czasu do czasu zostawałem w fabryce jeszcze po kolacji, ładując pilne zamówienia nadeszłe w ostatniej chwili czy drukując niecierpiące zwłoki listy, ale zawsze wychodziłem o ósmej, góra dziewiątej.

Jasna Gwiazda i jej mniejsze towarzyszki rzucały trochę światła i kiedy oczy przywykły do mroku, dostrzegałem nawet blade cienie.

Nic się nie poruszało.

Zatrzymałem się przy wieży i spojrzałem w górę. Dziwne, przy samym wierzchołku paliło się światło. Musiało tam być jakieś okno. Potem cień przesłonił blask i moje serca zamarły. Josi pracowała. Patrzyłem. Cień zniknął.

Odejdź Josi, burzycielko mego życia...

Ruszyłem dalej i minąłem ponure zabudowania fabryki. Ach, Magna, moja niegdysiejsza zbawczyni. D-tuzin solati każdego cinque. Żywiłaś mnie i matkę i jestem ci wdzięczny.

A potem była już Chata Śmierci.

Biedny, mały domku, ilu to nieszczęśników przychodziło tu umrzeć, obierając twoje wnętrze na swój ostatni przytułek? I skąd wiedzieli, że mają tu przyjść? Prawdopodobnie dzięki plotkom i pogłoskom. I, oczywiście, za każdym razem pojawiała się mała wzmianka w gazecie.

Sięgam do kieszeni i zaciskam palce na buteleczce. Jej twarda, zimna powierzchnia wpływa na mnie uspokajająco. Drzwi są zamknięte. Czy to znaczy, że ktoś jest w środku? Miałem nadzieję, że będę tu sam. Kontakt z Gilem to sprawa i bez widowni wystarczająco trudna. Cała rzecz i tak może się przecież nie udać.

Popycham drzwi. Zawiasy skrzypią. Wchodzę do środka i rozglądam po wnętrzu. Światło gniazd zostało na zewnątrz i ledwo cokolwiek widać. Cholera! Ktoś tu jest... Kuli się na starej skrzyni na prawo ode mnie. Czekam, zastanawiając się, czy nie odłożyć całego przedsięwzięcia.

Z cienia napływa żalosne mamrotanie:

- Randol? Pol Randol?

To było przerażające. Kto to mógł być? Upadkiem wpatrywałem się w półmrok. Oczy zaczynały już rozróżniać kształty i dojrzałem wreszcie twarz. Czy raczej coś, co kiedyś było twarzą. Na prawym oku widniała czarna przepaska.

Chwilę trwało, nim dotarło to do mnie. Potem jakby grom we mnie strzelił:

- Uri Rone! - wydyszałem. - Na tyłek siriS! Co ty tu robisz?

I znów ten bezcielesny głos z ciemności:

- Jesteś niewiarygodnie głupi, Randol. Po co tu się przychodzi?

I znów cisza. Potem dodał:

- Kiedy byłem w milicji, zanim jeszcze ukradłeś mi pracę, zwykle przybywaliśmy tu i zdejmowaliśmy odciski palców martwym włóczegom. Oni przychodzą tu umierać. Wiedzą, jak to zrobić, dla nich to łatwe: Jak oni to robią? Siedzę tu już od godziny...

Nie mogłem w to uwierzyć.

- Dlaczego chcesz umrzeć, Uri?

- Nie twój interes.

- Próbowales znaleźć pracę?.

- Wszędzie.

To ta jego twarz - pomyślałem. - Zbyt zniekształcona, zeszpecona. Nawet cech nie może mu pomóc lub nie chce.

- Masz gdzie nocować?

Nie było odpowiedzi. Bez pracy i bez pieniędzy był zapewne wyrzucany ze wszystkich mieszkań. I pewnie był głodny. To ja miałem wszystko, czego jemu brakowało. Powiniennem czuć winę, przynajmniej powinno mi być go żal. Zamiast tego wypełniała mnie irytacja i rozczarowanie.

- Nie wiesz, jak oni to robią? - spytał. - Jak umierają? Czy to jakaś sztuczka? Czy trzeba być pijanym?

Westchnąłem. Cóż, może będę mógł pomóc temu biednemu synowi siriS. Lecz, do licha, dlaczego musiał się tu znaleźć? Wszystko popsuł. Nie miał prawa.

- Przyniosłeś jakąś butelkę? - spytałem go posepnie.

- Muszkatel.

- Myślałem, że jesteś splukany.

- Ukradłem w sklepie z winem.

- Och.

- Powinieneś posłać po wóz, Randol. To twój obowiązek. Wtrącić mnie do więzienia. Zdejmij mi odciski palców. Ty frajerze!

Wyciągnąłem buteleczkę z kieszeni. Gil wybac mi, lecz ten biedny nędznik potrzebuje tego bardziej niż my. Zobaczmy, co będziemy mogli dla niego zrobić.

- Uri - powiedziałem. - Mam tutaj pewien eliksir. Wlejemy go do twojej butelki i wstrząśniemy, a potem napijemy się razem.

Zesztywniał. Potrząsnął pokancerowaną głową.

- To trucizna. Próbujesz mnie zabić.

Pomyślałem, że byłoby zapewne nietaktem przypominać mu, że przyszedł tu właśnie po to, by umrzeć.

- Nie - powiedziałem. - To nie jest trucizna. Napiję się pierwszy. Potem ty. Będziemy podawać sobie butelkę na zmianę. To cię uspokoi. A potem, jeśli naprawdę chcesz odejść, może ci się uda - czekałem, aż się namyśli.

- Pozwól mi to zobaczyć - zażądał. - Otwórz szeroko drzwi i podnieś to pod światło gwiazd. Zrobiłem jak chciał.

- Niewiele tego - zauważył.

- Niewiele. Ale bardzo mocne.

- Dobra, w porządku. Tu jest wino. Zmieszaj to tak, bym widział, jak to robisz.

Wlałem trochę eliksiru i schowałem na pół opróżnioną buteleczkę do kieszeni. Wstrząsnąłem flaszką. Uri mnie obserwował.

- Napij się - powiedział.

Podniosłem butelkę do ust i pociągnąłem parę łyków.

- Jakie to jest?

- Odrobinę ostre. Poza tym to tylko twoje kiepskie wino - wręczyłem mu butelkę.

Wypił łyk. Potem jeszcze jeden. Spojrzał w górę przerażony.

- Co to było?

- Dzwony w świątyni. Biją północ.

- Nie, wybiło tylko raz. To godzina po północy.

Potrząsnąłem głową.

- Dopiero północ. To ten eliksir. Zatrzymał czas dokładnie po pierwszym uderzeniu.

- Och.

Ciekawe. Być może, mimo wszystko, coś uda się zrealizować.

- Teraz odprężymy się trochę. To może chwilę potrwać.

Oddał mi wino. Pozwoliłem, by kilka łyków spłynęło mi do gardła. Rozważałem pewne dwuznaczne aspekty tego, co robiłem - mówiąc bez ogródek - zabijałem człowieka i to z zimną krwią.

Przekazałem mu znów butelkę. Ujął ją w obie dłonie.

- Chyba coś się dzieje - wymamrotał. - Szkoda, że nie mamy więcej światła.

- Może coś znajdę - wstałem i doszukałem się ściany.

Zupełnie nie wiem skąd, lecz wiedziałem, że znajdę tam ogarek świecy i krzesiwo. Były. Zapaliłem knot. W małym pomieszczeniu zatrzepotały nagle cienie. Ustawiłem świecę na jednej z podpórek i właśnie miałem się odwrócić, gdy szykujący się na śmierć człowiek powiedział:

- Pol..

Spojrzałem, gdzie on.

Pod ścianą naprzeciwko przykucnęła jakaś postać, mężczyzna. Objął ramionami kolana, jego twarz znajdowała się w cieniu, ale ja wiedziałem już, kto to jest. Patrzył w górę, prosto na mnie i serca zaczęły mi walić. Ten łomot rozsadzał uszy. Niczego innego nie słyszałem, nie byłem w stanie oddychać.

Uri upuścił butelkę. Słyszałem bulgot wypływającego płynu. Wkrótce i tego nie będzie słychać.

Poszukiwałem mego brata we wszystkich ciemnych uliczkach umysłu. Miesiącami obserwowałem twarze na rogach ulic mej pamięci. Szukałem go w labiryncie czasu. Wreszcie wypłem jego magiczny eliksir. I oto był. A ja nie wiedziałem, co mu powiedzieć. Gardło i płuco miałem sparaliżowane. Wydobyłem z siebie tylko coś przypominającego krakanie.

- Gil! Pomóż nam!

Och, jak głupio to zabrzmiało. Bez sensu... żadnego powitania... żadnego: Cieszę się, że cię widzę. A nawet nie: Cieszę się, że to ty.

- Nie - powiedział Gil. - Nie jestem wam potrzebny. Sami doskonale sobie radzicie.

Cóż, skoro tak powiedział. Nagle znów byłem sobą, nic już nie było dziwne, wszystko szło tak właśnie jak powinno. Poczulem delikatny prąd powietrza.

Tylna ściana chaty zniknęła. Widziałem teraz to, co było na zewnątrz - śmieci i gruzy też zniknęły. Zamiast nich ciągnęła się utkana z widmowych mgieł ścieżka. Z obu stron towarzyszyły jej aluminiowe taśmy, tory kolejowe. A za nią... za nią, dalej, znajdował się Czarny Most.

Mgła zaczynała napływać do chaty, jak na zwiady.

Gil skinął na mnie głową.

Odwróciłem się ku człowiekowi, który miał umrzeć.

- Uri, już czas - wziąłem go za rękę.

- Czy to... to? - zająknął się.

- Tak.

Wstał i ze zdumieniem spojrzał na siebie samego, który nadal siedział na ławce.

- Który z nas jest mną? - wydyszał.

- Ty jesteś sobą, Uri. To jest zaledwie ciężarem, który tu zostawiasz.

- Och, Siris - jęknął. - Umarłem.

Nie odpowiedziałem.

Rozprostował ramiona i wyrzwał w mgłę.

- Przez most?

- Tak.

- Boję się. Chciałbym, żebyś poszedł ze mną.

- W porządku, chodźmy.

- Ale... potrafisz wrócić?

- Dobre pytanie. Zostaw już mnie to zmartwienie.

Gdy szliśmy po otoczkach między szynami, trzymał się kurczowo mego ramienia. Po drugiej stronie mostu wyrwał się, najpierw truchtem, potem biegiem ruszył naprzód. Wołały go jakieś głosy, on odpowiadał. Chyba jeszcze odwrócił się i pomachał mi. A potem zniknął we mgle. Patrzyłem za nim przez jakiś czas, ale niczego nie mogłem dostrzec. Odwróciłem się więc i wycofałem po własnych śladach.

Gil czekał. Obserwował mój powrót bez słowa. Spojrzałem na niego z ukosa, po czym siadłem z wolna obok stygnących zwłok Uriego. Osunęły się niezgrabnie na bok, wyprostowałem je trochę.

- Czy umarłem? - spytałem nieśmiało.

- Trudno powiedzieć - odparł. - Przeszedłeś przez most. Ale wróciłeś, więc co właściwie się stało?

- Domyślam się, że ożyłem.

- Czy to jest to, czego chciałeś?

- Myślę, że tak. Tak. Gdy matka umrze, być może przyjdę tu ponownie.

Mój brat wstał, wyprostował się i podszedł do drzwi. Światło gwiazd rozjaśniło jego twarz. Był właśnie taki, jakim go znałem przed chorobą. Siris, jak przystojnie i męsko wyglądał!

- Powiedz mi o Josi - poprosiłem.

- Wiesz już prawie wszystko. Jej historia zaczyna się pod jej własnym słońcem, Jasną Gwiazdą. Bardzo daleko stąd. Światło potrzebuje sześciu tamtejszych lat, by dotrzeć stamtąd do nas.

- Tak długo? - zaprotestowałem. - Ale z Układu wynika, że światło przebiega natychmiastowo.

- A jak można większością głosów wybierać prawdę naukową? - spytał sucho.

- W porządku, przepraszam, mów dalej.

- No cóż, ich wielkie gwiazdne statki są niewyobrażalnie szybkie, jednak potrzebują wielu lat, by odbyć podróż między słońcami. Bywali tu już za czasów naszych przodków. Nasunęły im się ciekawe przypuszczenia. Otóż podejrzewają, że niektórzy z nas rozwinęli w sobie zdolność poruszania się w czterech wymiarach. Wystarczy pomóc sobie paroma związkami chemicznymi.

- Cztery wymiary? Nie rozumiem.

- Żyjąc, poruszamy się w trzech wymiarach. Przyjmij, że śmierć jest czwartym. Jeśli przenosisz się z życia w śmierć i wracasz, to poruszasz się w czterech wymiarach.

- Czy to jest to, co zrobiłeś?

- Tak.

- I ja?

- Też.

- I dlatego oni tu przybyli?

- Trafiliś. Chcieli nauczyć się, jak umrzeć nie umierając. To był wystarczający i sensowny powód.

- Mów dalej.

- Przez d-tuzin lat ich świat, który oni nazywają Ziemią, wahał się na krawędzi zniszczenia. Ludzie z Ziemi dysponują straszliwą bronią. Wszyscy od dawna wiedzieli, że następna wojna byłaby ostatnią. Wszyscy by zginęli: W takiej właśnie chwili, gdy stanęli w obliczu tej prawdy, wróciła pierwsza wyprawa, która miała zbadać nasz świat i przywiozła nowinę o możliwej nieśmiertelności.

- I dlatego przybyła tu Josi?

- Ostatecznie tak. W tym czasie istniał na Ziemi silny ruch pokojowy znany jako Stowarzyszenie Przyjaciół. Josi, czyli Jocelyn Case była jego członkinią. Ponieważ celem każdej wojny jest zabijanie, więc gdyby została wyhodowana na Ziemi rasa nieśmiertelnych, to nie byłoby więcej wojen. Nikt nie mógłby zostać zabity.

- Jest w tym pewna logika.

- Miała przybyć tutaj, zostać zapłodniona, wrócić na Ziemię i stać się matką nowej rasy.

- Ale to nie było takie proste.

- Nie. Ziemianie są więksi od nas. Ich ciała muszą zmagać się tutaj z większą grawitacją. Chirurdzy musieli przeprowadzić wiele długich i bolesnych operacji na jej ciele, aby uczynić ją podobną do naszych kobiet. Poza tym, ona oddychała tlenem. Nasza atmosfera, którą oni nazywają amoniakalną, zabiłaby ją. Ich medycy wymienili jej prawe płuco i zaopatrzyli ją w przetwornicę. To, co ona normalnie wdycha, czyli związek tlenu z węglem, zostaje rozszczepione w celu odzyskania tlenu do wtórnego obiegu. Musiałeś słyszeć kiedyś jej motorek płucny.

- Zrobili wspañiałą robotę - westchnąłem.

- Z pewnością - Gil wyszczerzył zęby. - A ty zapaliłeś się jak uderzona piorunem szopa.

- Tak - zgodziłem się ponuro. - Tak było.

Użyto mnie jak wołca rozplodowego czy kizioła. Pol Randol stadnik. Powiniennem ją znieawidzić, ale to było niemożliwe. Czy ona chce tego, czy nie, ja jej pożądam.

- Więc ona nosi moje dziecko?

- Właśnie tak.

- Ale powrotna podróż na Ziemię jest długa. Całe lata, mówisz? Ona w żaden sposób nie może urodzić dziecka na statku, sama jedna. Będzie musiała zrobić to tutaj.

- Bezwarunkowo nie. Urodzi, gdy wróci do swego świata. Przez większość drogi będzie spała, wszystkie procesy życiowe ustną. Będzie dobrze. W żadnym przypadku nie może urodzić tutaj. Przebudowali jej kości i miednicę ma teraz tak wąską, że dziecko by przez nią nie przeszło. Doktorzy na Ziemi będą musieli rozciąć jej brzuch, by wyjąć noworodka. Nie martw się. Oni są fachowcami i wiedzą, co robić.

Zmarszczyłem brwi.

- Lecz jakie jest powietrze na Ziemi? Podobne do nasze go?

- Całkiem niepodobne. Życiodajnym składnikiem jest tam tlen.

Zaparło mi dech.

- Ależ to trucizna!

- Tylko dla nas. Ich metabolizm właśnie tlenu wymaga. Dlatego ich krew jest czerwona. Nasza krew jest czarna, wodór z powietrza reaguje bowiem z naszymi krwinkami.

Dziwne, dziwne...

- A jej palce? Przypuszczam, że wszyscy Ziemianie mają po pięć palców u każdej dłoni?

Zaśmiał się.

- I cały ich system liczbowy opiera się na dziesiątce.

Jakie to nieporęczne - pomyślałem. - Nasz system dwunastkowy jest oczywiście o wiele lepszy! Ale po co tym się zajmować?

- Dlaczego wybrała życie w zamtuzie?

- A gdzieżby indziej? Statek był tutaj i musiała go ukryć, zarabiając jednocześnie na życie i spotykając wielu mężczyzn. To wszystko dostarczyło pięknej osłony.

- Tak, oczywiście. Ale ta Chata Śmierci... ta elektryczność, która zabija. Ma jakąś nazwę?

- Promieniowanie. Pomaga oczywiście, gdy ktoś chce umrzeć.

To było już zbyt wiele, by wszystko pojąć.

- Ale jak to możliwe? Nasz Szkarłatny Świat jest taki... zwyczajny. Przeważnie brudny i nędzny, rzadko spotyka się dobre obyczaje. Jemy, śpimy, pracujemy, kopulujemy... Josi szuka cudów, ale żadnych cudów tu nie ma. Fenomeny tkwią w odległej przeszłości, ukryte są w mitach i legendach lub w trudnej do określenia przyszłości, w nieprawdopodobnych przepowiedniach. Nigdy teraz, nigdy dzisiaj. Nie rozumiesz? To wszystko jest zupełnie niemożliwe!

Gil zaśmiał się.

- Niemożliwe? Niczego nie zrozumiałeś!

- Wiem, czego chcesz. Chcesz odrodzić naukę, prawdziwą naukę - potrząsnąłem głową. - Ale to się nie zdarzy. Tylko Objawiciel mógłby to sprawić, a on jest mitem. A nawet, gdyby był, realny, musiałby przybyć poprzedzony wszystkimi tymi znakami i cudami. Wiesz, strzała w jego plecach, odchodząca Madonna, bijący wielki dzwon. Obaj wiemy, że to nigdy się nie spełni. A co z Układem? Zamroził naukę na wieczne czasy.

- To nie problem - stwierdził Gil. - Objawiciel mówi po prostu: w imię Siris, niniejszym unieważniam Układ.

- I na nowo rozpęta się wojna.

- Prawdopodobnie nie. Objawiciel wyda proklamację, że ktokolwiek chwyci za broń przeciwko jego poplecznikom, zostanie wyklęty i rzucony do ciemnej i strasznej dziury, gdzie żyć będzie w wiecznych męczarniach.

Spojrzałem na niego, lecz nie potrafiłem z całą pewnością stwierdzić, czy żartuje, czy nie.

- Ale my mamy tylko dwadzieścia trzy pierwiastki - powie działałem. - Nawet przy najbardziej złożonej technologii nigdy nie zbudujemy gwiazdowego statku.

- Nie będziecie musieli. Zapominasz o twoich potencjalnych możliwościach i o tym, dlaczego Ziemia przybyli tu i zapragnęli cię odnaleźć. Będziesz musiał się nauczyć, jak dowolnie poruszać się w czterech wymiarach. Możesz to zrobić. Uważaj to za rodzaj rekompensaty za żelazną cywilizację, cywilizację stali, której nigdy nie wytworzymy. Lecz reszta to kwestia matematyki i skromnego oprzyrządowania. Przemieszczanie się od gwiazdy do gwiazdy w wielkich, metalowych statkach to dość uciążliwy i raczej prymitywny sposób, nawet jeśli używa się paliwa jądrowego.

- Paliwa... jądrowego...?

- Będziesz potrzebował nauki. Dużo nauki. Oprócz matematyki konieczna będzie chemia. Umieść Squire Vysa w za rządzie kolegium. Weź do pomocy Rollo Felsa. To się da zrobić. Chciałem zaprotestować głośno: To wszystko przekracza moje siły, oni mi nie pozwolą. Dlaczego on mi to mówi? Nic z tego nie jest realne.

- Nie jest realne? - powiedział uśmiechając się ponuro. - Chciałbyś zobaczyć czemu stawia czoła Ziemia? Czego tak rozpaczliwie starają się uniknąć? Chcesz zobaczyć, dlaczego Josi oddała wszystko, żeby przybyć tutaj, na Szkarłatny Świat?

- No cóż, pewnie...

Raz jeszcze zaczęło dziać się coś osobliwego, żaden z nas nie poruszył chyba ani mięśniem, a jednak uczucie spadania było tak silne, że na sekundę dech mi zaparło, a żołądek skurczył się niebezpiecznie. Nagle nad głową zapłonęło mi oślepiające światło i podniosłem ramiona, by ochronić oczy. Kątem oka rozejrzałem się wokół. Nie byliśmy już w chacie, staliśmy na ulicy. Ale żadna ulica Szkarłatnego Świata nigdy nie była podobna do tej.

Po obu stronach wznosiły się wysokie budynki: wielkie potwory, które zdawały się sięgać niebios; w bezlitosnym blasku widziałem, że wszystkie są martwe. Ten, który stał najbliżej, był naznaczony ziejącymi w ścianach ranami. Wszystkie okna były wybite, w ramach sterczały jedynie szczyby szkła. Spojrzałem pod nogi - cała ulica powinna pokryta być odłamkami, ale nie, dopiero gdy się cofnąłem, zrozumiałem w czym rzecz. Wszystko tutaj, i gruzu i szczątki, pokryte było grubą na kilka palców warstwą pyłu.

Jak zahipnotyzowany spojrzałem w górę ulicy. Pod taką samą litościwą pokrywą pyłu domyślać się było można wysokich na tuzin mężczyzn zwałów trupów. Instynktownie wyczułem obecność milczących duchów znamienitych, błyskotliwych, porywczych i kłótliwych ludzi. Pragnęli pokoju, ale nie wiedzieli, jak uniknąć wojny. A teraz mieli już pokój ostateczny, bezchmurny, wieczny.

To było przerażające. Wodząc wokoło oczami, uchwyciłem nagle błysk światła odbitego od czegoś, co poruszało się wysoko w górze.

Przysłoniłem oczy i spojrzałem w niebo. Coś dużego, ukształtowanego na podobieństwo

grotu włóczy, majestatycznie przesuwało się po martwym niebie. Nie wszystko stracone! Tu jest życie!

- Spójrz! - krzyknąłem.

- To ostatni badawczy statek z Ziemi - powiedział Gil. - Dokonują końcowego okrążenia planety. Potem kapitan wyśle raport, który dotrze do Centrum Księżycowego po jedenastu ziemskich latach i będzie zawierał stwierdzenie, że Tau-Ceti Cztery przeszła czterdzieści tysięcy lat temu pierwszą i ostatnią wojnę nuklearną i że promieniowanie szczątkowe nadal wyklucza odrodzenie najprostszych nawet form życia. Raport tak się zakończy: To była nasza ostatnia nadzieja. Teraz wszystko zależy od Mary Dyer.

- Tau... Ceti...?-zająknąłem się.- Wojna... nuklearna...? Mary Dyer? Co znaczą te słowa?

- Tau-Ceti to ziemska nazwa dla tego słońca, które patrzy na nas z góry. Jest to gwiazda trzeciej generacji, a jej planety posiadają pełny zestaw dziewięćdziesięciu dwóch pierwiastków. Wszystko, czego potrzeba do samozagłady. Stoimy na czwartej planecie, dawni jej mieszkańcy zwali ją Vela, co w ich języku znaczy "piękność". Wojna nuklearna to rodzaj masowego zabijania na skutek zastosowania różnych straszliwych broni. Statek-wieża został nazwany imieniem Macy Dyer, członkini Stowarzyszenia Przyjaciół, dawno temu, na Ziemi. Została powieszona w ziemskim mieście Bostonie za to, że sprzeciwiała się zabijaniu. Promieniowanie - wiesz, co to jest. Chata Śmierci na tym stoi.

- Czy jesteśmy tutaj - spytałem - czy w Chacie Śmierci?

- Tu, na Veli, jesteśmy w jednej projekcji. Mała próbka czterowymiarowego przemieszczenia. Ale w większej części jesteśmy wciąż w Chacie Śmierci.

- Rozumiem.

- Nie, nie rozumiesz. Ale zrozumiesz. W istocie, będziesz umiał robić to lepiej niż ja, bo teraz jesteś obywatelem dwóch światów.

- Szkarłatnego Świata i Veli?

- Nie, świata żywych i świata umarłych - uśmiechnął się szeroko. - Wyszedłeś poza granice życia. - Zaraz spowaźniał. - Lepiej będzie, jeśli już wrócimy. Zakończę projekcję.

Wszystko działo się zbyt szybko. Potrzebny by mi był urzędowy regulator, taki jaki miał cioteczny dziadek Doke, który (zanim umarł) zwykle kontrolował krok w procesjach. Kiedy pochód przyspieszał zbyt szybko, dziadek unosił uprzednio ułożoną w poprzek trasy linę; miało to czasem humorystyczne konsekwencje, jeśli maszerujący nie byli dość czujni. Chciałem na prężyć linę, zawołać STOP!, by móc spokojnie połapać się w sytuacji.

- Za szybko? - spytał Gil.

- Tak. Zwolnij.

- Prawie skończyliśmy.

Rozpoznałem znajome wnętrze. Byliśmy znowu w chacie.

Gil podszedł do miejsca, gdzie przedtem była tylna ściana. Wiedziałem, że przygotowuje się do odejścia. Niepewnie zbliżyłem się do niego.

Spoglądał na zewnątrz, na drugą stronę mostu. Stawał się duchem, bezcielesnym continuum, widmowym obrazem.

Po drugiej stronie ujrzałem tłum migoczących, poruszających się świetlnych punktów.

- Ludzie? - spytałem.

- Wszyscy, prawie wszyscy... ze światów zewsząd... od zarania czasów.

- Ojciec?

- Też - widmo odwróciło się. - Ach, i jeszcze jeden drobiazg.

- Jaki?

- Kiedy twój przyjaciel został zwolniony z więzienia, zabrał swój nóż i poszedł szukać Garda. Powinienem się tego domyślić!

- Muszę go zatrzymać!

- Za późno. Dwie godziny temu akolici wyciągnęli nóż z czaszki Garda. Boogi został już

schwyty i zabity. Milicja sądzi, że to Josi namówiła go do tego. Kiedy czas znów zacznie płynąć, zobaczysz pluton maszerujący przez Vys Street, by ją zaarrestować. To całe przeklęte miasto wyjdzie na ulice.

Nawet w mej nowej postaci czułem, jak ożywiły się moje serca. Przemknęła mi osobliwa myśl: Podczas gdy mściwy, mały służący tropił Garda, ja uprawiałem wściekłą miłość z córką na śmierć skazanego prałata.

- Josi będzie skazana jako strzyga - powiedziałem.

- Spełnia wszystkie kryteria - powiedziało widmo spokojnie.

- Ależ Gil! Ona zostanie spalona! Gil! GIL!

Ale on już ruszył przez most. Zdawało się tylko, że przystanął jeszcze na chwilę i powiedział coś, co brzmiało jak:

- ...błyszcząca dźwignia... pociągnij ją... w dół...!

Nie było w tym sensu, nie wiedziałem, czy naprawdę to powiedział. Odszedł.

Mgła skłębiła się. Światła po drugiej stronie zniknęły. Tylna ściana chaty zaczęła wracać na swoje miejsce. Pozostałem sam z martwym Urim.

Nasłuchiwałem. Nadał nie było słyhać bicia dzwonów świątyni, wciąż trwała północ. Muszę stąd wyjść, muszę ostrzec ukochaną. Uciekaj, Josi! Wprowadź gwiazdny statek na kurs. Gdy tylko stąd wyjdę, czas ponownie zacznie płynąć.

Wyszedłem, zamknąłem skrzypiące, stare drzwi i skręciłem na Vys Street.

Bang! Bang! Dzwony oznajmiły, że czas ruszył z miejsca. Uszedłem nie więcej niż tuzin kroków, gdy złowróźbny wrzask rozległ się z Chaty Śmierci. Prerażony odwróciłem się gwałtownie. Czy to Uri powrócił i zgłasza swoje pretensje? Włosy stanęły mi dęba.

Dźwięk wydawała sama chata. Dach się zapadał, gwoździe wylatywały z desek, rumor rozpadu niósł się po całej Vys Street.

Zabrawszy życie tylu ludziom, teraz chata oddawała własne. Miałem nadzieję, że z Uriego zostanie dość, by jego rodzina miała co pogrzebać.

Teraz padały ściany. Najpierw tylna, potem jedna boczna, następnie druga. Uprzejmie i po kolei. Chrząst, skrzyp i kurz uniosły się kolumnami i przysłoniły nawet Jasną Gwiazdę.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

OBJAWICIEL

A to co? Światła nadciągające ulicą, pochodnie, krzyki i piski. Motłoch wpadł w szal. Gdzie milicja? Jest... idzie na tyłach.

Dobrzy ludzie z Damaskis nie będą czekać na proces. Podle zamordowano kapłana i trzeba natychmiast wymierzyć sprawiedliwość. Wywlec czarownicę!

Pobiegłem na ganek Josi.

- Nie! Nie! - wykrzyknąłem.

- Strzyga! Strzyga! Wyprowadzić ją! - pulchny mieszczanin zbliżył się do schodków i dźgnął mnie pochodnią w twarz.

Dziwne, niczego nie poczułem. Czy to dlatego, że byłem martwy, a martwemu nie można wyrządzić szkody?

Uniosłem ramiona i spróbowałem przemówić.

Nagle zapadła cisza. Ale nie było to moją zasługą. Za moimi plecami otworzyły się drzwi i stanęła w nich Josi. Twarz była ścięta prerażeniem, jej głos drżał.

- Poł, kim są ci ludzie? Co oni tu robią?

- Wracaj do środka! - krzyknąłem. - Do twego statku! W tej chwili! Idź!

- Ale oni zrobią ci krzywdę!

- Zatrzymać się! - przez przednie szeregi przepchnął się ktoś o kamiennej twarzy. Był to pułkownik Dite z gotową do strzału kuszą. Ujrzałem błysk światła odbijającego się na

metalowym grocie strzały. - Odsuń się, Randol! - zawołał. - Kobieto, jesteś aresztowana! Nie było czasu. Odwróciłem się błyskawicznie, złapałem Josi w ramiona i poniosłem do drwi. W tej chwili coś uderzyło mnie w plecy. Przeszło przez moje prawe serce, płuco i częściowo wynurzyło się z mojej piersi. Powaliło mnie na kolana. Spojrzałem w dół i zobaczyłem czubek strzały. Josi zemdląła. I oto wydarzyło się coś osobliwego. Jakaś wielka siła przepłynęła przeze mnie. Żywotność zapłonęła w mym ciele, kościach i mózgu. Przez krótką chwilę całe ciało zajaśniało jak wielki, tlenowy reflektor. A potem zgasło. Podniosłem się i wielkimi krokami wszedłem przez drzwi do głównej sali. Tym za moimi plecami dech zaparło. Nikt za mną nie poszedł, nikt się nie ośmielił.

A zatem po schodach, do jej pokoju i do komory wieży. Od razu zauważyłem błyszczącą dźwignię. Josi musiała być już gotowa do startu, gdy usłyszała mnie na ganku. Dobrze się spisałeś, Gil!

Kładąc ją na twardych poduszkach szkatuły, zatrzymałem wzrok na jej twarzy. Oczy zaczynały mrugać, otworzyły się i spojrzały na mnie. Uśmiechnąłem się i zapiąłem paski wokół nóg i talii. Obserwowała mnie z całkowitym zaufaniem. Potem słodko pachnąca mgła zaczęła wypełniać szklaną skrzynię, a powieki Josi stawały się coraz cięższe. Wyjąłem z kieszeni buteleczkę z resztą eliksiru, upewniłem się, że korek tkwi ciasno i wcisnąłem między bok i ramię Josi.

- Możesz tego kiedyś potrzebować - mruknąłem. - I pamiętaj o mnie, Josi. I wiedz, że któregoś dnia przybędę tam, gdzie świeci Jasna Gwiazda - pochyliłem się i pocałowałem ją. - Śpij, kochanie, śpij.

Czarne loki ujęły jej głowę w błyszczącą aureolę. Nigdy nie wyglądała śliczniej.

Wpatrywałem się w nią zachwycony, oczarowany, zatrzymany przez czarodziejską sieć, aż zauważyłem, że na czubku grotu zebrała się kropelka krwi i miała właśnie spaść na moją ukochaną. Cofnąłem się gwałtownie i zamknąłem wieko szkatuły. Słuchałem, jak zaskakują ukryte wewnątrz zamki i rygły.

Przeniosłem spojrzenie na drugą, pustą szkatułę. Przez ułamek sekundy rozważyłem myśl, czy nie wspiać się do niej, by razem odbyć tę długą podróż. Ale nie. To niemożliwe. Zbyt wiele jeszcze było tutaj do zrobienia. Musiałem dochować wiary Gilowi, a i matka nigdy nie zrozumiałaby mojego nie wyjaśnionego zniknięcia.

Dostatecznie trudno będzie wytłumaczyć jej nowy porządek, który będzie miał teraz zapanować. Nie. Nadszedł czas, by stąd wyjść. Podeszedłem do centralnej konsoli i pociągnąłem czerwoną, błyszczącą dźwignię, po czym wybiegłem pędem i zatrzasnąłem za sobą drzwi. Słuchałem, jak gdzieś wiruje i cicho mruczy jakiś mechanizm. Patrzyłem, jak ściana pokoju zaczyna przesuwac się w górę, najpierw powoli, potem szybciej, i jak wielki statek wznosi się i oddala. A potem zniknął, a krwiożerczy motłoch i milicja na ulicy wrzasnęli znowu, tym razem ze strachu...

Zszedłem po schodach. Stojąc na ganku rozejrzałem się. Tam, gdzie przedtem była wieża, teraz ziała z boku domu wielka pustka. Spojrzałem w górę, lecz niczego nie dostrzegłem, żadnego ruchu. Niebieski fenomen musiał ruszyć już w nie zmierzoną drogę.

Pułkownik znów wystąpił naprzód. Trzymając ostrożnie pochodnię przybliżył się do ganku. Widziałem wyraźnie jego twarz, wydawał się innym człowiekiem. Spojrzał na swoją strzałę tkwiącą w mojej piersi, potem na moją twarz. Oczy rozszerzyły się, usta mu opadły.

Odchrząknął.

- Jeśli łaska, kim ona była?

- Madonną Obloków.

- Nie strzygą ?

- Nie.

- A teraz odeszła na zawsze?

- Tak.

- Przykro mi. Nie wiedzieliśmy - zdawał się badawczo przypatrywać strzale. Narastało w nim strapienie i podejrzliwość. Czubek wciąż wystawał z mej piersi. - Powinieneś być martwy.

- Tak.

- Ale nadal żyjesz.

- Tak.

Być może po raz pierwszy w życiu lodowate rysy pułkownika zaczęły mięknąć. Jego twarz wyrażała po kolei zdumienie, lęk, przerażenie. Zrozumiał, że nagle zyskał sławę (mimowolnie i bez zasług) i wejdzie do historii, teologii, a wreszcie do mitu razem z legendą, którą mimo woli pomógł stworzyć.

Czekałem, on tymczasem usiłował doprowadzić twarz i umysł do jakiegoś takiego porządku (nigdy nie będzie taki sam i już myślałem, kim go zastąpić). Wreszcie przyszedł nieco do siebie. Zadał mi zasadnicze pytanie:

- Jeśli łaska, kim ty jesteś?

Jak miałem na to odpowiedzieć? Jak miałem wyjaśnić mu coś, czego sam nie rozumiałem?

Ująłem drzewce strzały lewą ręką, pociągnąłem. Strzała dała się wyjąć, nastąpił krótki wpływ krwi, który zaraz ustał. Rzuciłem strzałę pułkownikowi. Złapał ją i trzymał, dziwiąc się i czekając.

Wtedy właśnie w pierwszych szeregach tłumu doszło do jakiegoś zamieszania. Dwie znajome postacie torowały sobie drogę między pochodniami. Squire Vys i kapitan Kertor pomagali sobie nawzajem wejść po stopniach.

- Chłopcze - wydyszał Kertor. - To ty zrobiłeś ten cały bałagan?

- Sądzę, że tak, kapitanie.

- Czy Josi odjechała cała i zdrowa? - dopytywał się Squire.

- Tak. Jest w drodze.

Kertor spojrział na krwawą plamę na mojej piersi, potem odwrócił się, by popatrzeć na pułkownika i strzałę w jego ręce.

- Chłopcze - powiedział kawalerzysta z namysłem. - Czy to jest właśnie to, na co to wygląda? Jakby w odpowiedzi uderzył wtedy z niebios donośny grom. Wiedziałem, że spowodował go statek Josi. Motłoch wrzasnął jednym, przerażonym rykiem, ale nikt się nie poruszył. Na ułamek sekundy zapadła cisza, a potem wdarł się w nią odgłos bicia wielkiego, dziwnego dzwonu. To Objawiciel odezwał się z dzwonnicy świątynnej. Grom uwolnił go z więzienia rdzy i oto słyszano go po raz pierwszy. Jak gdyby idąc w jego ślady i inne dzwony rozpoczęły bezsensowne bicie.

Wiedziałem, jak ludzie spoglądają na siebie i zwracają wzrok na mnie. Dziwią się, zastanawiają.

Głósy w tłumie zaczęły coś gromko intonować. Coraz więcej ludzi podejmowało rytm.

Zacząli tupać nogami, klaskać:

- Ob-ja-wi-ciel! Ob-ja-wi-ciel! Ob-ja-wi-ciel!

Pułkownik znów się odezwał, tym razem chrapliwie i było to bardziej stwierdzenie niż pytanie:

- Ty jesteś...

- Na dobre i na złe - odpowiedziałem ze znużeniem. - Jestem Objawicielem - wskazałem na jego rękę. - Trzyma pan Świętą Strzałę, pułkowniku. Proszę odnaleźć poduszkę. Uformujcie teraz Wielką Procesję i idźcie naprzód z pochodniami. Niech pan wyda porucznikowi Lederowi rozkaz, by wysłał wieści do sąsiednich prowincji za pośrednictwem nocnego sygnalizatora, balonu i wyścigowego wołca. Chcę, by Wielki Archont dowiedział się o wszystkim przed świtem i chciałbym otrzymać jutro raport na ten temat. Będę w Budynku Cechów.

Skłonił się. Wiedział, co robić, jego świat znów stał się zrozumiały i uporządkowany.

Wraz z dwoma przyjaciółmi obserwowaliśmy oddalające się pochodnie.

- Chodźcie do środka - powiedziałem. - Potrzebuję waszej pomocy.

Podążyli za mną do spustoszonego wnętrza, które niegdyś było główną salą.

- Squire - powiedziałem - chcę, żeby pan objął kierownictwo kolegium. Niech pan nada sobie jakiś imponujący tytuł. Może Najwyższy Regent? Coś w tym rodzaju. Proszę przebudować program naukowy, położyć nacisk na matematykę i chemię, zaangażować najlepszych profesorów. Niech pan weźmie Felsa do pomocy. Dajcie im absolutną swobodę eksperymentowania, nauczania, publikowania. Mogą utrzymać kursy teologii, ale będę żądał całkowitej separacji Świątyni od nauk przyrodniczych, prawa i administracji, całego zarządzania. Chcę, żeby tak było w całej prowincji, we właściwej chwili pomyślimy o reszcie świata.

Gapili się na mnie.

- Kapitanie Kertor, będzie pan musiał powrócić ze stanu spoczynku. Będzie pan uprzejmy objąć kierownictwo milicji. Na początek, żadnych więcej elektrospełnień, zniszczyć tę przeklętą baterię. Następnie zorganizować pewną ochronę pułkownika. Kiedy tylko Świątynia odkryje, że to on wypuścił fatalną strzałę, będą próbowali dokonać na niego zamachu.

- Synu - przerwał posępnie Squire. - Czy zdajesz sobie sprawę, że burzysz Wielki Układ? Czy nie rozumiesz, że mogą przez to powrócić rozprawy świątynne? Wyznania na torturach, chłopcy z płonącymi strzałami wbijanymi w ciało, zaraza, czasy głodu... A potem znów wybuchnie wojna.

- Nie, Squire. To się nie stanie. Ja, Objawiciel, niniejszym unieważniam Układ. A co się tyczy wybuchu wojny, niniejszym ogłaszam, że ktokolwiek podniesie broń, zostanie wyklęty i rzucony do ciemnej, strasznej otchłani i żyć będzie w wiecznych męczarniach.

Zapadła długa cisza.

- No cóż - powiedział Kertor, wzruszył ramionami i znów zapadł w bezruch.

- Przypuśćmy - rzekł Squire - tylko przypuśćmy, że odmawiam przyjęcia kierownictwa kolegium...

- W takim przypadku, Squire, dotknę pana i z mojej ręki spłynie energia, a pan zaświeci. Ogłosiłbym pańską beatyfikację za życia. Wszedłby pan do hagiografii jako święty Kon. Po pańskiej śmierci nie byłoby normalnego pogrzebu. Pańskie ciało zostałoby wygotowane dla oddzielenia szkieletu, a pańskie kości byłyby wydzierzawiane jako święte relikwie do zawieszania w stajniach w czasie żrebiecia się wołców i do grzechotania na ślubach i przy wyruszaniu w podróż. Pan..

- Och, mniejsza z tym. Zrobię to. Ale mówię ci, Pol, już teraz postrzegam cię jako kreaturę bez wstydu i litości. Woląłem cię, gdy byłeś głupim dzieciakiem.

Westchnąłem.

- Tak, Squire. Ja też.

- Ale co najważniejsze - powiedział Kertor - przypuśćmy, że istotnie rozwiniesz całą tę nową naukę. Co z nią zrobisz?

Pomyślałem o Gilu.

- Po pierwsze, będziemy mogli dzięki niej leczyć choroby, ratować życie.

Vys i Kertor wymienili spojrzenia.

- Chłopcze - mruknął milicjant. - Chyba nie jesteś z nami całkiem szczerzy.

- No to posłuchajcie. Za mego życia rozwinie my wspaniałą grupę nauk, całą gamę.

Odkryjemy, jak przemieszczać rzeczy, ludzi... na fantastyczne odległości. Zrobimy to, a ja udam się ku Jasnej Gwieździe i z pewnością odszukam ją! Nie, nie przerywajcie. Wiem, co myślicie, szczególnie pan, Squire. Pan myśli, jakie prawo ma ktokolwiek wykorzystywać cały świat tylko po to, by ją odnaleźć. Dobrze, myślcie co wam się podoba. Wojna domowa i anarchia są potępione. Szkarłatny Świat zrobi to dla mnie, a ja ją odnajdę!

Obaj starzy mężczyźni popatrzyli znów na siebie i raz jeszcze na mnie. Squire uśmiechnął się szeroko.

- No cóż, chłopcze, może lepiej ruszymy się stąd? Wygląda, że ona znacznie nas już wyprzedziła!

¹ Burn (ang.) spalić (przyp. tłum.) [powrót](#)

² Chodzi o preludium chorałowe J. S. Bacha Pan jest naszym pasterzem, bezpiecznie się pasą owce jego, XVII wiek (przyp. tłum.) [powrót](#)

³ Stone (ang.) - dosł. kamień, miara wagi = 14 funtom = 6,348 kg, jednakże autor zdaje się traktować termin umownie (przyp. tłum.) [powrót](#)

⁴ Opera Ryszarda Wagnera, libretto kompozytora (przyp. tłum.) [powrót](#)

⁵ Jeden z chorałów Bacha, w oryginale: O Mensch, bewein dein Sünde gross, BWV 622 (przyp. tłum.) [powrót](#)

K O N I E C